

ALEKSANDRA KATARZYNA

MALUDY



KIECKA I TIURNIURA

XIX-wieczne Zakopane i współczesna Warszawa.
Bohaterowie *Kiecki i krynoliny* powracają!

ALEKSANDRA KATARZYNA
MALUDY

KIECKA
I TIURNIURA

SZARA GODZINA

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej książki nie może być reprodukowana w jakiegokolwiek formie ani w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki i stron tytułowych

Pola i Daniel Rusiłowiczowie

Fotografie

© *Oleg Gekman / shutterstock.com*

Redakcja

Marta Jakubowska / Słowa na warsztat

Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz przygotowanie wersji elektronicznej

Grzegorz Bociak

Korekta

Elwira Zapalowska / Słowa na warsztat

Niniejsza powieść to fikcja literacka. Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń rzeczywistych jest w tej książce niezamierzone i przypadkowe.

Wydanie I, Katowice 2022

Wydawnictwo Szara Godzina s.c.

biuro@szaragodzina.pl

www.szaragodzina.pl

Dystrybucja wersji drukowanej: LIBER SA

ul. Zorzy 4, 05-080 Kludyn

tel. 22 663 98 13, fax 22 663 98 12

dystrybucja@dictum.pl

www.dictum.pl

© Copyright by Wydawnictwo Szara Godzina, 2022

ISBN 978-83-67102-67-4

Rozdział 1

Rodzice migdalili się ze sobą aż miło, kiedy Agata stanęła w progu salonu i zawahała się, czy wchodzić dalej. W zasadzie była z tych czułości zadowolona, choć uważała, że starszycy z lekka przesadzają. Gdzie to słyszane, żeby małżeństwo z ponad dwudziestoletnim stażem spędzało popołudnie, udając, że ogląda jakiś serial na Netfliksie, a tak naprawdę popija winko i zagłada sobie w oczy. Rodzice gadali o czymś szeptem pewnie dlatego, żeby nie podsłuchiwała, i chichotali jak szaleni. Nie zwrócili na nią uwagi, więc postanowiła im nie przeszkadzać. Chciała się wycofać.

– Czegoś potrzebujesz, córeczko? – zagruchała mama.

Agata ciągle się zastanawiała, czy ten specjalny ton podszyty radością i szczęściem jest zarezerwowany tylko na użytek rodzinny, czy też odzywa się w ten sam sposób do swoich uczniów. Ciekawe, czy oni zauważyli tę zmianę w jej głosie?

– Mogłabyś mi pożyczyć ten...

– Weź sobie, co chcesz! – Mama wybuchnęła śmiechem, bo akurat tata powiedział jej coś na ucho.

Agatę specjalnie nie zainteresowało co.

– Dzięki – odpowiedziała i zniknęła w sypialni rodziców.

Jeszcze nie tak dawno w eleganckim mieszkaniu Zofii i Konstantego Przywarów mieszczącym się w jednym z apartamentowców niedaleko stacji metra Imielin w Warszawie panowała zupełnie inna atmosfera. Tatko snuł się po domu z miną zbitego psa, a mama była na zmianę popłakująca albo wściekła jak ćwikła – czerwona i ostra. Agata z początku podejrzewała któreś z nich o jakąś ciężką chorobę, ale wkrótce paskudna prawda wylazła na wierzch. Ojciec wdał się w amory! On, jej tatio, trochę śmieszny i potulny pantoflarz, miał romans z jakąś biurową Afrodytą! W głowie się to Agacie nie mieściło, bo wydawało się, że nie znajdziesz na świecie drugiego człowieka tak przywiązanego do niej, do matki i do takich codziennych rzeczy, jak jego fotel, jego kubek na kawę czy jego kocyk, którym lubił się przykrywać, kiedy zalegał na kanapie z jakąś lekturą.

Agata bardzo się tym martwiła, ale to mama szczególnie źle przeżywała romans ojca. Miała nawet halucynacje. Wydawało jej się, że jakaś dziwna siła przeniosła ją na mazowiecki dwór w Lutomerzycach w czasy

powstania styczniowego. Tak sugestywnie o nich opowiadała, że niemal z tatkiem uwierzyli, jakoby za pomocą lustra starej toaletki można było odwiedzić przeszłość. Dobrze sobie! Ha, ha! Ale to już minęło. Z pewnym rozczuleniem zerknęła na nich oboje zza drzwi sypialni. Wyłączyli już telewizor i leżeli sobie przykryci wspólnym kocykiem, zagłębieni każde w swojej książce. Kochani!

Agata wyrosła z nastoletniego buntu. Teraz była rozważną kobietą, tylko wcale nie paliło jej się do samodzielności. Gdyby spotkała kogoś, z kim mogłaby poczytać przykryta wspólnym kocykiem, to pewnie sprawa wyglądałaby inaczej. Ale nie spotkała. W zasadzie jej rodzicom było czego zazdrościć. Ciężko westchnęła i odsunęła lustrzane drzwi szafy, by wyciągnąć maminy kolorowy, cieniutki szal – apaszkę. Wymyśliła sobie, że ładnie ożywiłby granatową kieckę, którą zamierzała założyć na spotkanie koła naukowego spraw zagranicznych na jej uczelni. W Szkole Głównej Handlowej w Warszawie sprawa dress code’u traktowana była z pełną powagą. Z tego względu granatowa sukienka o ołówkowej linii, z lekkim asymetrycznym dekoltem była jak najbardziej na miejscu, tylko zdaniem Agaty trochę zbyt grzeczna, ulizana, pozbawiona krztyny szaleństwa, która była jej niezbędna do szczęścia. Postanowiła zatem tę odrobinę zmanifestować zwiewnym szaliczkiem zawiązanym tak, jak wiąże się męskie krawaty, ze swobodnie powiewającymi końcami. Jest! Znalazła!

Jednym ruchem zasunęła drzwi, potem spojrzała w nie uważnie, bo zrobić węzeł krawatowy nie jest sprawą prostą. I zamarła! W pierwszej chwili nie zdała sobie sprawy z tego, co ją tak zaskoczyło. Potem dotarło do niej, że w szklanych drzwiach szafy odbija się stojąca naprzeciwko toaletka i to tam coś się działo! Odwróciła się gwałtownie, a wtedy natrafiła na wybałuszony w przerażeniu i zaskoczeniu wzrok jakiejś dziewczyny stojącej po drugiej stronie toaletkowego lustra! Dziewczę miało długie pszeniczny warkocz przerzucony przez lewe ramię, wielkie chabrowe oczy i cerę krew z mlekiem. Panna w zwierciadle w panice odstawiała na blat po swojej stronie staroświecki rozpylacz do perfum.

– Cholera jasna! – wyrwało się Agacie z wielkiego przejęcia. Nogi się pod nią ugięły i musiała przysiąść na foteliku stojącym przed tym antycznym mebelkiem.

– Jezus Maria! – zawołała anielskiej urody pannica po drugiej stronie zwierciadła, wcale nie mniej zaskoczona, i też klapnęła na jakimś zydłu,

który tam musiał stać.

Co to jest? Czyżby mama mówiła prawdę i lustro tej toaletki rzeczywiście było portalem, przez który można się przenieść w przeszłość? Swego czasu opowiadała o dworze w Lutomerzycach, a rodzicielka przecież Lutomińska z domu była, więc to jakieś rodzinne konotacje tutaj zachodzą! Ale o czym ja myślę?! – zganiła się Agata. Przecież to absolutnie niemożliwe! Wyciągnęła rękę, jakby chciała zmyć z lustra obraz pszenicznowłosej dziewczyny, na co tamta po drugiej stronie porwała się ze swojego zydelka z krzykiem i uciekła, szumiąc obfitym spódnicą.

Agata dopiero teraz zorientowała się, że obraz w lustrze toaletki nie jest odbiciem sypialni rodziców. Widać tam było pokój, którego ściany wyklejono bardzo ładną tapetą w drobnutki różyczki. Staroświecka szafa stojąca naprzeciwko miała troje drzwi, z których środkowe ozdobione były owalnym zwierciadłem. Obok znajdowało się wielkie małżeńskie łóżko przykryte szydełkową kapą, a na niej siedziała lalka z porcelanową buzią, w kapelusiku i sukni kipiącej od falban i koronek. Trochę mniej falbaniasta firanka przesłaniała okno, przez które wpadały wesołe promyczki słońca przesiane przez liście rosnącego tam wielkiego drzewa. Chyba lipy.

Było już późno. Agata musiała się spieszyć, by zdążyć na spotkanie. Zapowiadało się niesamowicie ciekawie. Gościem ich koła naukowego miał być doktor Kacper Rękawek, ekspert od współczesnego terroryzmu. Podobno studiował na Queen's University Belfast, więc pewnie przygotował ciekawe wystąpienie na temat Irlandzkiej Armii Republikańskiej i sławnych The Troubles, „Kłopotów”, z jakimi w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku zmagало się społeczeństwo Irlandii Północnej. Konflikt co prawda został już zażegnany, na ulicach tego miasta dawno nie zorganizowano żadnego zamachu bombowego, choć co roku, dwunastego lipca, w rocznicę jakiejś tam istotnej dla Irlandczyków bitwy, nadal odbywają się całkiem malownicze marsze, które niestety zwykle przeradzają się w mniej lub bardziej chuligańskie rozróby.

Agacie ten temat wydawał się bardzo interesujący, niemal polski i współczesny. Tamten konflikt miał charakter nacjonalistyczny i religijny. Obecne polskie kłopoty pachniały tym samym. Kiedyś wreszcie trzeba będzie jakoś ten coraz głębszy od pewnego czasu podział w naszym społeczeństwie załagodzić, wojenne okopy zasypać, więc może warto się

przyjrzeć, jak zrobiono to w Irlandii Północnej. Dla niej to była ważna sprawa. Może nie tyle życia czy śmierci, ile tego, czy będzie mogła zrealizować swoje marzenia o pracy w dyplomacji takiej na miarę Krzysztofa Skubiszewskiego, Władysława Bartoszewskiego czy Bronisława Geremka. Tylko skąd wziąć podobny autorytet?

Rozważania te pochłonęły ją bez reszty. Zapomniała o dziwnym doświadczeniu z mamą toaletką na wiele dni. W każdym razie udało jej się wmówić sobie, że nic takiego się nie stało, że to były jakieś przywidzenia i omamy, a najlepiej sen. Rzecz niewarta uwagi. Ale kiedy któregoś przedpołudnia znalazła się w domu sama, bo rodzice pognali do pracy, weszła do sypialni i usiadła przed lustrem. Dziewczyna z pszenicznym warkoczem już tam była. Siedziała ze spuszczoną głową. Cała jej postać wyrażała rezygnację. Powoli podniosła głowę i patrząc Agacie prosto w oczy, powiedziała:

– Wiem, zwariowałam.

– Poczekaj, nie odchodź – poprosiła Agata i wstała od toaletki, by ze ściany sypialni zdjąć jedną z wiszących tam fotografii. Była to kopia zdjęcia, które w swoich staroświeckich albumach przechowywała jej cioteczna babka Eugenia, a przedstawiało mamę, Zośkę Przywarową, w dziewiętnastowiecznej sukni albo kobietę do niej bardzo podobną. Podsunęła tę fotografię do lustra.

– Czy znasz tę osobę?

Dziewczę niemalże chciwie przywarło wzrokiem do fotografii.

– To moja matka – odpowiedziała powoli i z wielkim zdumieniem. – Skąd pani ma ten dagerotyp?

Agata nie odpowiedziała, tylko znowu zerwała się, żeby ze ściany ściągnąć następne oprawione w ramkę zdjęcie. Tym razem przedstawiało współczesną Zośkę. Teraz obydwie pokazała dziewczynie w lustrze. Pszenicznowłosa przez chwilę przyglądała się uważnie raz jednemu, raz drugiemu, a potem utkwiała wzrok w Agacie.

– Co za niezwykle podobieństwo!

– Prawda? Ta druga to moja matka! Jakiś czas temu...

– Myślałam o pani – przerwała jej dziewczyna w lustrze. – Jest pani niezwykle podobna do mojej siostry Bogusi.

Dziwaczność tej sytuacji stawała się dla Agaty trudna do zniesienia. Coraz nachalniej rosło w niej przeświadczenie, że to, co razem z ojcem

uważali za psychiczny kryzys ich żony i matki, mogło być chorobą, na dodatek dziedziczną.

– Ja zwariowałam – jęknęła w odpowiedzi Agata.

– Więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie, niż się ich śniło waszym filozofom. – Teraz ton dziewczyny był bardzo trzeźwy i racjonalny. Może nawet zbyt racjonalny w sytuacji, do której rzeczywiście jak ulał pasowała znana sentencja Szekspira. Widocznie jej było łatwiej zaakceptować to, co się działo. – To niezwykle podobieństwo sugeruje, zdaje się, że jesteśmy jakoś spokrewnione – dodała.

– Cioteczna babka Eugenia twierdzi, że dama na tym zdjęciu to Zofia Lutomińska. Lutomińska to nazwisko panięńskie mojej mamy. Takie podobieństwo jeszcze mogłoby się zdarzyć, ale ona niedawno przeszła załamanie nerwowe i wtedy wydawało jej się, że znalazła się nagle w czasach powstania styczniowego. Wiele na ten temat opowiadała.

– To by się zgadzało – odparła trzeźwo dziewczyna po chwili namysłu. – Właśnie w czasie powstania, które faktycznie rozpoczęło się w styczniu, moja mama także przeżywała jakiś kryzys nerwowy. Nie mówiła nic na ten temat, ale czasem zachowywała się bardzo dziwnie. To był dla nas trudny okres.

– Podczas powstania zginął twój ojciec?

– Tak...

– Brat został zesłany na Sybir?

– Ciągle tam jest!

Mówiły coraz bardziej gorączkowo, coraz bardziej zdziwione, coraz bliższe uwierzenia, że ta niezwykła sytuacja jednak może nie być tylko halucynacją.

– A u drugiego zdiagnozowano gruźlicę?

– Biedny Guccio już chyba nie ucieknie przed śmiercią. Jego stan jest tragiczny, ale nie chce wrócić do domu. Mówi, że umrze, patrząc na góry.

Przyglądały się sobie przez chwilę w najwyższym zdumieniu.

– Jestem Agata, córka Zofii. O tym wszystkim opowiadała mi moja mama, twierząc, że była wtedy u was – wreszcie przerwała milczenie Przywarówna, odruchowo wyciągając rękę, jak zwykle robi się przy przedstawianiu. Zderzyła się z lustrem.

– Anastazja Lutomińska, również córka Zofii. – Uśmiechnęła się ta druga i z wdziękiem skłoniła nieco.

– Jak one to zrobiły? – Agata zastanawiała się nad możliwością podróżowania w czasie. Skoro już się jej coś takiego trafia, to dlaczego by nie skorzystać? To mogłoby być ekscytujące!

– Skoro twoja mama o czymś takim wam opowiedziała, to można jej zapytać! – Najwyraźniej logiczne myślenie było mocną stroną Anastazji. – A mnie interesuje, w jaki sposób jesteście spokrewnione.

– Przy najbliższej okazji podpytam o to cioteczną babkę. Ona na pewno będzie wiedziała. Całe życie pracowała w pułtuskim archiwum i tak przy okazji historię rodziny ma w małym palcu.

Rozdział 2

Dwór w Lutomierzycach najpiękniejszy był w maju. Jechało się do niego przez wieś, drogą wysadzaną wierzbami, a potem lekko skręcało w stronę lasu. Zaraz za zakrętem rozpoczynał się parkan otaczający park. Przez nigdy niezamykaną bramę wjeżdżało się w aleję, wzdłuż której rosły wielkie kasztanowce – teraz białe od baldachów kwiatów przypominających lichtarze. Choćby było najgoręcej, tu zawsze panował chłód, choćby gdzieś tam gnana wiatrem ulewa siekła bezlitośnie, tu, pod parasolem z liści, człowiek już się czuł jak w domu. Radość wypełniała każdego, kto zanurzał się w cienisty tunel i szedł dalej wabiony zapachami. Bo w końcu wychodził na duży okrągły gazon, na którym wiosną królowały tulipany, narcyzy i hiacynty. Pod samym dworem bielily się konwalie, a przy otwartym oknie suteryny, w której mieściła się ogromna kuchnia, rósł dorodny krzak jaśminu.

Dwór nie wyróżniał się niczym szczególnym. Ot, ganek wsparty na kolumnach i rząd okien po jednej i po drugiej stronie. Tylko w jednym z okien facjatek błyskała wielka i prawie profesjonalna luneta. Pokój z tym przyrządem należał do panny Anastazji Lutomierskiej, która wiele wieczorów spędzała, wpatrując się za jego pomocą w niebo. To cacko Nastusia nazywała teleskopem Newtona i było ono atrakcją towarzyską Lutomierzyc. Co prawda goście chętniej kierowali tubus teleskopu gdzieś w pola i cieszyli się niezmiernie, kiedy ze szczegółami mogli sobie pooglądać dzieciaki pasące krowy na podmokłych łąkach za rzeką albo powóz jadący traktem. Ale właścicielka tego cuda techniki uważała to za trochę prostacką rozrywkę i traktowała z wyrozumiałością podszytą leciutkim lekceważeniem.

Panna Anastazja taka była: bujająca w obłokach i szukająca w życiu jakichś górnołotnych celów. Złośliwi komentowali, że sama nie wie, czego chce. Może dlatego, mimo iż skończyła już nauki na pensji panny Mrozińskiej w Warszawie i miała prawie dwadzieścia lat, nie wyszła jeszcze za mąż, w jej otoczeniu nawet nie było nikogo poważnie starającego się o rękę dziewczyny. Jednak zamiast się tym przejąć, wycinała z prasy artykuły dotyczące ostatniego wielkiego odkrycia astronomicznego. A w maju gazety informowały, że francuski astronom Alphonse Borelly odkrył kolejny obiekt w pasie planetoid znajdującym się między orbitami

Marsa i Jowisza. Rzecz była dla Anastazji fascynująca, bo jakiś czas temu przeczytała o zadziwiającym zjawisku. Odległości kolejnych planet od Słońca wykazują pewną prawidłowość. Jaką? To panna Lutomierska każdemu była gotowa wyjaśnić, tyle że nikt jej nie chciał słuchać. Ale dla niej niezwykle ciekawe było, że między Marsem i Jowiszem nie krążyła planeta tam, gdzie według tych prawidłowości powinna, a za to znajdował się pas okruchów skalnych. Czy Bóg, stwarzając ten wieczny i niezmienny świat, pomylił się, czy też te planetoidy są skutkiem jakiejś wielkiej kosmicznej katastrofy, której uległa kiedyś znajdująca się tam planeta? Nikt na to pytanie odpowiedzieć nie potrafił, ale spoglądając w niebo, Anastazja miała wrażenie, że dane jest jej patrzeć na Boską robotę z bliska i widzieć ją w całej jej potędze i skomplikowaniu.

Zwykle te zajęcia pochłaniały ją bez reszty, a dziś uciekła w nie od dręczących myśli o tym, co zobaczyła w lustrze toaletki swojej matki, kiedy weszła do sypialni, by odrobinę skropić się jej perfumami. Bo panna Anastazja miała słabość do pięknych zapachów. Dlatego z taką lubością przechadzała się po parku w maju i czasem ulegała grzesznej pokusie, by zajrzeć do maminego pokoju i choćby powąchać stojące tam flakony. Prawie udało jej się już skupić na doniesieniach o próbach uporządkowania wiedzy o Układzie Słonecznym, kiedy dobiegł ją z dołu dzwonek wzywający na podwieczorek. Zbiegła szybciotko po skrzypiących schodach.

W jadalni było prawie pusto, tylko panna Stanisława, daleka i uboga krewna jej matki, kręciła się koło stołu, rozstawiając talerze i czarki z konfiturami. Pachniała zaparzana kawa.

– Pomóc w czymś cioteczce?

– Dziękuję, robaczku! Cóż to za robota! – Ciotka machnęła lekceważąco ścierką, ale wręczyła jej serwetki i sztucce do rozłożenia. – Kiedyś do stołu siadało czasem i dziesięcioro ludzi, a dziś? Ledwie połowa.

– Tak, cicho tu – zgodziła się Anastazja, przypominając sobie harmider, jaki potrafili zrobić ona i jej rodzeństwo.

– Ty, Nastusiu, byłaś najcichsza ze wszystkich dzieci, najgrzeczniejsza. Chłopaki to wisusy!

Obie zamilkły, bo wspomnienie braci Anastazji, Antoniego i Gustawa, zawsze napawało je smutkiem. Antoni za udział w powstaniu styczniowym skazany został na zesłanie na Syberię, a Gustaw dręczony gruźlicą

próbował ratować się przed nią tatrzańskim powietrzem. Takie zasmucone zastała je matka, Zofia z Łagierskich *primo voto* Lutomińska, a teraz szczęśliwa pani Gosztowiczowa.

– Naszych panów jeszcze nie ma? – Uśmiechnęła się promiennie. Czas łaskawie się z nią obchodził. Mimo że dobiegała już pięćdziesiątki, a życie jej nie oszczędzało, to cerę miała jeszcze świeżą, a postać zręczną.

– Wrócili z pola, tylko muszą się obmyć – odpowiedziała ciotka Stanisława.

Jakoś z przybyciem matki atmosfera w jadalni się rozjaśniła. W korytarzu słychać już było męskie głosy. To Franciszek Łagierski, daleki krewny pani Zofii zajmujący się w Lutomierzycach stadniną, i Konstanty Gosztowicz, jej mąż. Skończyli już na dziś pracę i mogli zasiąść ze wszystkimi do podwieczorku. Zająć mieli wiele i trudno im było się od nich oderwać, dlatego nieczęsto się zdarzało, że wszyscy razem jadali, ale wtedy jakoś się tak robiło bardziej domowo i swojsko. Mniej odczuwało się, że stół w jadalni był za duży, mniej pamiętało o nieobecnych braciach czy babce, której apodyktyczność tak łatwo można było wybaczyć w kilka lat po jej śmierci. A jeszcze milej zrobiło się, kiedy Marcelinka, od wieków zarządzająca lutomińską kuchnią, wniosła puszyste drożdżowe racuchy ułożone w piramidkę na ogromnym talerzu, a w chwilę potem tacę zastawioną filiżankami pełnymi kakao z kogłem-mogłem, ozdobionymi zapieczoną pianką¹. Pyszności!

¹ Ten przysmak jest już całkiem zapomniany, a Marcelince nie sprawiał zbyt wiele fady. Na jedną porcję trzeba z niecałej szklanki mleka odlać tyle, by rozrobić w nim łyżeczkę kakao, a potem dodać je do zagotowanego mleka. W międzyczasie ukręcić kogel-mogel z jednego żółtka i dwóch łyżeczek cukru. Kogel-mogel zalać gorącym kakao i przelać do żaroodpornego kubeczka. Białko ubić z kolejną łyżeczką cukru, wyłożyć na wierzch kakao i wstawić do zapieczenia na dziesięć minut do dobrze nagrzanego pieca.

Z początku rozmawiano o wielkiej europejskiej polityce, czyli o tym, że Prusy już od dłuższego czasu próbują zjednoczyć wszystkie państwa niemieckie pod swoim zwierzchnictwem, i zastanawiano się nad tym, czy pozwoli na to Francja, bo zdecydowanie ten proces nie był w jej interesie.

– Niech no tylko Napoleon rozpocznie wojnę z Prusakami, to niejedno się może w Europie zdarzyć! – entuzjasmował się pan Franciszek. Jak wszyscy tak i on wiedział doskonale, że francuski cesarz, Napoleon III Bonaparte, był tylko bratankiem swojego wielkiego imiennika, ale wierzył, że jeszcze

kiedyś przyjdzie czas i ktoś z tego rodu potrząśnie Europą i przyniesie wolność jej narodom.

Sprawa ta pewnie byłaby i dzisiaj, jak od wielu już tygodni, roztrząsana wnikliwie i drobiazgowo, ale pan Konstanty wstał na chwilę od stołu, by przejrzeć pocztę i wyciągnąwszy z pliku czasopism, rachunków i listów jeden z nich, głośno zawołał:

– Z Zakopanego!

Wieść ta wywołała drobny tumulcik, bo wiadomości od Gustawa wyczekiwano z ciągle odradzającą się nadzieją, że kiedyś będą lepsze. Tym razem jednak nie było się co tego spodziewać, bo list był adresowany jakąś obcą ręką. Pisał pan Adam Uznański, właściciel dóbr szaflarskich na Podhalu, mający jakieś swoje majątki także w Zakopanem. Rozwodził się on szeroko o zaletach kąpieliska z ciepłą wodą podgrzewaną przez naturalne siły w głębi ziemi. Kąpiele w niej, a szczególnie żuźłowe i iglicowe, miały podobno niezwykle korzystny wpływ na zdrowie.

„Niestety nawet one – pisał dalej pan Uznański – nie były w stanie pomóc Gustawowi, o czym zawiadamiam szczerze zmartwiony, bowiem pan Lutomierski z racji zalet umysłu i charakteru jest najmiłą ozdobą nielicznego zakopiańskiego towarzystwa”.

Ten fragment listu pan Konstanty przeczytał na głos. Cisza zapanowała w salonie zakłócona tylko chlupaniem Marcelinki, która na hasło „z Zakopanego” stanęła w drzwiach jadalni.

– Poczekajcie! Pisz dalej ten Uznański, że stan zdrowia Gucia pogorszył się i coraz bardziej prawdopodobne jest, iż nie dożyje następnej wiosny. Sugeruje, żeby przyjechać do Zakopanego, a on już zajmie się wyszukaniem odpowiedniego lokum.

– Jedziemy – zadecydowała pani Zofia.

Wiadomo, że taka podróż to wielkie przedsięwzięcie, więc czym prędzej wysłano telegram do pana Uznańskiego zapowiadający przyjazd i z prośbą o sugerowaną pomoc. Szykowano się do wyjazdu przez najbliższe tygodnie i z niecierpliwością oczekiwano odpowiedzi potwierdzającej rezerwację jakiegoś mieszkania. Nastusia także się w te przygotowania włączyła i tak jedynie przy okazji zaglądała do pokoju matki. Ale tam w lustrze nikogo nie było.

– Sen mara, Bóg wiara – mruzczała co rusz, próbując się przekonać, że ta podobna do Bogusi dziewczyna w lustrze była tylko dziwacznym

majakiem. Z marnym skutkiem. Jej zwykła trzeźwość ani umysł żądający jasnych i logicznych wyjaśnień każdego zjawiska jakoś nie potrafiły pomóc.

*

Tymczasem w mieszkaniu na Imielinie powoli wygasały dyskusje związane z zakończonym niedawno strajkiem nauczycieli. W tajemnicy przed mamą Agata z tatkiem zawiązali porozumienie. Oboje zgodzili się z tym, że poturbowaną fiaskiem tego protestu Zośkę trzeba chronić przed kolejnymi wstrząsami natury politycznej, więc jak tylko mogli, odciągali ją od telewizora w porze programów informacyjnych i zamiast gazet podtykali ciekawe książki. Ale zadanie było trudne, bo atmosfera w kraju znowu była podgrzewana do białości za sprawą zbliżających się wyborów do parlamentu europejskiego. Dlatego w przedwyborczy weekend Konstancy zaproponował wycieczkę do Pułtusza do babci Eugenii, a Agata z entuzjazmem go poparła. Oczywiście, że trzeba chronić mamę, ale nagle bardzo ją zainteresowało to, które dziecko pani Zofii było ich przodkiem. Agata stawiała na Antosia. Panięńskie nazwisko mamy świadczyło o tym, że to musiał być któryś z synów, no a Gustaw... Wiadomo!

– Co ja wiem o dzieciach Zofii Gosztowiczowej? – zastanowiła się starsza pani, kiedy już siedzieli przy gościnnym stole w pułtuskim domu i pogadali sobie o pogodzie, wyborach prezydenckich na Litwie i nowym filmie braci Sekielskich.

Agata była pełna podziwu dla tej ich ciotecznej babki. Nawet na kontrowersyjne tematy potrafiła mówić tak spokojnie, taktownie, nie urażając nikogo. Może to jest łatwiejsze, kiedy towarzyszy temu tak wyśmienity sernik jak ten, który postawiła na stole? Puszysty, z krążkami ananasa i bezą na górze. Coś fantastycznego!

Był cichy sobotni wieczór. Drzwi prowadzące na taras znajdujący się od strony ogrodu były otwarte. Płynął przez nie rozkoszny zapach maciejki, która musiała rosnąć gdzieś tam pod oknami domu. Majowe chrząszcze raz po raz odbijały się od moskitiery osłaniającej wyjście na dwór.

– Tu mam zdjęcie całej czwórki. – Babcia Eugenia rozłożyła na stole jeden z albumów. – A ty, Agatko, jesteś niezwykle podobna do najstarszej córki pani Lutomierskiej, Bogusi.

Agata pochyliła się nad fotografią. Rzeczywiście! Tamta dziewczyna miała jej owal twarzy, jej oczy, choć chyba jakieś bardziej roześmiane i szczęśliwsze niż ona. Ale przyglądała się swojemu sobowtórowi tylko przez chwilę, bo jej uwagę przykuła młodsza siostra.

– To Anastazja? – Tak sobie tylko spytała, bo była pewna. Te same oczy – tu szare, ale Agata wiedziała, że w rzeczywistości intensywnie niebieskie, jasny, gruby warkocz przerzucony przez lewe ramię, pięknie wykrojone usta.

– Tak, to Anastazja.

Dziwne się wydało Agacie to, że ciotka Eugenia poprzestała na tym poświadczeniu. O innych członkach rodziny gotowa była opowiadać długo i szeroko.

– Piękna! Jakie były jej losy?

– Niewiele mogę powiedzieć. Nagle znikły pamiątki po niej. W moim archiwum nie mogłam znaleźć żadnych dotyczących jej dokumentów.

To brzmiało bardzo niepokojąco.

– A może są jakieś zapiski, z których można by wywnioskować, które z dzieci pani Zofii jest naszym przodkiem? – zapytała Zośka.

Agata ciągle przetrawiała wiadomość o losach Anastazji, a raczej jej brak.

– Z odpowiedzią na to pytanie nie będę miała najmniejszych trudności. Wywodźcie się od Gustawa.

Tu ciotka Eugenia rozgadała się obficie. Co i raz wyciągała z jednego ze skoroszytów kserówkę a to aktu urodzenia, a to wypisu z ksiąg kościelnych, a to kopię jakiegoś listu. Zaskoczona Agata nie była w stanie się na tym wszystkim skupić.

– Ale podobno Gustaw był chory na gruźlicę, w beznadziejnym stanie! To nie pomyłka?

– Dużo wiesz. – Starsza pani spojrzała na Agatę uważnie. – Zachowało się sporo listów od Gustawa do matki, ale w żadnym z nich nie ma wyjaśnienia, jak udało mu się pokonać chorobę, choć rzeczywiście był taki moment, że lekarze nie wróżyli mu długiego życia. Sprawa jest mocno tajemnicza. Cóż, więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie, niż się ich śniło naszym filozofom.

Agata zaniepokojona podniosła wzrok na ciotkę Eugenię. Od kogo słyszała ostatnio te słowa? Och! Od Anastazji! A ciotka Eugenia? Czy

miała już trochę wyblakłe, ale kiedyś musiały być piękne, wyraziste i chabrowe. Nie nosiła grubego warkocza przerzuconego przez lewe ramię, ale jej siwawe włosy były jasne i mimo wieku jeszcze bardzo gęste. I ten piękny wykrój ust. Na pewno nic nie wiedziała o Anastazji? Czy tylko nie chciała mówić?

Rozdział 3

Kiedy Agata zaglądała do sypialni rodziców i zastawała tam matkę siedzącą przed toaletką, pochyloną w stronę lustra, zwykle dyskretnie się wycofywała. W takiej pozycji zmywa się makijaż, usuwa wyrastające nie tam, gdzie trzeba, włoski z brwi, robi się – jednym słowem – rzeczy intymne i takie, przy których nie chciałoby się mieć świadków. Ale mama też w tej pozycji często coś mruzczała do swego odbicia i wtedy szczególnie nie lubiła towarzystwa. Złapana na czymś takim, z lekka speszona, prostowała się i obiecywała temu niechcianemu świadkowi, że zaraz przyjdzie, za chwilę, tylko... Wtedy Agata mówiła: „Nic, nic, mamuś”, i jeszcze szybciej uciekała z jej pokoju, nie chcąc widzieć, że to, co brali z ojcem za nerwowy kryzys, jeszcze w jakimś stopniu trwa, że ma swoje następstwa i mama ciągle gada do siebie w lustrze, co wydawało się jej niepokojącym dziwactwem. Do czasu.

Teraz szukała możliwości pogadania z mamą siedzącą przy toalecie. Wiedziała, że bez współpracy z nią nieprędko może jej się zdarzyć okazja porozmawiania z Anastazją, a pewna myśl nie dawała jej spokoju. To mało powiedziane! Ta myśl napawała ją przerażeniem i obsesyjnie nękała. Co będzie, jeśli Gustaw jednak umrze bezpotomnie? Jeśli nie stanie się cud i nie wyzdrowieje? Co z nimi będzie? Z mamą? Z samą Agatą? Wyparują? Może teraz właśnie znalazły się w ślepym zaułku czasu? Takim, który nie ma przyszłości? Czy można sprawy własnego bytu zdać na ten cud, jeśli się w cuda nie bardzo wierzy, mimo tych wszystkich rzeczy wokół, o których nie śnili filozofowie?

Te pytania dręczyły Agatę, dlatego tym razem jednak nie zamknęła w lekkim popłochu drzwi, zastawszy matkę pochyloną w kierunku lustra. Kątem oka zauważyła, że przemknęła w nim falbaniasta suknia, a jej właścicielka czmychnęła gdzieś w bok.

– Mamo, ja muszę z nimi porozmawiać.

– Z kim? – Zośka Przywarowa zdawała sobie sprawę z tego, jak trudne do przeknięcia dla rodziny są jej kontakty za pośrednictwem toaletki z jej starszą o ponad sto pięćdziesiąt lat imienniczką. Dlatego nie tyle je ukrywała, ile nie obnosiła się z nimi.

– Z Anastazją, a nawet z jej mamą.

Zośka uważnie spojrzała na córkę. Zmarszczyła brwi, najpierw wykonała taki gest, jakby chciała rozgonić te wszystkie nedorzeczności, które obsiadły je obie, ale zaraz potem przesunęła się troszkę, robiąc miejsce dla Agaty, i powiedziała:

– Weź sobie pufę i usiądź koło mnie. Z Anastazją? Rozmawiałaś z nią? – Mama chyba się z tego ucieszyła.

– Tak mi się wydaje – przytaknęła niepewnie córka.

– I?

– Mamo, trzeba ratować Gustawa!

– Też bardzo współczuję pani Zofii.

– Jak myślisz, na czym polegał cud jego wyzdrowienia? Jestem pewna, że potrzebna jest nasza interwencja. To nieodpowiednia chwila, by zastanawiać się nad zagadkami czasu. Gdy sobie o tym pomyślę, puchnie mi głowa. Niech filozofowie się nad nimi zastanawiają! Ja wiem, że trzeba ratować Gustawa!

Falbaniasta suknia znowu zaszumiała po drugiej stronie lustra i pani Zofia usiadła przed nim na swoim foteliku.

– Można uratować Gustawa? – zapytała, z wrażenia z trudem łapiąc powietrze.

– Za naszych czasów lekarze potrafią to zrobić! – Agata ledwie hamowała emocje. Niedowierzenie w to, co widzi, mieszało jej się z poczuciem konieczności robienia tego, co wydawało jej się nedorzecznością. Nie! Koniecznie musiała opanować ten potworny chaos, który rodził się w jej głowie. Potrzebna była spokojna i trzeźwa, choć dziwnie o tym myśleć w tych warunkach, Anastazja.

– Jak? – dopytywała pani Zofia. Wszystko by zrobiła, żeby ratować syna!

– Czy możemy wezwać na tę naradę także Anastazję?

– Poczekajcie – rzuciła im tylko pani Gosztowiczowa i wyszła z pokoju zawołać Nastusię.

– Więc jak? – powtórzyła swoje pytanie, kiedy już obie wróciły przed lustro.

– Wymyślono lekarstwo, antybiotyk, dziś leczy się gruźlicę – wyjaśniła Zośka.

W pierwszej chwili Anastazja wyglądała na straszliwie skonsternowaną takim niecodziennym konsylium deliberującym nad zdrowiem jej brata, ale szybko opanowała zdziwienie.

– Mateczka też widzi to, co ja? – spytała dla pewności i potem już się nie dziwiła opowieściom, że obie matki ucinają sobie takie pogaduszki od jakiegoś czasu, a na dodatek przez przypadek zdarzyło się, że zamieniły się na jakiś czas miejscami.

– Załóżmy, że to jest możliwe – niezbyt zręcznie odezwała się Agata, a obie Zofie zgromiły ją wzrokiem.

– Jak? Co za przypadek? – Nastusia domagała się informacji.

– Już od pewnego czasu rozmawiałyśmy – zaczęła wyjaśniać pani Zofia.

– Te rozmowy były dla mnie bardzo istotne, bo obie miałyśmy podobne problemy i inne perspektywy patrzenia na nie... I ją, i mnie zdradził mąż. To dla kobiety zawsze bardzo bolesna sprawa.

– W pewnej chwili pomyślałam – wtrąciła Zośka – że gdybym była na twoim miejscu, łatwiej poradziłabym sobie, bo nie byłam obciążona tym całym balastem kulturowym, pod jakim uginają się kobiety w waszych czasach. Wiecie, co wypada, a czego nie...

– A ja też miałam wrażenie, że lepiej niż ty wiem, jak należy postąpić w twojej sytuacji. Jakoś tak się złożyło, że obie jednocześnie wypowiedziałyśmy to samo zdanie, że gdybyśmy zamieniły się miejscami...

– Ale kochane! To się zdarza wielu ludziom! – Agata zrobiła to, czego nigdy w życiu nie śmiałyby zrobić Nastusia. Wtrąciła się nieproszona do rozmowy matek. – Z tego co wiem, jakoś nikt z tego powodu nie przenosił się w czasie! Najwyżej co bardziej przesądni łapali się za kolana, mówiąc: „raz, dwa, trzy, moje szczęście!”

– Ja miałam wrażenie, że to było coś specjalnego. Ta sama barwa głosu, ta sama głośność i wysokość dźwięku. Coś się jakby splotło, zmieszało. Ty mówiłaś – zwróciła się do Zośki ze śmiechem pani Zofia, jakby to był żart – że czasoprzestrzeń się zawinęła.

– Jeszcze trochę pamiętam z fizyki – znowu wtrąciła Agata i zaczęła się mądrzyć o przestrzeniach euklidesowych i nieeuklidesowych zawijających się pod wpływem grawitacji, o czasoprzestrzeni, teorii strun i wielkiego wybuchu.

Anastazja dostała wypieków na twarzy z emocji, słuchając tego wszystkiego, ale nie straciła z pola widzenia głównego tematu ich rozmowy.

– Teorii strun? To może ona ma coś wspólnego z tymi podróżami w czasie?

Tym pytaniem zupełnie zbiła z pantałyku Agatę, bo tak mówiąc szczerze, nie miała ona zielonego pojęcia, co to takiego jest, ale na całe szczęście Nastusię teraz zainteresowała praktyczna strona problemu.

– Z tego wynika, że jakąś szansę na to przemieszczenie mają nasze matki i może ty i Bogusia. Jesteście bardzo podobne i macie identyczną barwę głosu. A jeśli tak, to może udałoby się przemyścić przez granicę czasu to lekarstwo leczące gruźlicę?

Długo jeszcze rozmawiały. Zachodzące słońce rzucało czerwonawe blaski przesiane przez liście rosnącej pod oknem sypialni pani Zofii lipy. To samo słońce starsze o sto pięćdziesiąt lat bez najmniejszych przeszkód zaglądało do pokoju Zośki na warszawskim Imielinie tak natarczywie, że Agata musiała spuścić rolety. Ale wszystkie się zgodziły co do jednego, że trzeba w akcję ratowania Gustawa wtajemniczyć także Bogusię i to ona i Agata powinny pracować nad techniką przemieszczania się w czasie. A pani Zofia z Anastazją wybiorą się do Zakopanego, by zorientować się bliżej w stanie zdrowia młodego Lutomińskiego. A poza tym, jeśli to miały być ostatnie miesiące jego życia, to pani Zofia chciała przy nim być.

Ledwie na tym stanęło, kiedy usłyszały, że pod dwór podjeżdża furka Żyda Szmula, który cały dzień kręcił się po okolicy, świadcząc różnorodne usługi. Tym razem na pewno przywiózł pocztę, bo do czego innego nie był wzywany. Pani Zofia odruchowo nadstawiła ucha, czy panna Stanisława głośno nie obwieści, że przyszedł jakiś list. Całe jej życie to ciągle czekanie na listy. Przede wszystkim od Antoniego z Krasnojarska, od Gustawa z Zakopanego i od Bogusi z Serocka. Każdy list przynosił ze sobą powiew czegoś innego, wytchnienie od codziennej, co tu dużo mówić, nudnej krzątania wokół prozaicznych gospodarskich spraw.

– Dzięki Bogu! Z Krasnojarska!

Usłyszały pełen rozradowanego podniecenia głos krewnej i już wiedziały, że między codziennymi gazetami, rachunkami, całą gospodarską korespondencją musiał się znaleźć list od Antosia.

Pożegnały się bardzo szybko. Tak szybko, że Zośka i Agata zostały jeszcze z pewnym niedosytem. Co prawda jasno ustalono, że trzeba spróbować przetransportować przez lustro toaletki lekarstwo dla Gustawa i zając się tym powinny Agata z Bogusią, ale nie wiadomo było, na kiedy

do Lutomierzyc pani Zofia zamierza zaprosić swoją starszą córkę, bo przecież dobrze byłoby, żeby przyjechała przed wyjazdem matki i siostry do Zakopanego, a rzecz była ważna, bo do tego czasu ich młodsze krewne powinny zdobyć jakimś cudem antybiotyk, który poradziłyby sobie z gruźlicą Gustawa.

– Nie wiem, jak ona to znosi – powiedziała Zośka, kiedy już zostały same z Agatą. – Jeden syn śmiertelnie chory, drugi na zesłaniu, od obydwu tylko rzadkie listowne wieści. Załamalabym się.

Tymczasem w salonie lutomierskiego dworu pani Zofia czytała list. Robiła to głośno, bo spragnione wiadomości były także panna Stanisława i Marcelinka. Potem jeszcze raz będzie on czytany, kiedy do domu wrócą pan Gosztowicz i Franciszek Łagierski. Antoś pisał, że wreszcie udało mu się dostać oficjalne pozwolenie na wyjazd z Aczyńska do Krasnojarska. To miało duże znaczenie, bo już w Aczyńsku pracował w biurze rozrachunkowym nadzorującym wydobywanie złota w Kraju Krasnojarskim, a teraz awansował do centralnego biura i cieszył się bardzo, bo w Krasnojarsku znajdzie lepsze warunki do życia. Donosił też, że Luba, jego żona, czuje się już dobrze po urodzeniu małego Kaziutka i oboje pozdrawiają. Ale najważniejszą wiadomość zostawił Antoś na sam koniec. Na Syberii popularne jest lekarstwo robione ze sproszkowanego rogu reniferów lub tamtejszych jeleni zwane panty. Tubylcy uważają, że pomaga nawet na najgroźniejsze choroby. Luba, która nieźle zna się na medycynie, co prawda podchodzi do tych rewelacji sceptycznie, a wiadomo, że dla Antosia jest ona najwyższym autorytetem pod tym względem, ale co szkodzi spróbować. Antoś zakupił tyle porcji tego specyfiku, ile powinno wystarczyć na całą kurację dla Gustawa. W najbliższym czasie należy się więc spodziewać paczki, bo jest ona nadana równo z listem, ale jak zawsze trochę wolniej idzie.

– Kochany – rozrzewniła się pani Zofia, przyciskając list do piersi.

Ostatni raz widziała go sześć lat temu na Dworcu Petersburskim w Warszawie. Przygnębiający to był widok. Antoś był blady po wielomiesięcznym uwięzieniu, wychudzony, skuty kajdanami. Szedł wtedy z transportem więźniów skazanych na wywózkę na Syberię za udział w powstaniu. Jednak jakoś sobie poradził i na zesłaniu. Dzielny chłopak!

Rozdział 4

Antoni doskonale pamiętał tamten dzień. Cytadela jeszcze spała, kiedy strażnicy po kolei otwierali cele i prowadzili skazanych do pomieszczenia, które przypominało zwykłą kuźnię. Tu zakuwano ich w kajdany. Nie zdawał sobie wtedy jeszcze sprawy z tego, jakie miał szczęście na początku tej przekłętej podróży. Trafiły mu się okowy ani nie za ciasne, ani nie za luźne. Takie w sam raz. Dopiero później, podczas wielomiesięcznej tułaczki, okazało się, jakie to ważne. Potem wsadzono ich w więzienne karetki po dziesięciu do każdej i zawieziono na dworzec. Pamiętał, że padała gęsta mżawka. Drobne krople osiadały na twarzach skazańców, a oni ocierali je raz po raz rękawami. Tak w zasadzie potrzebowali tego deszczu, bo pozwalał ukryć łzy. Większość tych ludzi, dzielnych, twardych, płakała. Nie było nic, żadnej myśli, żadnego słowa, które mogłoby ich pocieszyć. Powstanie upadało, a oni musieli jechać gdzieś w kraj straszny, daleki, porzucić wszystko, co kochali, i nie wiadomo było, czy kiedykolwiek tu wrócą.

Antoś był chyba jedynym z całego transportu, który oprócz tego smutku miał w sobie trochę radości. Konstanty Gosztowicz, który wtedy jeszcze nie był mężem jego matki, uruchomił swoje znajomości i udało mu się załatwić, by Antoni odbył swoją karę w rejonie krasnojarskim, czyli tam, gdzie za szczególnie rażące pijaństwo i zaniedbywanie swoich obowiązków został zesłany lekarz wojskowego lazaretu przy warszawskiej cytadeli Andriej Timofiejewicz Zamiatin, a jego córka Lubow jechała razem z nim. Niby co miała ze sobą zrobić sama w kraju tak wrogo nastawionym do Rosjan? Nic nie było młodemu Lutomiernemu straszne, kiedy Lubow przebywała w pobliżu. Wszystko był gotów zrobić, by tylko być koło niej, móc ją chronić, patrzeć na nią.

Na dworcu w Warszawie po raz ostatni widział matkę. Dała mu wtedy swoją fotografię, która towarzyszyła mężczyźnie na wygnaniu i teraz też stała na komodzie w jego nowym krasnojarskim mieszkaniu. Było piękne i wygodne. Można powiedzieć, że Antoniemu powiodło się tutaj na Syberii. Miał wiedzę, szczęście i tę prężność, która jest nieodzowna wszystkim tym, którzy zamierzają brać się z życiem za bary i w żadnych okolicznościach nie załamywać rąk, ale zakasywać rękawy. Przydało mu się prawnicze wykształcenie i trochę administracyjnej praktyki, które wywiózł

z Warszawy. Bo większość zesłańców to były pospolite rzezimieszki niepotrafiące czytać ani pisać, rosyjscy kryminaliści. Tacy jak on na Syberii, którą carat postanowił zasiedlić i ucywilizować, mieli co robić.

Tam, na peronie Dworca Petersburskiego w Warszawie po raz pierwszy przekonał się, jak wielką siłę miała nawet drobna łapówka. Podsunął grosz urzędnikowi, który sprawdzał ich dokumenty i wyznaczał miejsca w poszczególnych wagonach. Chciał być blisko Luby, tym bardziej że znowu wynikły kłopoty z ojcem. Jeszcze kiedy w poczekalni żegnali się z rodzinami, doktorowi Zamiatinowi udało się przemknąć do restauracji i szybko wychylić parę stakańczyków wódki. Zaczął więc podróż ululany na cacy.

Zesłańców przewożono wagonami trzeciej klasy z drewnianymi, niewygodnymi siedzeniami. Wśród więźniów były kobiety, najczęściej towarzyszące skazanym mężom, niektóre zabrały ze sobą nawet małe dzieci. To było bardzo kłopotliwe, ale Luba i Antoni mieli nie mniej niż one problemów z ojcem dziewczyny. Jeśli na jakiejś stacyjce udało mu się zdobyć trochę wódki i wprowadzić w stan znieczulenia, to wszystko było dobrze, gorzej, jeśli znikąd nie można było skombinować ulubionego trunku. Robił się wtedy najpierw marudny, potem agresywny. Wszystko go drażniło, do wszystkich i o wszystko miał pretensje.

Tak dojechali do Petersburga, który nie zapisał się w pamięci Antoniego niczym szczególnym. Stamtąd takim samym pociągiem wysłano zesłańców do Moskwy, gdzie zaskoczyło ich serdeczne powitanie zorganizowane przez moskiewską Polonię. Mieli tu dwudniowy postój, który spędzić musieli w dawnych carskich stajniach teraz przerobionych na więzienie. Nazwano je Kałamażnym Dworem. Wyglądało to na pierwszy rzut oka nawet całkiem nieźle, bo budynki były potężne, w dobrym stanie, tylko robactwo rozplenilo się tam strasznie. Przez dwie noce Antoś i Luba nie odważyli się położyć na niesamowicie zapchlonych pryczach. Za to doktor Zamiatin kupił od jednej z przekupek, a wiele ich wchodziło na teren więzienia całkiem swobodnie, butelkę samogonu. Wypił i legł na jednej z prycz, nie bacząc na roje pcheł.

Antek musiał wtedy uspokajać Lubę, która szalała z niepokoju i bez przerwy mówiła o tyfusie, którego zarazki przenosiło robactwo. Żartował sobie, że stężenie spirytusu we krwi doktora jest tak wielkie, iż skusić by się na nią mogła tylko pchła alkoholiczka, ale widocznie nie miał racji, bo

w następnym pociągu, który wiozł ich do Niżnego Nowogrodu, Zamiatin poczuł się źle. Najpierw dostał gorączki, ale nie widać było charakterystycznej dla tyfusu wysypki.

W Niżnym Nowogrodzie więzienie mieściło się w zaniedbanych budynkach kremla² stojącego na wysokim brzegu Wołgi. Doktorowi i Lubie nakazano zatrzymać się tu jeszcze przez dwa dni, by się przekonać, czy to zwykła choroba, czy tyfus, którego strasznie bano się w transportach więźniów. Antoni po raz drugi musiał przekupić eskortujących ich żandarmów, by i jemu pozwolono zostać. Resztę skazańców załadowano na czekającą na brzegu Wołgi wielką barękę, którą mieli popłynąć dalej.

² Gród warowny albo twierdza znajdujące się w środku rosyjskich miast.

Kiedy w ciągu tych dwóch dni wysypka się nie pojawiła, wysłano całą trójkę kibitką na wschód do Orenburga, miasta leżącego na granicy Europy i Azji nad rzeką Ural i w górach o tej samej nazwie. Tam stan doktora gwałtownie się pogorszył. Nie było już wątpliwości, że to tyfus. Zmarł niedługo po przybyciu do miasta.

O tym wszystkim myślał Antoni, siedząc przy biurku swojego gabinetu i obracając w rękę kopertę. Niedawno dopiero przeprowadzili się do nowego, przestronnego mieszkania. Dostał lepsze stanowisko, a to wiązało się z przenosinami z Aczyńska do stolicy regionu Krasnojarska. Luba tyle serca włożyła w urządzenie ich nowego mieszkania. Rozejrzał się po pokoju, w którym stały masywne, ciemne meble. Wstał, by wyjrzieć przez okno osłonięte grubą bordową storą. Tam tętniło życie, którego on był częścią, choć wcale tego nie chciał. Z lekka zdezelowany powóz z impetem wpadł w kałużę, która została na brukowanej ulicy po niedawnym deszczu, i ochlapał służącą niosącą kosz prania. Kobieta postawiła toból na ziemi i wymachując zaciśniętą pięścią, wymyślała woźnicy. Buriat w sukienym kaftanie pędził stado kóz. Wyelegantowana para oglądała się za nim z niesmakiem. Dama przyłgnęła do ściany stojącego po przeciwnej stronie budynku, a jej towarzysz osłaniał ją przed zwierzętami. Dom naprzeciwko był podobny do tego, w którym mieszkanie mieli Lutomierscy, i do wielu innych, jakie można było spotkać w centrach syberyjskich miast. Był piętrowy, drewniany, ten akurat pomalowany na niebiesko z białymi obramowaniami okien wyciętymi w delikatną koronkę. Antoniemu

podobało się, że tutejsza zabudowa była tak kolorowa, choć ciągle raziły go przeganiane ulicami kierdle owiec, stada kóz czy jaków.

– W Warszawie nie do pomyslenia! – Westchnął i wrócił do koperty, która czekała na niego na biurku.

Gdyby nie Luba, drżącymi z radości rękoma rozerwałby kopertę i przeczytałby znajdującą się tam wiadomość. Bo przecież wiedział, co tam jest. Ale tak wiele zawdzięczał żonie. Kto wie, co stałoby się z nim, gdyby nie jej opieka, kiedy strasznie skatowany podczas przesłuchania wylądował w lazarecie warszawskiej cytadeli. Szpitalikiem miał się niby zajmować jej ojciec, ale on wiecznie pijany spał zwykle na leżance w gabinecie lekarskim. Uniwersytety były zamknięte dla kobiet, ale Luba radziła sobie w lekarskim fachu znacznie lepiej niż niejeden jej wykształcony kolega. Przeczytała wszystkie medyczne księgi ojca, a okazji do praktyki jej nie brakowało. W Aczyńsku jeden z pokoi ich mieszkania przearanżowała na gabinet, w którym przyjmowała chorych pracujących w niedalekiej kopalni złota i mieszkańców miasta. Na Syberii nikt nie pytał o uniwersyteckie dyplomy, kobieta lekarz też nikogo nie dziwiła. Leczeniem zajmowali się przecież szamani i szamanki, różni hochsztaplerzy, wędrowni znachorzy, jurodiwi³. Mogła też kobieta. Antoni widział, jak wiele satysfakcji dawała jej ta praca. Czasem był o to zazdrosny.

³ Boży szaleńcy – w religijności rosyjskiej jeden ze wzorów świętości. Ludzie szaleni, żyjący w nędzy, umartwiający się. W dawnej Rosji tacy cieszyli się szczególnym poważaniem. Uważano, że mają bliższy kontakt z zaświatami, dlatego mogą na przykład widzieć przyszłość i uzdrawiać. Jednym z nich był Rasputin.

– Tak lubię być potrzebna – tłumaczyła się z lekkim zakłopotaniem, ale uśmiechnięta, kiedy martwił się o nią, że za dużo pracuje.

– Mnie jesteś potrzebna – odpowiadał.

Ona wtedy siadała mu na kolanach, zarzucała ręce na szyję i mówiła:

– Jesteś najważniejszy!

Uśmiechnął się na to wspomnienie. Znowu sięgnął po list i leżący na biurku nóż do rozcinania kopert. Zerknął na pieczęcie, na których rozczapierał skrzydła dwugłowy orzeł, wokół niego, trochę rozmazany, widniał napis *Centralnaja Tiuriemnaja Administracija*, która miała swoją siedzibę w Tobolsku. Ech, Tobolsk...

Rozciął kopertę, wyjął pismo i pobieżnie przeczytał. Tak. Zawiadamiano go, że jest już wolnym człowiekiem. Jego kara za udział w powstaniu

styczniowym się skończyła. Może dysponować sobą, zostać w Krasnojarsku albo wrócić do Kraju Nadwiślańskiego. Od upadku powstania rosyjskiej administracji nie mogło przejść przez gardło słowo Polska.

Przez zamknięte drzwi gabinetu dobiegały stłumione domowe odgłosy. Luba śpiewała ulubioną kołysankę ich synkowi Kaziutkowi, a po salonie kręciła się pokojówka. Antoni znowu zagłębił się we wspomnieniach.

Kiedy zajechali na centralny skwer Tobolska, był już późny wieczór. Wysiedli. Nogi ściśnięte w niewygodnej kibitce zdrętwiały, krzyż bolał od wielu godzin bezruchu. Znad zupełnie niewidocznej po ciemku rzeki szedł pełen wilgoci i rybich zapachów powiew. Z jednej strony skwer otaczał biały mur kamiennego kremla, znaku potęgi carskiej władzy. Nad nim w ciemności połyskiwały złote kopuły cerkwi. Z drugiej strony stał wielki budynek Tobolskiego Centralnego Zakładu Pracy Przymusowej. Tutaj musieli wejść. Tu było więzienie. Strażnik długo przeglądał papiery.

– Lubow Andriejewna Zamiatina? – zapytał głupio, bo była przecież jedyną kobietą w ich niewielkim transporcie.

– Da⁴ – odpowiedziała niespokojnie Luba, a Antoni czuł, że zbliżają się kłopoty. Żandarm miał wąskie tatarskie oczy i złośliwy uśmiezek na gębie.

⁴ Tak (ros.).

– Wam tu nie ma czego szukać, wy nie więźniarka, a tu można być tylko skazanym.

– To gdzie mam pójść? Ciemno, nikogo nie znam. – Luba jeszcze do końca nie otrząsnęła się po śmierci ojca i niewiele w niej było zwykłej energii i dzielności. Teraz bezradnie rozglądała się po niedużej salce, w której się znaleźli.

– Znajdzie się jakiś nocleg. – Drab uśmiechnął się obleśnie.

Antoniego przeszedł dreszcz obrzydzenia. Wiedział, na jakie niebezpieczeństwa narażone są kobiety podczas podróży na zesłanie. Ze wszystkich stron na nie czyhały. Gwałty były codziennością.

– Musimy rozmawiać z naczalstwem! – wtrącił się do rozmowy.

– A wy kto?

– Skazany na osiedlenie. Antoni Kazimierowicz Lutomierski.

– Poliak! Buntowuszczyk! – Drab wstał zza biurka i podszedł do Antoniego. Złe błyski zapaliły mu się w tatarskich oczkach.

– Skazany na osiedlenie – powtórzył Antoni stanowczo. – Żądam widzenia z naczalstwem!

– Późno. – Żandarm zmiękł odrobinę.

Antoni wiedział, że taka jest natura tych ludzi. Dopóki spotykają się ze słabością i wahaniem, to srożyć się będą nad miarę, ale wystarczy tylko odrobina stanowczości i podniesiony głos, by tracili rezon.

– Myślisz, że nie wiem? Na godność kobiety nastajesz! Tu zostajemy, aż znajdzie się ktoś z twoich zwierzchników!

– Rano może...

– To do rana tu zostaniemy!

Antoni działał z pełną determinacją, ale i z rozpaczą. Co mógł on, więzień z kajdanami na nogach wobec żandarma mającego sprawować nad nim władzę? Tylko pokrzyczeć. Widział już wiele razy, jak skuteczne to może być, a jednak znowu był zaskoczony, że strażnik tak szybko spuścił z tonu.

Im bliżej rana tej pierwszej nocy w Tobolsku, tym bardziej niewyraźna stawała się mina draba, który jednak pozwolił Lutomierskiemu i Zamiatynie zanocować w swoim biurze. On tam i tak musiał siedzieć na nocnym dyżurze. Kiedy na dworze zszarzało, a od wschodu pojawiła się różowa nieśmiała jasność, nawet zaczął się tłumaczyć, że przecież przepisy, że to, że tamto, a on miał dobre zamiary. Sprawa się wyjaśniła, kiedy nazajutrz do więzienia przyszedł sam tobolski gubernator Aleksandr Iwanowicz Despot Zenowicz. Później dopiero Antoś się dowiedział z licznych plotek, że gubernator miał zwyczaj codziennie wizytować więzienie i interesować się szczególnie losem polskich zesłańców. Może dlatego, że był Litwinem. Nie tolerował wśród podwładnych wykorzystywania więźniów, a na krzywdę kobiet był szczególnie wyczulony. Już w Aczyńsku, całkiem niedawno, rozeszła się między zesłanymi polskimi powstańcami wieść, że Aleksandr Iwanowicz właśnie za pomaganie Polakom został odwołany ze stanowiska. W pamięci wielu jednak zdążył się zapisać jako przyzwoity człowiek. W pamięci Antoniego szczególnie.

Ale wtedy w Tobolsku rano kazano im stawić się przed gubernatorskim obliczem i poszli tam oboje z Lubą z sercami na ramieniu, bo zupełnie nie wiedzieli, czego się spodziewać. Uspokoił się, kiedy go zobaczyli. Coś ujmującego było już w samym wyglądzie tego człowieka. Ciemne oczy

patrzyły życzliwie, włosy przetykane siwizną, w głosie spokój i łagodność. Prosił, by usiedli i opowiedzieli o sobie.

– Sprawa byłaby prosta, gdybyście wzięli ślub – rzekł po wysłuchaniu tego, co mieli do powiedzenia.

– Ja mogę? – zdziwił się Antoni.

– Trochę dobrej woli i wszystko się da. – Uśmiechnął się gubernator, dając delikatnie do zrozumienia, że takich interesantów jak oni ma jeszcze wielu.

Potem okazało się, że dobrą wolę musiał wykazać także Lutomierski, bo ślub nakazano im wziąć w tej cerkwi, której złote kopuły widzieli ponad murem kremla zaraz po przyjeździe. Trochę ta świadomość uwierała Antoniego, ale w końcu czy to aż takie ważne?

Tak Antoni wspominał dawne dzieje w dalekim Krasnojarsku i zastanawiał się: wrócić do kraju czy nie wrócić, a tymczasem w rodzinnym domu sprawa ratowania jego brata Gustawa nabierała tempa.

Rozdział 5

Z Lutomierzyc do niewielkiego Serocka nie było daleko. Szmul zawiózł tam list pani Zofii w kilka dni po tym, jak siedzące po obu stronach lustra Zośki i ich córki ustaliły, że do akcji ratującej zdrowie Gustawa koniecznie trzeba wciągnąć także Bogusię. Córka pani Zofii i siostra Anastazji była już żoną szanowanego w Serocku i okolicach lekarza, Jana Zarębskiego, i mieszkała w uroczym domu stojącym trochę za miastem na wysokiej skarpie Narwi.

Dom był nowy. Doktor wybudował go tak, by podobał się jego młodej żonie. Od frontu, który zdobiły oszklony ganek i dwa okna po bokach, miał po obu stronach przybudówki nieco podobne do dawnych alkierzy, przesłonięte ogromnymi lipami. W jednej z nich, do której prowadziła osobna furka, mieściły się gabinet doktora i poczekalnia dla chorych, a w drugiej duża kuchnia, pokoje kredensowe i jadalnia. Z tyłu można było wyjść na wielki taras, za którym ciągnął się dopiero co założony sad, a jeszcze dalej widać było rzekę, a raczej dwie, bo w tym właśnie miejscu Bug i Narew łączyły swoje wody.

Bogusia urządzała okrągły gazon przed gankiem, kiedy przez bramę zajechała furka Żyda. Komenderowała wynajętym ogrodnikiem, nakazując mu sadzić w jednym miejscu kupione właśnie astry, tam i owam begonie, gdzie indziej jeszcze floksy. Sama też pochylała się nad rabatą, rysując patykami kwatery, w których trzeba zasadzić poszczególne rodzaje roślin, tak by tworzyły później barwne plamy. Doszła do wniosku, że na tym kwietniku posadzi byliny, które są łatwe w uprawie i niewymagające zbyt wiele pracy. Bo przecież kiedy ona i Jaś doczekają się wreszcie potomstwa, nie będzie miała do kwiatów głowy. Trochę ją martwiło to, że ciągle jeszcze nie było żadnych oznak zbliżającego się rodzicielstwa, ale rozganiała te chmurne myśli pracą koło nowego domu i nie traciła nadziei. Teraz wyprostowała się, przesłaniając dłonią oczy od słońca.

– Szmul! – zawołała, kiedy rozpoznała nadjeżdżającego. – Chodź do kuchni, pewnieś głodny i zmęczony.

Bogusia ucieszyła się, bo Szmul zwykle przywoził wieści z jej rodzinnego domu. Dobrze też wiedziała, że kiedy stary znowu zajędzie do Lutomierzyc, to będzie tam o wszystko wypytywany, więc koniecznie chciała się pokazać z jak najlepszej strony. Kuchennymi drzwiami weszli

do domu. Usadziła Żyda przy stole jak kogo ważnego i poprosiła kucharkę, pannę Augustę, by wyciągnęła świeżo upieczone ciasto z rabarbarem i zrobiła kawę ze śmietanką. Chętnie uczęstowalaby Szmula jeszcze boczkami pachnącym czosnkiem i majerankiem, który stygł w spizarce, ale przypomniało jej się, że przecież on pewnie tego nie zechce zjeść, bo niekoszerne. Usiadła koło niego i otworzyła list z domu. Jego treść wydała jej się dziwna. Mama prosiła, by Bogusia, najszybciej jak tylko może, przyjechała do Lutomierzyc i na dodatek została tam przez jakiś czas, ale co takiego się stało i na jak długi pobyt powinna się nastawić, nie napisała ani słowa.

– Szmulu, a nie wiecie, w Lutomierzycach wszyscy zdrowi? – dopytywała, bo poczuła się zaniepokojona.

– Nu, a co one mają chorować? Zdrowi.

– I w gospodarstwie idzie wszystko dobrze?

– Nu, a co ma być źle?

– A obcy jacyś nie zajeżdżali? – Bogusia już nie wiedziała, jak ma wytropić przyczynę tego nagłego matczynego wezwania.

– Aj waj! – zdziwił się Szmul. – To pani list z domu dostała, a starego Szmula wypytuje, co w nim słycać?

Bogusia nic na to nie odpowiedziała, bo Żyd nie tylko listy po okolicy rozwoził, ale i plotek co niemiara, więc umówiła się, że kiedy już Szmul pozalátwia swoje wszystkie sprawy i odwiedzi rodzinę i znajomych, w drodze powrotnej zabierze ją do Lutomierzyc.

Tym sposobem Bogusia znalazła się w swoim rodzinnym domu. Przyjęta została nad wyraz osobliwie. Matka i siostra jakoś tak uroczyście i z wielką rezerwą usadziły ją na kanapie w salonie i widać było, że obie są zdenerwowane i nie wiedzą, jak zacząć rozmowę.

– Gustaw? – Chciała im pomóc, bo straszne podejrzenie załęgło jej się w głowie.

– Poniekąd – odpowiedziała z pewnym wahaniem Nastusia, a matka nerwowo międlila w rękę chusteczkę i wpatrywała się w nią z tak dużym niepokojem, że Bogusia poczuła narastającą panikę.

– Chciałybyśmy – zaczęła pani Zofia lekko drżącym głosem – żebyś nas wysłuchała spokojnie i wykazała się zaufaniem, choć rzecz może wydać ci się nieprawdopodobna.

Zamilkła, szukając wzrokiem ratunku u Anastazji, ale dobre wychowanie nie pozwalało córce na wtrącanie się w to, co rozpoczęła matka. Milczała więc także, a Bogusi przychodziły do głowy najdziwsze pomysły. Jednym błyskiem zrozumienia doszła do wniosku, że tu chodzi o jakiś straszliwy skandal towarzyski. O to było najłatwiej. W większości salonów ton rozmowom nadawali różni bigoci, dewoci, kołtuni, faryzeusze. O tym Bogusia aż nadto dobrze wiedziała i szlag ją trafiał podczas tych niekończących się popołudniowych herbatek, kiedy bezpiecznie można było mówić tylko o uroczystościach kościelnych, nowych ornatach, biskupach, a bywać wypadało jedynie na odczytach o bohaterach narodowych i w operze. Ewentualnie można było wymienić się ze znajomymi paniami przepisami na konfitury. To oficjalnie. Bo nieoficjalnie, na ucho i w wielkiej tajemnicy powtarzano sobie najbardziej fantastyczne plotki. O! Jak Bogusia miała dosyć tej stęchłej atmosfery małego miasteczka. Wydawało się, że powiew wielkiego świata tę zjełczałą atmosferę nieco odświeży, ale przez naukowe kontakty Jasia przekonała się, że i w warszawskim świątku lekarskim panuje taka sama hipokryzja.

– Byleby zdrów był... – zaczęła, chcąc je zapewnić, że nic więcej nie jest w stanie pogрузić jej w rozpacz, ale matka wpadła jej w słowo.

– No właśnie o to chodzi! Tylko wymagać to będzie od nas i od ciebie działań... że tak powiem... niezwykłych.

– Tak? – Oko jej rozbłysło, bo słowa te zabrzmiały nad wyraz obiecująco. To, co niezwykle, wydawało się Bogusi pociągające, więc od razu poczuła się gotowa na wszelkie wyzwania.

Matka sięgnęła po leżący na kominku list z Zakopanego i podała jej do przeczytania.

– A więc jednak... – W miarę czytania Bogusia markotniała.

– Sama rozumiesz, że ja tam muszę jechać! – Pani Zofia chwyciła rękę córki w swoje dłonie i wpatrywała się w nią z trudnym do zniesienia natężeniem.

– W razie gdyby się nie udało, muszę spędzić z nim trochę czasu! Pożegnać się! Ale jest pewna niezwykła szansa! – Tu pani Zofia znowu się zawahała, zamilkła na moment, a potem zaczerpnęła głęboko powietrza, jak robi nurek przed zanurzeniem się w głębinę, i ciągnęła dalej: – Za sto pięćdziesiąt lat suchoty nie będą już śmiertelną chorobą. Będzie na nie lekarstwo!

– No tak, za sto ileś tam lat. – Bogusia nie rozumiała, skąd ten entuzjazm w głosie matki.

– Kochana, my obie jesteśmy przy zdrowych zmysłach, choć za chwilę możesz w to zwątpić – mówiła dalej mama, a Anastazja gorliwie jej przytakiwała. – Jest sposób, by to lekarstwo dla Gustawa zdobyć!

– To, które będzie dopiero za sto lat?

Określenie „nie posiadać się ze zdumienia” jak ulał pasowało teraz do stanu ducha Bogusi. Nie posiadała się w sensie dosłownym. Nie panowała nad swoim umysłem, który nagle odmówił wszelkiej działalności z tej prostej przyczyny, że nie wiedział, co się robi w sytuacji, kiedy matka i zwykle rozsądna i pragmatyczna siostra nagle komunikują ci rzeczy niemieszczące się w głowie i sprzeczne z jakimkolwiek prawdopodobieństwem. Nie panowała nad własną twarzą, bo usta same rozwarły się w grymasie niezrozumienia graniczącym z debilizmem, a oczy wyszły z orbit, chwala Bogu w znaczeniu tylko przenośnym.

– Siostrzyczko – powiedziała do niej Anastazja tonem łagodnym i przeznaczonym dla paranoików, którym nie wolno się sprzeciwiać, tak że Bogusia sama już nie wiedziała, kto tu zwariował: ona czy jej siostra i matka. – Chodź z nami do buduaru i usiądź przed lustrem toaletki.

Przed lustrem toaletki? – przemknęło przez otumaniony umysł dziewczyny i przypomniał jej się czas, kiedy rodzicielka zachowywała się trochę dziwnie, co miało chyba związek z toaletką. Była jednak tak oszołomiona, że pozwoliła się zaprowadzić do sypialni. Coś było straszliwie nie w porządku! Czowała to wszystkimi zmysłami. Kiedy matka z siostrą posadziły ją na fotelu przed toaletką i same usiadły po obu jej stronach, ujęły za ręce, nie wiedziała, czy robią to z czułością, czy po to, żeby w razie czego nie pozwolić jej uciec. Spojrzała w lustro. Zobaczyła siebie łagodnie się uśmiechającą, choć czuła przecież, że jest jak najdalsza od idiotycznie łagodnych uśmiechów. Jej odbicie robiło zupełnie co innego niż ona! Niemożliwe! Zerknęła na matkę, potem na Anastazję, potem jeszcze raz na matkę. One także łagodnie się uśmiechały, choć Bogusia czuła ich niepewność. Spojrzała jeszcze raz w zwierciadło. Ten sam łagodny uśmiech!

– O co chodzi, do cholery!

O matko! W życiu nie przypuszczała, że tak się może zachować i w ten sposób odezwać! Popatrzyła w lustro, a jej odbicie ciągle się do niej

łagodnie uśmiechało. Może ten uśmiech już trochę zwiędł i zrobił się nienaturalny, ale tkwił na jej twarzy jak przylepiony.

– Może odezwij się już do niej, Agatko. – Usłyszała głos matki dobiegający gdzieś z głębi lustra.

– Jesteśmy do siebie bardzo podobne – odezwało się odbicie, które jednak chyba nie było nią. – Ale przyjrzyj mi się. Jestem z innej epoki.

Bogusia szarpnęła się, jakby chciała uciec, lecz czułe ręce matki i siostry nagle okazały się mocne i zdecydowane. Nie pozwoliły jej na to. Szarpnęła się jeszcze raz, uwolniła dłonie ze zniewalających uścisków i zakryła nimi oczy.

– Czy możecie mi to jakoś wyjaśnić?

– Pierwszy raz zobaczyłam Zośkę pewnego wieczoru tuż po wyjeździe waszego ojca do Warszawy. Pamiętasz, jak zakochał się w waszej guwernantce i za nią tam pojechał? – Głos matki był spokojny i pełen miłości.

– Pamiętam – odpowiedziała i odważyła się znowu spojrzeć w lustro.

Obok dziewczyny tak bardzo podobnej do niej usiadła kobieta prawie taka sama jak jej matka, tylko dziwnie uczesana i ubrana. Dopiero teraz Bogusia zauważyła, że i ta podobna do niej też jest tak niezwykle odziana. Pokój, w którym siedziały, także nie przypominał buduaru mamy.

– Bardzo to przeżyłaś. Tak samo jak ty teraz nie mogłam uwierzyć swoim oczom, ale wkrótce okazało się, że czas i ta toaletka potrafią wyrabiać nieprawdopodobne cuda – ciepłym głosem tłumaczyła jej matka. – Te kobiety, które widzisz, żyją w świecie o ponad sto pięćdziesiąt lat późniejszym od nas, a za pomocą tego lustra można się do tego świata przedostać. Skoro ja z Zośką tego doświadczyłam, to może ty i Agata też będziecie potrafiły.

– Po co?

– Żeby spróbować zdobyć lekarstwo dla Gustawa.

Gustaw! Ta niesłychana historia tak zaprzętnęła uwagę Bogusi, że zupełnie o nim zapomniała!

– A wy? Skoro już raz wam się udało?

– Czas nagli. – Matka już nie była taka spokojna. Płakała. – Antoni przesłał jakiś specyfik, w którego moc wierzą tam na Syberii. Trzeba mu go jak najszybciej dostarczyć. A w razie czego... Gdyby nic z tego nie wyszło... Chciałabym spędzić z nim jego ostatnie chwile.

Rozszlochała się na dobre. Sytuacja, choć tak dziwaczna i nieprawdopodobna, zaczęła być jednak coraz bardziej zrozumiała dla pani doktorowej.

– Zrobię, co się tylko da – obiecała Bogusia.

Rozdział 6

– Kurde, zawałę sesję! – jęknęła Agata.

Siedziała przed komputerem i wypytywała znajomych o program, który pomógłby nadać głosowi Bogusi i jej tę samą głośność i wysokość. Z relacji mamy i pani Zofii wynikało, że trzeba osiągnąć idealną korelację pod tym względem, by zadziałał tajemniczy portal czasu w lustrze toaletki. Większość znających się na rzeczy ludzi polecała jej aplikację Sound Meter, więc zaczęła się wczytywać, jak to cudo działa. Pal diabli egzaminy! Tu chodziło o rzecz najważniejszą! Jej istnienie! Jeśli Gustaw umrze, nie spłodzi przecież jej pradziadka, ten pradziadek dziadka i tak dalej. W konsekwencji samej Agaty także nie będzie na tym świecie. Egzamin z rynków finansowych u profesora Sławińskiego i zaliczenie ćwiczeń z ekonometrii musiały poczekać choćby do sesji poprawkowej.

Zresztą już dla spraw o wiele mniej ważnych Agata przedłużyła sobie studia. Na trzecim roku wyjechała jako wolontariuszka do Limy. Prowadziła tam zajęcia dla peruwiańskich nauczycieli, którzy chcieli podszkolić się z angielskiego. Zawsze wiedziała, że znajomość obcych języków otworzy jej świat. Dobry angielski i hiszpański pozwoliły jej przeżyć najfantastyczniejszą jak do tej pory przygodę życia. Palmy, wysoki klif nad Oceanem Spokojnym, na którym położona była stolica Peru, wzbudzały jej zachwyt. A jedzenie? A specyficzny nastrój swobody i powszechnej życzliwości, który był właściwy krajom latynoamerykańskim? Chciałaby pojechać tam jeszcze raz!

Ale żeby te marzenia mogły się ziścić, należało uratować Gustawa, więc Agata nie pozwoliła sobie na wspomnienia, tylko usiadła przed lustrem toaletki i czekała na Bogusię, przeglądając książkę, którą zostawiła tam mama. Michał Rusinek bez zahamowań rozprawiał się w niej z tekstami modnych szlagierów. Ale nie mogła oddawać się lekturze zbyt długo, bo oderwał ją od książki ruch w lustrze. Do buduaru lutomierskiego dworu weszły Bogusia z Anastazją.

– Przyniosłam wam kamerton – odezwała się młodsza z sióstr, kładąc na toalecie stalowe widełki i malutki młoteczek. – Służy do strojenia fortepianu i od wieków leżał sobie w szufladzie szafki na nuty. Łatwo za jego pomocą stwierdzić, czy instrument już potrzebuje fachowca. I może jeszcze metronom wam się przyda?

No tak! Przecież nie tylko wysokość i natężenie dźwięku było ważne. Trzeba było także idealnie zgrać tempo wypowiedzianych słów! Agata popatrzyła trochę bezradnie na Bogusię. Zadanie, które przed nimi stało, nagle wydało się jej niesamowicie trudne. Czy to ma szansę się udać?

– To nie przeszkadzam! – Nastusia ciężko westchnęła i zaszumiawszy szeroką spódnicą w miejscu pośladek, wypchaną dodatkowo przez umieszczoną tam poduszeczkę zwaną tiurniurą, wyszła z pokoju.

Ach! Z przyjemnością by tam została, by podpatrzeć ten cud, ale należało się szykować do podróży. Najchętniej sama zasiadłaby na miejscu Bogusi. To zdaje się jednak nie było możliwe. Chodziło przecież nie tylko o tę wysokość i natężenie dźwięku. Najprawdopodobniej głosy musiały mieć także tę samą barwę, a podobieństwo Bogusi i Agaty było doskonałe także pod tym względem.

Jeśli zaś mowa o nich dwóch, to najchętniej też zaszumiwałyby spódnicami i uciekły sprzed tego przeklętego lustra. To znaczy Bogusia by zaszumiła, bo Agata nie miała czym. Ubrana była zwykle i domowo w ciemnoróżową dresową sukienkę z kapturem sięgającą do połowy ud. Obie rozumiały, że mus to mus, tylko żadna nie wiedziała, jak zabrać się do tej sprawy. Milczenie się przeciągało. Agata grzebała w telefonie, ustawiając aplikację mającą mierzyć natężenie dźwięku, Bogusia trąciła wahadełko metronomu.

– Klik, klak, klik, klak, klik, klak – odezwało się urządzenie w równym, beznamiętnym tempie.

Dźwięk był monotony, ale w jakiś sposób narzucał im się, bo obie niemal bezwiednie zaczęły kiwać głowami w jego rytm. A w chwilę potem Agata odważyła się odezwać:

– Wlazł kotek na płotek.

„I mruga” – tego jednak już nie dodała, bo metronom ciągle klikał sobie jednostajnie i nie chciał dopasować się do następnej frazy. Bogusia uderzyła młoteczką w kamerton, a ten odezwał się stałą nutą a razkreślnego, czego świadoma była tylko ona, bo u panny Mrozińskiej na pensji odebrała stosowne nauki, natomiast Agata w tej dziedzinie była całkowitą ignorantką. A mimo to zorientowała się, że musi zaśpiewać nieco wyżej.

– Wlazł kotek na płotek – dołączyła pani doktorowa głosem drżącym z przejęcia.

Nie jest łatwo przecież opanować emocje, jeśli ma się świadomość, że w każdej chwili tajemnicza siła może przenieść człowieka w obcy świat

o sto pięćdziesiąt lat z hakiem wcześniej czy później. Ale jakoś nic się nie stało. Dziewczyny popatrzyły na siebie nieco odważniej i znowu zaczęły zgodnie z klikającym metronomem:

– Wlazł kotek na płotek.

Nic. Sound Meter pokazywał drobne niezgodności. Agata trzymała telefon tuż przy tafli lustra i raz kierowała jego mikrofon w swoją stronę, a raz w stronę Bogusi. Gestem wskazywała, czy jest za cicho, czy za głośno. Sama starała się dopasować do głośności pani Zarębskiej.

– Wlazł kotek na płotek.

Nic.

– Wlazł kotek na płotek.

Nic.

– Wlazł...

Powtarzały tę dziecianną frazę do znudzenia. Obie zgodnie doszły do wniosku, że jest idiotyczna, choć przecież nie ma nic idiotycznego w tym, iż jakiś kotek wlazł na płotek. Wręcz przeciwnie – jest to stwierdzenie faktu bardzo prawdopodobnego. W odróżnieniu od ich poczynań. Rejestru nie prowadziły, więc trudno podać jakąś ścisłą liczbę powtórzeń tych paru słów. W każdym razie obie dziewczyny gotowe były się założyć, że było tego z kilkaset razy! Wreszcie znudzone opadły na swoje foteliki i zydelki z przeciągłym i wyjątkowo zgodnym westchnieniem rezygnacji:

– Aaaaach!

Ale zaraz ten dźwięk przestał być tak identyczny, bo przerażona i zaskoczona Bogusia zaczęła naciągać na gołe nogi mocno przykrótką kieckę, pokrzykując mało sensownie: „Ach! Ach! Ach!”. Tymczasem przyduszona ściśle zasznurowanym gorsetem Agata z trudem łapała oddech: „Ach... Ach... Ach...”.

No więc stało się! Jednak było to możliwe! Przekroczyły barierę czasu i zamieniły się miejscami! Niekoniecznie za sprawą znieawidzonej i za pomocą różnych metod mierzonej frazy „wlazł kotek na płotek”, ale jednak. Obie nawet nie zdążyły się zorientować, czy cieszą się z tego faktu, czy też jeszcze nie były na to zdarzenie gotowe, kiedy drzwi lutomierskiej sypialni otworzyły się i stanął w nich młody człowiek.

– Jaśku! – pisnęła Bogusia odziana w za krótki różowy barchan i czym prędzej znikła przed lustrem, bojąc się, by ukochany nie zobaczył jej w tak kompromitującym odzieniu.

Taki ciemny róż! Kto słyszał nosić coś takiego! Jakie to gminne! Jakie wulgarne! Choć trzeba przyznać, że ładną poświatą kładzie się na twarzy, przydając policzkom świeżości. Pani doktorowa uciekła zatem sprzed lustra, ale zza jego ramy zaglądała ciekawie, co się dzieje w buduarze jej matki, i to, co zobaczyła, nie podobało jej się wcale! Jej Jasiek, jej mąż, szedł bowiem z wyciągniętymi ramionami w kierunku przyduszonej Agaty i swoim kochanym i zatroskanym głosem dopytywał:

– Dobrze się czujesz, Myszeńko?

Matko Bosko! Nie! Bogusia doskonale wiedziała, co będzie dalej! Jasiek przyciągnie Agatę do siebie, otuli ramionami, później odsunie odrobinę, weźmie pod brodę i zajrzy jej w oczy. A potem... O nie! Bogusia nie chciała nawet o tym myśleć!

– Wracaj tu! Wracaj tu natychmiast! – syczała wściekła do wystrojonej w JEJ najlepszą suknię Agaty, która zaraz znajdzie się w ramionach JEJ męża! Zazdrość skręcała wnętrzności!

Agata jednak wracać nie zamierzała. Po pierwsze nie miała pojęcia jak, po drugie zdenerwowana była tak straszliwie, że spociły jej się ręce. Właśnie wycierała je sobie dyskretnie o tył niesłychanie fałdzistej spódnicy, kiedy zorientowała się, że jej pośladki urosły do monstrualnych rozmiarów i z tyłu sterczą bezwstydnie i tak okazałe, że znalazłoby się tam miejsce dla kotki z kociętami! Co to? Co to? Zastanawiała się w panice, jakby w tej chwili było to najważniejsze, i dopiero kiedy przypomniało jej się słowo tiurniura, mogła zacząć reagować na to, co się działo. Sunął w jej kierunku mężczyzna, którego trudno było nazwać zabójczo przystojnym, ale coś w nim przykuwało uwagę Agaty i rozlewało się ciepłym uczuciem po sercu czy wątrobie w zależności od tego, kto w którym organie widział siedzibę emocji. Panna Przywarówna nad tym tematem jeszcze nigdy w życiu się nie zastanawiała, więc pewnie dlatego owo ciepło oblało ją całą. Zarumieniła się cudnie i zmysłowo pod wpływem tego ciepła, co obserwując ją Bogusie wprowiło w dygot ze złości, a sunącemu w stronę Agaty mężczyźnie najwyraźniej się spodobało. Na sympatycznej, nieco kanciastej twarzy pojawił się czuły uśmiech, od którego Agata nie mogła oderwać wzroku. Objął ją, jego ręka przesunęła się w kierunku piersi. A ona poczuła, że jakaś siła ciągnie ją do niego, domaga się by przywrzeć, zespolić się, wtulić!

Już miała poddać się temu, bo wydawało się jej, że na opór nie ma siły, kiedy spojrzała przelotnie na lustro toaletki. Za taflą szkła stała Bogusia z wypisanym na twarzy tak głębokim nieszczęściem, że wstrząsnęło to Agatą i przynajmniej na trochę przywróciło panowanie nad umysłem i ciałem. Odsunęła się od faceta z mało oryginalną wymówką:

– Wybacz, głowa mnie boli. Chciałabym odpocząć trochę sama. To pewnie krótka migrena.

Jaki zawód dał się wyczytać na jego wyrazistej gębie! Ale Agata nie chciała tego widzieć, więc wpatrywała się w lustro, w którym Bogusia parę razy głęboko odetchnęła z ulgą, pociągnęła nosem i energicznie usiadła na stojącym przy toalecie nowoczesnym foteliku.

– Przyniosę ci kompres – zaoferował się mąż Bogusi. – Może poluzujemy gorset?

– Dziękuję, dziękuję! – broniła się Agata, rozmyślając w popłochu, jak najszybciej wygonić tego oszałamiająco pociągającego faceta za drzwi. – Idź już!

– Na mój gust powinniśmy się koncentrować nie tylko na mechanicznych i dających się zmierzyć właściwościach głosu, ale także na emocjach. One najwyraźniej też wpływają na dźwięk. Musimy jak najszybciej wrócić każda do swoich czasów. Trzeba przygotować tę misję – gorączkowała się Bogusia po drugiej stronie lustra, kiedy wreszcie jej Jasiak sobie poszedł.

– Masz coś konkretnego na myśli? Jaką misję? – Agata najwyraźniej jeszcze nie odzyskała sprawności w myśleniu.

– Choćby tę, że musisz zdobyć lekarstwo dla Gustawa.

– Jak ja to zrobię? – zastanawiała się Agata.

Bogusia na takie mazgajstwo nie zamierzała pozwolić.

– Włazł kotek na płotek – zaczęła.

Agata wprawiła w ruch wahadło metronomu i uderzyła młoteczką w kamerton.

– Włazł kotek na płotek.

Udało im się za pięćdziesiątym ósmym razem. Ćwiczenie czyni mistrza!

Rozdział 7

Lało, jakby olbrzym jakiś raz po raz chlustał pełnymi cebrami wody na szklany dach, którym osłonięte były perony dworca Krakowsko-Górnośląskiej Kolei w Krakowie. Pani Zofia i Anastazja czuły się już mocno zmęczone podróżą. Nic dziwnego. Wsiadły do pociągu w Warszawie wczoraj przed południem. Dojechały wczesnym wieczorem do Szczakowej, miejscowości położonej u zbiegu granic między Rosją, Austrią i Prusami, które rozgrodziły ziemię polskie na trzy części i każdą przydzieliły innemu zaborcy. Tu wysiąść musiał każdy, kto z Warszawy chciał się dostać do Krakowa, Tarnowa, Katowic, Lwowa, nawet Poznania, a tym bardziej Wrocławia czy jeszcze dalej. Z Warszawy kolej wiodła z jednej strony do Wiednia, z drugiej do Petersburga. Kto chciał zajeżdżać gdzie indziej, musiał się przesiadać. Najczęściej w Szczakowej. Cała miejscowość żyła z podróżnych, dlatego bez najmniejszych kłopotów znalazły nocleg. Jego komfort to była już odrębna sprawa. Było duszno, niezbyt czysto, a pokoik na poddaszu, w którym musiały się obie zmieścić, nieznośnie nagrany przez ostatnie upały. Nie miały jednak innego wyjścia. Pociąg do Krakowa odchodził dopiero następnego dnia rano.

W Krakowie chciały zanoć w Hotelu Lwowskim, który podobno był już stary i chylił się ku upadkowi, ale za to znajdował przy Rynku Kleparskim, a na nim najać można było furę, jak tu mówiono: budkę albo wasiąg, która zawieźć ich miała do Zakopanego. Lecz najpierw trzeba było wszystkie bagaże wypakować i przewieźć przez pół Krakowa. A było tego sporo. Gustaw ostrzegał. Do Zakopanego nie można pojechać sobie tak tylko z kilkoma kuframi, jak zwykle jechało się do wód. Tu trzeba było wziąć wszystko, co człowiekowi potrzebne do życia. Więc panie z Lutomierzyc ciągnęły ze sobą nie tylko stroje i bieliznę, ale także cały warsztat kuchenny, garnki, talerze, sztucce. Potrzebna była również podobno pościel, więc kołdry i poduszki, kilka zmian poszew, jakieś obrusy. Zapas kawy i herbaty, przyprawy, bez których pani Zofia nie wyobrażała sobie należytego przygotowania potraw. Flakony z perfumami, octami toaletowymi, najpotrzebniejsze medykamenty, sole trzeźwiące, a nawet proszek perski do tępienia pcheł i pluskiew, o którym Gustaw przypominał im wielokrotnie. Już w Szczakowej musiały go użyć. Wszystko to zapakowane było w skórzane kufry, specjalne podróżne

skrzynki zaopatrzone po bokach w uchwyty, w walizy, pudła, kosze. Ich spis miała Anastazja w małej torebeczce w kształcie woreczka przytwierdzonej do pasa sukni. Sprawdziła teraz, czy czegoś nie brakuje, bo bagażowi wyciągali ten dobytek z wagonu i przenosili do poczekalni.

Ulewa była gwałtowna, ale krótkotrwała. Kiedy obie panie wyszły z budynku, by wynająć dorożki, już ledwie kapało. Powietrze ochłodziło się trochę. Dwa fiakry trzeba było zapakować, by zmieścił się ich bagaż.

Rynek Kleparski już pustoszał, kiedy pani Zofia i Anastazja tam zajechały. Nie przedstawiał się specjalnie atrakcyjnie. Dookoła otaczały go drewniane parterowe domki mieszczące podejrzane zajazdy i garkuchnie, z których szedł intensywny zapach gotowanej kapusty. Jedyne bardziej reprezentacyjny budynek w tej okolicy to ów Hotel Lwowski, w którym chciały zanoćować. Pani Zofia zostawiła Anastazję, by ta dopilnowała rozładunku bagażu, a sama udała się na plac ugadać się z jakimś furmanem. Ledwie weszła między stojące tam chłopskie furki, stanęła zaskoczona. W mazowieckim miasteczku na targu chłopcy natychmiast usuwaliby się jej z drogi, kłaniając głęboko. Żaden nie odezwałby się pierwszy. Tu chłopcy były śmiały. Nikt oczu nie spuścił pod wpływem jej wzroku. Ten i ów odwrócił się do niej plecami, zajęty jakimiś swoimi sprawami.

– Niech bydzie pofalony. – Ukłonił jej się kapeluszem najbliższy gazda. Siedział już na swoim wasiągu i najwyraźniej miał zamiar odjechać. Ani mu do głowy nie przyszło zeskoczyć z tego wozu, bo jakże to, ona stoi, a on siedzi! Nie do pomyślenia! Ale on chyba nie widział w tym nic niestosownego, bo śmiał się do niej szeroko. Chłopi na Mazowszu tego nie robili!

– Pochwalony – odpowiedziała mu. – Z Zakopanego jesteście?

– Z Cichego, ale ich do Zakopanego powieze. – Jeszcze szerzej uśmiechnął się do niej góral. Szeroki był w barach, nasmarowane masłem ciemne włosy nakrył czarnym kapeluszem z piórkiem. Ubrany był tylko w białe sukienne portki i rozchełstaną koszulę.

– Za ile?

– A to jus od tego bydzie, ile tam wielmożna poni ma klamotów.

Słowo do słowa jakoś targu ubili, choć pani Zofii wydawało się nierzeczywiste to, że wsiądzie na furę z kompletnie nieznanym jej człowiekiem zachowującym się wobec niej tak poufale. Gdyby nie ten życzliwy uśmiech, powiedziałyby, że to bezczelność. Ona ma pojechać

z nim gdzieś w nieznane? A jak to zbójnik jakiś? Ale Gustaw uprzedzał! Pisał, że to lud śmiały, hardy, ale zaufać im można. Zofia stłumiła więc swoje niepokoje. Umówili się, że gazda, Jędrzej Pazdur się nazywał, dotrze przed hotel następnego dnia o świcie. Wyruszyć trzeba było wcześniej, żeby zdążyć na wieczór do zajazdu w Luboniu albo w Zaborni, bo z Krakowa do Zakopanego w jeden dzień nie obrócisz. Gdzieś po drodze trzeba zanocować.

To, co Anastazji wydawało się szaloną i romantyczną przygodą, wkrótce zmieniło się w nieznośną mitręgę. Ileż ona sobie nawyobrażała o tej podróży! O zanurzaniu się w dzikiej przyrodzie, o przygodach na bezdrożach, o kozicach, świstakach, halach z bacami i juhasami! Tymczasem nazajutrz od rana długo jechali polnym szerokim duktem krainą płaską jak stół. Droga ginęła gdzieś w oparach mgły, bo dzień był znowu ciepły, a wilgotna po wczorajszych deszczach ziemia parowała. Jechali wolno, bo gazda, żeby koniom było lżej, szedł przy furce, od czasu do czasu podśpiewując sobie trochę:

*Hej idem w las, piórko się mi migoce,
Hej idem w las, dudni ziemia, kie kroce...*

Ziemia wcale nie dudniła. Choć dla rozprostowania kości i ulżenia koniom pani Zofia i Anastazja też często gęsto schodziły z wozu. Wręcz przeciwnie, od czasu do czasu wjeżdżali w jakąś kałużę. Koła, mlaszcząc, miesiły błoto. Ale zaraz wydobywały się na suchszy teren i coraz częściej turkotały na kamieniach.

*Ka wywinem siekiereckom, krew cyrwonom wytoce,
Ka obyrtneń ciupazeckom, krew mi spod nóg bulkoce...*

Lasy wzdłuż drogi robiły się bujniejsze. To już nie były mazowieckie sosnowe zagajniczki rosnące na piaszczystych łąkach, obfita soczystość i chłód szły od cienistych borów. Gęste były, ciemne, tajemnicze. Coraz częściej sosna ustępowała miejsca świerkowi.

– Zbójnicy tu są? – dopytywała Nastusia.

– Było to w Luptowie cy kajsi – zaczął opowiadać gazda – jak seł Pon Jezus ze świntym Pietrem i spotkali zbójców. Świnty się zestrachoł, ale Pon Jezus nakazoł mu, coby sli z niemi. Idom, patrzom, a tu przy drzewie leży staryk. Harnaś zapytoł, co on tak leży, a staryk mu pedzioł: „Głodnyk jezd”. To doł mu harnaś kawołek chleba. Sli dalej, aż wiatr zaduł, grad spod, a oni

spotkali w polu dzieciaka. „A cos płaces?” – spytał jeden zbójnik. „Zimno mi” – godo dzieciak i harnaś zdjął swoje cuche i go opatulił. To takie u nas zbójce, a Janosik najwientsy z nich⁵.

⁵ Legenda o Janosiku na podstawie: Kazimierz Przerwa-Tetmajer, *Na skalnym Podhalu*, Warszawa 1972.

Opowiadać dalej nie mógł, bo kamienista droga wiodła teraz w dół. Gazda wskoczył na wóz, machnął batem nad końskimi zadami, aż chabety nagle ikry dostały i ruszyły z kopyta. Dobrze trzeba było trzymać się burt fury, żeby nie wypaść, a gadać też się nie dało, bo język można sobie odgryźć w takim szalonym pędzie. Anastazja więc już sama nie wiedziała, co lepsze: wleczenie się noga za nogą czy dzikie zjazdy w dół. Tak zajechały do karczmy, w której wypadł im nocleg.

Pokoje w zajeździe w Luboniu były tak zapchlone, że pani Zofia zdecydowała się spać na furce. Wymościły sobie posłanie sianem. Przez dziury w budzie mającej chronić podróżnych przed deszczem i słońcem długo obie patrzyły w gwiazdy. Nie mogły zasnąć. W karczmie rżnęły skrzypki, dudnił jakiś bęben, tańczono tam tak, że słomiana strzecha zdawała się unosić nad ścianami. Echo się niosło po niedalekich górach. Uha! A mimo to pospały się.

Świtało już, kiedy obudził je śpiew ich gazdy:

*Ej, jo se pijem dwa dni, ej jo se pijem trzi dni
Ej jo sie o piniondze nie turbujem nigdy!*

Chyba jednak się turbował, bo kiedy już stanęli przed chałupą wdowy Kaśki Chramiaczki, to uważnie przeliczał należność, którą wypłaciła mu pani Zofia. A przez ten czas z chałupy wychyliła się najpierw umorusana dziecięca gęba, później jakiś tupot się rozległ z wnętrza domu i krzyk: matulu! Poprzedzona tym wszystkim niczym królowa fanfarami wyszła na próg sama gaździna. Od razu było wiadomo, kto tutaj rej wodzi. Widać, że dopiero co oderwała się od roboty, bo umorusane jakimś świństwem ręce wycierała w fartuch. Pod nim miała Kaśka tylko spódnice z samodziiałowego płótna zwaną farbonicą, bo ufarbowaną indygiem z nadrukowanym białym szlakiem, i niczym nieozdobną bluzkę, ale i tak wyglądała jak Junona. Ciemny warkocz upięty w koronę ledwie przesłaniała kolorowa chustka, oczy modre jak pogodne niebo patrzyły jednak ostro spod zmarszczonych czarnych brwi. Usta kształtne, rysy

stanowcze, kibić giętka i silna jak sprężyna. Taka była Kaśka, wdowa po Florianie Chramcu, którego dwa lata temu porwała lawina, co zesłała ze zbocza Skrajnej Turni w kierunku Zielonego Stawu Gąsienicowego. Kaśka nienawykła była do mężowskiej ręki, bo Florek tylko się po górach włóczył, więc harda była. Jej mąż trochę bacował, a trochę turystów wodził po różnych szlakach, do domu przychodził raz na jakiś czas i chyba po to, by zmajstrować Kaśce następnego dzieciaka. Dobrze, że małżeństwo ich krótko trwało, więc dwójka ich się po chacie pałętała przepędzana matczyną ścierką z kąta w kąt.

Gaździna najpierw ramię oparła o niską framugę drzwi do chałupy i patrzyła, czy na pewno do niej te goście, potem przekroczyła wysoki próg i podeszła do wozu.

– Witajcie – powiedziała, a głos miała jakby do śpiewu stworzony. –

Utrudzeni drogą pewnie jeździecie. Żentycy⁶ się napijcie, spocnijcie.

⁶ Serwatka z mleka owczego. Produkt uboczny przy wyrabianiu oscypków.

– Furę zwolnić trzeba. – Pani Zofia padała z nóg ze zmęczenia, ale uważała, że jeszcze nie może pozwolić sobie na odpoczynek.

Kaśka jednak tylko ręką machnęła na to.

– Co ocy wybałuszył? – zwróciła się do Pazdura. – Klamoty z wasiąga pozdejmuj. Dziecka ci pomogą.

Rzeczywiście rozmowny i pewny siebie Jędrzej na widok takiej baby rezon stracił, z nogi na nogę przestępował z onieśmienia i mało brakowało, a kapelusz z głowy by przed nią zdjął. Oj, bo baba to była taka, że w całym Zakopanem i okolicy chłopa nie było, co by się za nią nie obejrzał, ale i nie było takiego, który miałby śmiałość do niej zagadać. Ona samemu hrabiemu Zamojskiemu, co w Zakopanem interes za interesem otwierał, w pysk dała, jak jej rękę pod spódnicę chciał włożyć, kiedy raz na tańce do karczmy poszła.

– Siednijcie se na ławie za chałupą. Żentycy przyniesie i chleba.

Sień prowadziła na przestrzał. Za chałupą rosło parę jabłonek. Pod ścianą leżała wielka kłoda przerżnięta na pół i na niej można było usiąść. Z ulgą spoczęły tam obie, pani Zofia z Anastazją, szczęśliwe, że już nigdzie jechać nie muszą. Nastusia oparła głowę o nagrzaną ścianę chaty zbudowaną z grubych pni. Spłoszyła kilka much. Rozejrzała się dokoła.

– Pięknie tu. I pięknie musi być tam. – Wskazała na góry.

Otaczały one zakopiańską kotlinę wieńcem tajemniczym i groźnym, a w swojej tajemniczości i grozie tak hipnotycznie pociągającym, że Anastazji serce zabiło w szalonym tempie jakimś przeczuciem czy tęsknotą. Tu stanie się coś niezwykłego, coś, co zmieni całe jej życie. Zadrzała na tę myśl, bo jednocześnie ogarnęły ją strach i słodycz. Przeczucie, że jej los związany jest jakoś z tymi górami, rozsiadało się w jej głowie coraz mocniej i wprawiało ją w zdumienie. Przeczucia? A gdzie się podziała ta panna, która przez teleskop oglądała niebo i pasjonowała się fizyką i astronomią? Jej racjonalizm padł pod wpływem niepojętego i magnetycznego uroku gór? Tak, od pierwszego spojrzenia zrozumiała Gustawa, który twierdził, że jeśli ma umrzeć, to chce tu.

– Piknie – zgodziła się gaździna, która już stanęła przed nimi z bochenkiem chleba i glinianym garnkiem w rękach. – Tam Gubałówka, a po drugiej stronie Kasprowy.

– A na wprost? – zapytała Nastusia o górę o dziwnym kształcie, od której nie mogła oderwać wzroku.

– Giewont.

– Giewont – powtórzyła Nastusia. – To musi być niezwykła góra.

– Pikna! – przytaknęła gaździna i spojrzała uważniej, bo coś było takiego w głosie tej letniczki, co słyszała też u swojego Florka. I to ją z lekka zaniepokoiło.

Rozdział 8

Nastusia obudziła się z miłym poczuciem nadchodzącej ekscytacji. Coś obcego, ale niezmiernie obiecującego otoczyło ją, zanim otworzyła oczy. Powoli zdała sobie sprawę z tego, że nie znajduje się w swoim pokoju w Lutomierzycach. Siennik w jej łóżku po wiejsku pachniał świeżym sianem, pościel z grubego płótna pieszczotliwie drapała ją w policzek. Z sąsiedniego posłania dobiegało delikatne chrapanie. Skuszona tym dźwiękiem otworzyła oczy i spojrzała w tamtą stronę. Jej mama spała jeszcze mocno, posapując z pewnym dystyngowaniem. Twarz zatopioną w ogromnej poduszce ledwie było widać. Pierzynę odrzuciła za siebie i zupełnie nieprzystojnie odsłonięte aż do kolan nogi ułożyła na zydlu, który w nocy musiała sobie specjalnie przystawić. Łóżka były bardzo krótkie i niewysokie. Długi warkocz mamy sięgał niemal podłogi, a nagie ramię zarzuciła ponad głowę. Jeszcze takiej rodzicielki Nastusia nie widziała nigdy i ten widok ją rozczulił.

Jaśniało i z mroku wyłaniały się inne szczegóły urządzenia izby. Ściany z potężnych bali były niepobielane wapnem, jak to się robiło w chłopskich chatach u nich, w Lutomierzycach. Pod oknem stał stół przykryty skromnym obrusem z takiego samego płótna, z jakiego uszyta była pościel. Obok niego drewniane zydle i skrzynia na ubrania. Pod ścianami dwa łóżka, a nad nimi zawieszono niezliczoną ilość świętych obrazków. Przez moment przykuły one uwagę Nastusi. Wymalowane były na taflach szkła, a przedstawiały świat naiwny, ale urzekający kolorami. Na jednym obrazku Matka Boska w żółtej, nakrapianej na czarno aureoli i przeraźliwie niebieskiej sukience składała ręce w modlitewnym geście przed gołębicą wielkości kury. To pewnie miała być scena Zwiastowania, bo Maryi na twarz wystąpiły z emocji buraczkowe rumieńce. Na innym obrazku Święty Jerzy z wyłupiastymi oczami siedział na białym koniu i włócznią godził w smoka wyglądającego na przerażoną jaszczurkę. A na jeszcze innym Adam i Ewa, osłaniając się listkami, które zważywszy na wielkość, musiały być liśćmi kapusty, a nie figowca, stali pod drzewem oplecionym przez ogromnego węża o okrągłej buźce, czarnych kropeczkach zamiast oczu i rozdwojonym języku. Koło łóżek stały nierozpakowane jeszcze bagaże. Wczoraj Zofia i jej córka już na nic nie miały siły.

Anastazja wstała, by się przeciągnąć porządnie, na co w za krótkim łóżku nie miała najmniejszych szans, podeszła do malutkiego okienka składającego się z czterech szybek i otworzyła je szeroko. Zapachniało! To był jedyny na świecie zapach porannej mgiełki, krystalicznie czystych i przeraźliwie zimnych górskich potoków, jakich wiele mijali podczas wczorajszej podróży, wielkich rosnących nad nimi łąpuchów i świąteczna woń świerkowych gałęzi. Do tego wszystkiego nagle dołączył smrodek krowiego nawozu. Nastusia wychyliła głowę i zerknęła w lewo za sadek. To tam skrzypnęły drzwi i Kaśka wyprowadziła ze stojącej zaraz za chatą obórki krowę, przystawiła do niej mały zydelek, siadła na nim i zaczęła doić. Zanim skończyła, już koło niej pojawiła się dwójka dzieciaków i kot, wszyscy dopominający się o swoją porcję mleka.

Na dworze robiło się coraz jaśniej. Przewalające się nad Giewontem chmury od wschodu podświetlało na różowo wstające słońce. Od Krupówek słychać było śmiechy młodych dziewczyn.

– Pofalony! – Tak się Nastusia w ten dymiący na różowo Giewont zapatrzyła, że nie zauważyła, jak Kaśka wlała dzieciakom po kubku mleka, dała pajdę chleba i nakazała pognać na pastwisko krowę. – Głodniście? Podźcie, mleka nalejem.

– Pochwalony, zaraz będę!

W kącie ich izby na zydlu stała blaszana miednica, a obok niej wiaderko. Nastusia obmyła się trochę, założyła bluzkę i prostą spódnicę, nie bawiąc się w żadne sznurowanie gorsetów, przytraczenie tiurniur. Poczła się tak lekko i swobodnie jak w dzieciństwie. To dodatkowo napępniało ją euforią. Wyszła z izby do sieni. Wszystkie drzwi w góralskich chatach były niskie, tak że musiała się pochylić, przekraczając wysoki próg. Sień była wybrukowana polnymi kamieniami i pachnąca suszonymi w przewiewie ziołami i warkoczami cebuli. Gospodyni już kręciła się na oszklonym ganku osłaniającym wejście do chaty. Tu ustawione były niewielki stół i zydle ozdobione ornamentem, który Anastazja widziała pierwszy raz. Był to prosty kwiatek z szeroko rozłożonymi płatkami.

Kaśka położyła na stole pachnący chleb z delikatnie popękaną skórką i postawiła mleko w glinianym dzbanku. Potem pobiegła jeszcze po małe, wyciskane w ozdobnych foremkach serki i miseczkę pełną borówek. Później nieproszona usiadła z Nastusią przy stole. Panna Lutomińska nie była przyzwyczajona do takiego zachowania. U nich na Mazowszu było nie

do pomyslenia, by prosta chłopka siadała z panią do stołu. Nawet ich kucharka Marcelinka, choć traktowana jak członek rodziny, nigdy by się na coś takiego nie odważyła. Ale tu Kaśka życzliwie się do niej uśmiechała, a chęć pogadania aż z niej parowała.

– Pazdur z Cichego godoł, co was brat w Zakopanem z choroby sie kuruje.

– Pokoje ma u organisty, gdzieś niedaleko kościoła wynajął, pije żentycę, chodzi na jakieś kąpiele i może dlatego żyje jeszcze.

– Pewnikiem płucno choroba?

– Gruźlica.

– Co i raz tu jakiś do nos z tako chorobom zjezdza. Powiedaj, co górskie powietse lecy. Żentycy lecy. A jakbyście posli ze mną na pole, to pokazałabym, kaj organistów dom.

Wyszły. Wczoraj Anastazja zbyt była zmęczona, by przyjrzeć się okolicy, dlatego teraz widok ją zachwyił. Dolina Krupówek poprzecinana była głośno szumiącymi i pieniającymi się na kamieniach potokami. Nad nimi stało kilka domów, a dalej ciągnął się stary las. Tylko kręta ścieżka wśród podmokłych młaków⁷ i kęp drzew prowadziła od domostwa do domostwa, od młyna do tartaku i dalej koło jakiegoś parkanu w ciemną puszcę.

⁷ Miejsce, gdzie wody podziemne wybijają na powierzchnię nie jednym źródłem, ale tworząc zabagnione miejsce.

– Tu droga ku Hamrom⁸, a tamok do Nawsia. – Kaśka szerokim gestem wskazała raz na jedną stronę ścieżki, raz na drugą, a Nastusia, wodząc wzrokiem za jej rękoma, zobaczyła, jak ktoś szedł w ich stronę, przeskakując z kamienia na kamień przez niewielki potoczek. Robił to zręcznie, acz z pewnym wysiłkiem.

⁸ Kuźnice.

– Gutek? – zawołała i puściła się biegiem w stronę przybysza.

To był Gustaw. W kilka chwil później siedzieli już wszyscy czworo, bo pani Gosztowiczowa także wstała, na ganku Kaścynej chałupy i podjadali oscypki na zmianę z jagodami. Kaśka ani myślała zostawić ich tutaj samych. Toż ona jak ten palec do tej pory siedziała w chałupie przez całą zimę i wiosnę ino z dzieciskami, tylko do Krasnej, znaczy się krowy, mogła się odezwać, tylko szumu potoków i wiatru mogła posłuchać, więc jak wielki świat się zwałił do niej na werandę z tymi letnikami, to nie zamierzała tracić z tego ani chwili.

Pani Zofia przyglądała się synowi z niepokojem. Wychudzony był, z niezdrowymi rumieńcami na policzkach. Położyła przed nim malutką paczuszkę.

– Od Antosia. Tam u nich w Syberii powiadają, że to nadzwyczaj skuteczne. Sproszkowana młoda narośl z rogów reniferów i tamtejszych jeleni. Mógłbyś spróbować – namawiała Gustawa do zastosowania niezwykłego lekarstwa.

On wyjął z paczki flaszeczkę z porcjami proszku zamkniętymi w niewielkich wafelkach, pocałował matczyną rękę.

– Wezmę, mateczko, pewnie, że spróbuję – mówił i dziękował, ale słyhać było w jego głosie, że już nie wierzy w żadne lekarstwo, a jedyna jego radość to taka, że mógł je, siostrę i matkę, widzieć, wypytać o sprawy domowe, mieć nadzieję, że wystarczy mu sił, by jeszcze pokazać im najukochańsze miejsca i zobaczyć, jak one też się nimi zachwycają.

– To nawet nie trzeba iść daleko, choćby do Kościeliska. Tam jest taka piękna dolina, a od niej odchodzi wąwóz o wysokich kamiennych ścianach. Tak, na początek tam was zaprowadzę.

Opowiadał Gustaw o urokach okolic Zakopanego i opowiadał, ale stale spoglądał na Kaśkę. Nie dziwił się jej zachowaniu. Już przywykł do tego, że górale i góralki nosili się dumnie i mieli za pan brat z różnymi miastowymi. Ale od Kaśki były takie zdrowie, energia i uroda, że on sam poczuł się splugawiony swoją chorobą. Ona była jak czysty górski potok, on jak stary łopian, któremu późną jesienią mróz złachmanił liście. Zazdrość go ogarnęła i melancholia, więc przypomniał mu się jeden z górskich wierszy Asnyka:

*I tę samotność zamarłego świata,
Co dziwnym smutkiem ludzką pierś przygniata,
Samotność, w której milczącym ogromie
Człowiek swą słabość poznaje widomie
I chce się cofać przed nieznaną mocą...⁹*

⁹ Adam Asnyk, *Noc pod Wysoką*, w: tegoż, *Poezje*, Warszawa 1974.

Ostatnie słowa powiedział Gustaw ciszej, speszony natarczywym wzrokiem Kaśki. Zdziwił się, kiedy zobaczył, że zaszklily się jej piękne, modre oczy łą, która zakręciła się w nich, ale nie spadła. Do tej pory gaździna krzątała się, donosiła a to oscypków, a to kawałek bundzu, a to

pogoniła dzieciaki do lasu po jagody, a jak przyszły, to im nałożyła kaszy ze skwarkami. Ale teraz siadła na zydlu cicha i wzruszona. Usłyszała w słowach Gustawa inny świat. Świat piękna i delikatności. Świat, którego istnienie przeczuwała, słysząc go czasami w szmerze strumieni, w barwach wiosennych kwiatów, świat, o którym marzyła w nocy, w dzień besztając się za głupie myśli. Świat, do którego tęskniła. Teraz on do niej przyszedł w postaci człowieka z wypisaną śmiercią na twarzy. O gdyby mogła, oplotłaby Gustawa ramionami i własnym ciałem osłoniła przed kostuchą! Gdyby mogła, czułym pocałunkiem tchnęłaby w niego zdrowie i siły! Gdyby tylko mogła! Ale nie mogła, więc to łzę rodzącej się miłości i bezradności zobaczył Gustaw w jej oczach.

Bo cóż miała Kaśka do tej pory ze swojego życia? Tyle co sobie popatrzyła w wieczorną godzinę na te góry piętrzące się dokoła jej chałupy i zachwyciła ich pięknem. A reszta to harówka przez cały dzień. Miłości też nie zaznała, bo jej Florek pochodził co prawda z jednej z najzaciejszych rodzin w Zakopanem, ale on tylko wstyd jej przynosił. Gnało go całymi tygodniami po górach, a jak już zszedł w doliny, to tylko po to, by w karczmie nałóżać się wódki. Coś go pędziło, coś spać nie dawało i Kaśka to nawet pewnie by zrozumiała, bo jej też ciężko było żyć nędznym życiem, kiedy w koło tyle cudowności, ale on nie szukał ani u niej, ani u nikogo innego zrozumienia. Walił się więc Florek w te rzadkie chwile, kiedy do domu zachodził, brudny i śmierdzący w czysto powleczone pierzyny i domagał miłości. A jej się od tego niedobrze robiło. Kiedy lawina go zabrała, Kaśka pomyślała sobie, że to dobrze. Bo on się z tym swoim koślawym życiem męczył i męczył ją. Ona potrzebowała czułości, chciała razem z kimś przeżywać piękno. Dziwne miała marzenia jak na hardą chłopkę spod Tatr. Nikomu o tym nie odważyłaby się powiedzieć. Może tylko temu wysokiemu mężczyźnie o ciemnych włosach, chorobliwych rumieńcach na białych policzkach, o granatowych oczach i wysokim czole tak często pokrywającym się perlistym potem.

Kaśka spędziła ze swoimi letnikami cały dzień. A wieczorem, kiedy już dzieciaki się pospały, naszedł ją wielki płacz. Bo tak żal jej było Gustawa i może z tego żalu rodziły się w niej uczucia inne, pełne czułości i chęci ofiarowania wszystkiego, co najlepsze. Zresztą ta czułość czy sentyment, czy Kaśka już nie wiedziała co, bo to może miłość była, tylko bała się

kobieta tego słowa, tak ją oplatała, że spać nie pozwalała i zmuszała, by wzdychać raz po raz.

– Za pikny on jezd na tyn świat. – Chlipała długo w noc, wspominając twarz Gustawa, jego słowa i uśmiech, aż z tego żalu i płaczu usnęła.

Rozdział 9

W Warszawie Zośka z Agatą też nie mogły spać. Był już środek nocy, a one siedziały, wgapiając się w ekran komputera, i szukały informacji o takim antybiotyku, który mógłby wyleczyć Gustawa, a jednocześnie dałoby się go wyłudzić od lekarza, wymyślając jakąś prawdopodobną, acz trudną do zweryfikowania przypadłość. Wśród wielu cudacznych nazw tych specyfików jedna kusila ich pewną swojskością, przejrzystą budową słowotwórczą, a dzięki temu łatwością zapamiętania, co stwierdziła Zośka, z zawodu nauczycielka języka polskiego, dobrze obeznana z tą dziedziną gramatyki, jako że swoich uczniów od lat zamęczała podobnymi bzdurami. Streptomycyna. Termin był na tyle znajomy, że Agata poczuła przypływ sił i odwagi.

– Ja to załatwię – powiedziała. Wreszcie był jakiś konkret, coś postanowiły, a ponieważ pora była późna, obie zdały sobie sprawę z tego, że są przeraźliwie zmęczone.

Rano sprawa nie wydawała się Agacie już tak prosta, ale słowo się rzekło, trzeba zmierzyć się z zadaniem. Jechała z lekkim chaosem w głowie na drugi koniec miasta do prywatnej przychodni aż na Tarchomin. To daleko. W razie koncertowego blamażu prawdopodobieństwo, że natknie się na ulicy na lekarza, którego chciała oszukać, będzie znikome. Wybrała go starannie. Musiał być niezbyt doświadczony i taki, który raczej nie zajmuje się starszymi osobami. Chciała wykręcić numer, który roboczo nazwała sobie „na babcię”. Im dłużej myślała o szczegółach, tym bardziej była przekonana, że to wszystko pic łatwy do wykrycia i że pisany jej jest los uczciwego człowieka, bo konieczność zachachmęcenia czegoś przyprawiała ją o palpacje serca i otepienie umysłowe. Ale innego wyjścia nie widziała.

Przychodnia jednego z potentatów medycznych przy ulicy Strumykowej wabiła kolorowymi mebelkami dla dzieci przed pokojem, w którym przyjmował pediatra, i schludnością.

– Gabinet numer cztery – udzieliła informacji Agacie panienska w recepcji. – Mamy, zdaje się, lekkie opóźnienie, ale to naprawdę najwyżej dziesięć minut.

– Poczekam. – Agata oduśmiechnęła się do niej raczej zadowolona, że zyskała cenny czas na uporządkowanie w głowie planu.

Miała zamiar opowiedzieć lekarzowi o swojej wymyślonej babci, osobie już mocno wiekowej i trapionej sklerozą, która często zapadała na zapalenie płuc. Teraz też się to przytrafiło jak na nieszczęście podczas nieobecności jej lekarza rodzinnego. O wizycie u innego doktora babcia nie chciała słyszeć, bo wszyscy inni to konowały dybiące na życie niewinnych i bezbronych staruszek. Ale to może nie będzie wielkim problemem – tak zamierzała przedstawić sprawę Agata – bo przy każdym płucnych dolegliwościach babci streptomycyna działała cuda, więc jakby pan doktor był taki dobry...

Drzwi się otworzyły. Z gabinetu wyszedł pacjent, a zaraz za nim dobiegł dziewczynę znajomy skądś głos:

– Pani Agata!

Poderwała się z krzesła i weszła do pokoiku, zamykając za sobą drzwi. Spojrzała na lekarza i oniemiała.

*

Doktor Tomasz Wróblewski zgodził się przyjąć jeszcze jedną pacjentkę, ale prawdę mówiąc, siedział już jak na szpilkach. Za półtorej godziny miał się stawić na egzaminie specjalizacyjnym z hematologii i teraz starał się wykorzystać każdą minutę na to, by ułożyć sobie po raz kolejny w głowie wszystkie te rzeczy, o które egzaminatorzy mogliby go zapytać. Liczył na to, że ostatnia pacjentka nie zajmie mu zbyt wiele czasu. Jednak rzut oka na nią wystarczył, by go mocno zaniepokoić. Ładna była. To ten typ kobiet, który na niego zawsze działał. Mawiał, że to uroda nienachalna w sensie zupełnie innym, niż miała to na myśli Maria Czubaszek, tytułując tak swoją ostatnią niestety książkę. Nienachalna, zdaniem doktora Tomasza, to delikatna, jakby cicha i spokojna. Ta dziewczyna taka była. Popielate włosy ściągnięte z tyłu w koński ogon, wyraziste szare oczy i nieco może zbyt blade, ale jakże kuszące usta. Figura? Marzenie! Kiedy indziej pewnie Tomasz przeżywałby męki, że to cudo zaraz wyjdzie z jego gabinetu i zniknie mu z oczu gdzieś w czeluściach wielkiego miasta, ale tym razem ogarnęła go lekka irytacja. Tam czeka go ważny egzamin, a ta tu stanęła w progu gabinetu z miną człowieka nie całkiem rozgarniętego.

– Czym mogę służyć? – spytał, wskazując jej krzesło po drugiej stronie biurka.

Zacząła pleść trzy po trzy o jakiejś babci ze starczą demencją. Naprawdę doktor Wróblewski nie miał teraz czasu na wysłuchiwanie zbyt długich opowieści.

*

Agata tego się nie spodziewała. Za biurkiem lekarskiego gabinetu siedział Janek, mąż Bogusi, a w każdym razie ktoś kubek w kubek podobny do niego. Czy mówi panu coś nazwisko Zarębski? Czy nie jest pan spokrewniony z tą rodziną? – miała ochotę zapytać, ale zamiast tego zaczęła opowiadać zmyśloną historię babci sklerotyczki. Nie było jej przyjemnie, kiedy zobaczyła na twarzy młodego lekarza wyraz zniecierpliwienia.

– Ale pani co dolega? – przerwał jej opowieść.

Zbił ją z pantałyku. Coraz bardziej zawile zaczęła tłumaczyć, że jej to nic, ale babcia do żadnego lekarza nie pójdzie, bo taka się uparta zrobiła przez tę swoją sklerozę i z tego nikt jej nie wyleczy, ale z tym prawdopodobnym zapaleniem płuc streptomycyna dałaby sobie na pewno radę. Wydało jej się, że lekarz na dźwięk słowa streptomycyna poczuł jakąś ulgę, więc i ona zaczęła mieć nadzieję, że ta idiotyczna misja się jednak uda.

Jeśli chodzi o ulgę, Agata miała rację. Doktorowi zaświtała szansa, by szybko pozbyć się z lekka szurniętej pacjentki.

– Streptomycyna, proszę pani, to bardzo stary lek i jest już wycofany ze sprzedaży.

– Tak? – spytała Agata mało inteligentnie i popatrzyła na Tomasza uroczo i bezradnie.

Jakie śliczne dziewczę – pomyślał trochę staroświecko – szkoda, że taka głupiutka. A głośno dodał:

– Jeśli mogę pani w czymś pomóc, to słucham, ale jeśli chodziło tylko o ten antybiotyk, to przykro mi bardzo, ale śpieszę się, mam ważny egzamin.

– Nie, dziękuję. – Agata wstała z krzesła całkowicie zdruzgotana. Może nawet mniej tym, że nic nie załatwiła, a bardziej, że ten człowiek kompletnie nie zwrócił na nią uwagi. Przecież jeśli istnieje w rozwoju świata jakaś cykliczność, a dzieje jej rodziny i dziwne podobieństwo między odległymi o ponad półtora wieku krewnymi na to wskazywały, to

właśnie mija się z kimś, kto jest jej drugą połówką, kimś, kto do niej zgodnie z wiekową już tradycją przynależy, do kogo w tamtym świecie, w którym znalazła się tylko na moment, poczuła tak wiele czułości. A i teraz myślała, że to nie mógł być przypadek, ale palec boży, że się spotkali. A może jednak nie? Może żadnego palca bożego nie ma? Fatum, los zapisany w gwiazdach to wymysły ludzi marzących o tym, by w jakikolwiek sposób zapanować nad wirami spraw, losów, szczęść i nieszczęść, który układa każdemu z nas życie w sposób całkowicie przypadkowy i pozbawiony sensu? Agata nie mogła na to pozwolić.

– Może kiedyś się jeszcze zobaczymy? – spytała desperacko, stojąc już w drzwiach.

– Któż to wie? Któż to wie? – odpowiedział doktor Wróblewski, wcale na nią nie patrząc, zajęty zbieraniem swoich rzeczy z biurka.

Kłęska! Kłęska na całego! Wyszła z gabinetu i ciężko klapnęła na stojącym w poczekalni krześle. Musiała ochłonać. Lekarz zebrał się już widocznie, bo po chwili też wyszedł i pognął na ten swój egzamin. Poszła za nim prawie bezwiednie z tłącą się w sercu nadzieją, że może gdzieś tu w pobliżu mieszka i zajdzie do siebie, dzięki czemu ona dowie się przynajmniej, gdzie go szukać. Ale on wsiadł do stojącej na najbliższym parkingu wysłużonej toyoty i odjechał w stronę dal.

Wróciła do domu przybita. Jedno było pewne – bez fachowej porady Zośka i jej córka nie miały szans na zdobycie skutecznego leku dla Gustawa. Każdy szczegół nieszczęsnej przygody Agaty zdawał się tę prawdę potwierdzać. A ona opowiadała o tym matce z drobiazgową dokładnością, starannie jednak omijając sprawę swoich uczuć do Bogusinego męża, wszystko jedno, czy pojawiał się przed nią współcześnie, czy w wersji archaicznej. Zośka wysłuchiwała relacji uważnie, a potem westchnąwszy głęboko, powiedziała:

– Trzeba spotkać się z wujem Brunonem.

– Chyba nie ma innego wyjścia – zawtórowała jej Agata tonem, z którego wynikało, że spotkanie to jest rzeczą ostateczną, o wymiarze katastrofy, zatem trzeba do niego odwagi i determinacji.

– Tak – zgodziła się jej matka. – W najbliższy weekend wybiorę się do Serocka.

– Pojadę z tobą. – Agata nie mogła pozwolić, by rodzicielka została w tak trudnej sytuacji bez wsparcia.

Wuj Brunon był osobistością wyjątkową. Kto raz spojrział na niego, już nigdy nie zdecydowałby się na nazwanie go dobrotliwym słowem wujek. „Wuj to wuj”, jak mawiał jeden z najbardziej klasycznych klasyków, a wuj Brunon z całą pewnością nim był. Gdziekolwiek się pojawiał, zwracał uwagę swoim wyglądem, bo był to człowiek potężnego wzrostu i stosownie potężnego brzucha. Smoliście czarna broda skrywała mu usta, z których wydobywały się dźwięki przypominające szalejącą burzę. Łysa głowa połyskiwała swą wyglansowaną powierzchnią niby błyskawica, by wzmocnić to podobieństwo. Każde dziecko, które pojawiał się w zasięgu wzroku czy głosu Brunona, szukało z płaczem natychmiastowego ratunku u rodziców, a spotkanie to było dla niego traumą na całe życie. Agata coś na ten temat wiedziała. Ale najgorsze było to, co wuj Brunon mówił.

Zośka nigdy nie zapomni koncertu genialnego skrzypka Gidona Kremera w warszawskiej filharmonii. Wuj podczas antraktu, kiedy zaszli do bufetu, by napić się kawy, zaczął dowodzić, że Zośka siada w sposób nieprawidłowy, co może być przyczyną osłabienia mięśni Kegla, a w konsekwencji nietrzymania moczu. Wuj był pewien i głośno obwieścił to całemu światu, a w każdym razie tłumowi zgromadzonych w bufecie melomanów, że przy jej trybie życia i tym nieszczęsnym sposobie siadania już pewnie na tę przypadłość cierpi i polecał rewelacyjnie chłonne podpaski jakiejś tam firmy. Cisza, jaka wtedy zapanowała, była najlepszym dowodem na to, że przeraźliwie skrępowana była nie tylko Zośka, ale i wszyscy mimowolni świadkowie tej sceny. Dopiero po chwili znowu rozległ się zwykły gwar. Na całe szczęście dał się słyszeć także dzwonek wzywający na widownię i wuj nie miał już szans na dogłębniejsze rozwinięcie tematu. Innym razem, podczas przypadkowego spotkania w zatłoczonej knajpce w Zakopanem... Znacie to: kopę lat! Co za szczęście! Więc podczas tego spotkania uwaga wuja skoncentrowała się na jedenastoletniej wtedy Agacie.

– Ależ ty wyrosłaś, dziewczynko! – zaczął niby niewinnie swoim grzmiącym głosem, a potem płynnie przeszedł do dywagacji, czy jego młodziutkiej kuzynce zaczęły już rosnać włosy łonowe.

Nie było w tym złośliwości. Sam wuj Brunon uważał się za zdeklarowanego humanistę, któremu nic, co ludzkie, nie jest obce, a więc i krępujące też nie powinno być. A jeśli ktoś jednak czuł się skrępowany, to znaczy, że jest niewolnikiem głupich konwenansów, którym Brunon nie

miał zamiaru ulegać. Jedynym terrorem, przed jakim się ugiął, choć tylko pozornie, był terror zdrowego odżywiania stosowany przez jego żonę, ciotkę Erykę. Zośka nie trawiła żony wuja. Stosunki między nimi niemal nie istniały. Dlatego Agata pozbawiona kontaktów z tą wielce oryginalną kobietą nie w pełni zdawała sobie sprawę z tego, co ją czeka. Po co mam dodatkowo straszyć dziecko? – myślała sobie Zośka, postanawiając nie opowiadać córce o ciotce. Może tym razem jednak pójdzie gładko?

Rozdział 10

W Serocku jest taka uliczka, przy której po jednej stronie stoją skleione ze sobą domki, a po drugiej tyły ogrodów sąsiednich działek pokazują swoje niezbyt schludne oblicze. W jednej z tych szeregówek mieszkali ciotka Eryka i wuj Brunon. Przy furtce widniała biała tabliczka informująca o tym, że lekarz internista Brunon Klepacz przyjmuje w poniedziałki, wtorki i środy w godzinach od siedemnastej do dziewiętnastej, a w czwartki i piątki od dwunastej do czternastej. W przypadkach nagłych uprasza się dzwonić pod numer taki a taki. Gabinet urządzony był w pomieszczeniu, które pierwotnie przeznaczono na garaż. Trzeba przyznać, że chętnych do zasięgnięcia porady wuj miał wielu, bo choć wiadomo było, że pan doktor nie patyczkował się i mówił to, co myśli, prosto z mostu, to jednak znał się na rzeczy i przeprowadzał zawsze dokładną diagnostykę.

Zośka z Agatą znalazły się przed tym domem w piątek późnym popołudniem. Chwilę posiedziały w toyotce yaris, która wiernie służyła starszej z nich już bardzo długo. Tak długo, że pani Przywarowa zdążyła się do niej serdecznie przywiązać i trudno jej było wyobrazić sobie zmianę samochodu. W jej przyciasnym wnętrzu czuła się bezpiecznie, a w tej chwili szczególnie nie miała ochoty go opuszczać.

– To chodź, mamus. – Agata pocieszająco pogłaskała ją po rękę.

– Trzeba. – Westchnęła Zośka.

Wysiadły z samochodu, podeszły do furtki i nacisnęły przycisk domofonu.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! Jezusie! Maryjo! Toż to Zośka z córeczką! – Ciotka Eryka była osobą niezwykle religijną, Bóg towarzyszył jej na każdym kroku, dlatego nie uważała, że wbrew przykazaniu bierze jego imię nadaremno. Ona po prostu w każdej chwili życia wyrażała mu wdzięczność za to, co ją spotyka. Przynajmniej tak tłumaczyła swoje słowa wszystkim tym, którzy ośmielili się mieć co do jej postępowania jakiegokolwiek zastrzeżenia.

– Stęskniłyśmy się za wami – skłamała Zośka w odpowiedzi tak bezczelnie, że Bóg powinien natychmiast spuścić na nią grom z jasnego nieba, ale najwyraźniej był zajęty.

Usadzone na skórzanej kanapie czekały cierpliwie, aż ciotka nakrzęta się do syta w kuchni i uczęstuje je czymś wyjątkowym i nadzwyczajnie

zdrowym. Zdrowe odżywianie było bowiem pasją Eryki. Uwijała się więc żwawo, prężną sylwetką i energią dając dowód zalet swojej kuchni.

– Zrobiłam wam herbatkę z przetacznika leśnego – oznajmiła rozpromieniona i postawiła im przed nosami filiżanki z bladym naparem pachnącym lekko zbutwiałym sianem. – Doskonale oczyszcza organizm ze wszelkich toksyn. Z pomocą Bożą można znaleźć w naturze lekarstwa na wszelkie dolegliwości.

Znowu pognąła do kuchni po następne delicje. Zośka i Agata zdążyły tylko spojrzeć na siebie z rozpaczą, a ciotka już była z powrotem z talerzem pełnym czegoś w barwach narodowych.

– Mój ostatni wynalazek kulinarny – pochwaliła się. – Koreczki z rzepy z musem z surowych buraczków. Bosko smakuje!

Jej krewne nie odpowiedziały, że wierzą na słowo, tylko chlipnęły trochę przetacznika i posłusznie sięgnęły po ten specjał. Jedna z nich wiedziała z doświadczenia, że nic im nie będzie oszczędzone, opór jest próżny.

– Wujka nie ma? – Agata była bliska płaczu. Taki stres, udręka dla kubków smakowych, a tu nic nie działają?

– Poszedł do chorego, ale wróci niedługo. Skaranie boskie z tym Bruniem, nigdy go nie ma na czas, a tu kolacja już czeka. Regularne odżywianie to połowa sukcesu. Mam nadzieję, że zjecie z nami?

Kiwnęły zrezygnowane głowami. Nie było innego wyjścia.

– Ja się nie skarzę, broń Panie Boże! Po to Bóg stworzył kobietę, by strzegła rodzinnego ogniska. A głową rodziny jest zawsze mężczyzna, więc staram się tak postępować, by Bruniewi pasowało. Ale on o swoje zdrowie wcale nie chce dbać. Spuścić go z oczu nie można, bo zaraz mu jakaś głupia baba w gabinecie ptasie mleczko wciśnie albo facet alkohol. A on się nie przyzna, tylko w tajemnicy przede mną to zje i wypije. Ja wiem, że jestem tylko kobietą, której Pan Bóg nakazał słuchać mężczyzny, i słusznie, bo oni od nas są mądrzejsi...

– Chyba nie zawsze, ciociu – nie wytrzymała Agata.

Nic nie pomógł jej słodki uśmiech ani najniewinniejsze spojrzenie, na jakie mogła się zdobyć. Ciotka takiej zuchwałości tolerować nie zamierzała. Była jednak osobą na tyle dobrze wychowaną, że powstrzymała się od gwałtowniejszej reakcji, jedynie zmierzyła Agatę wzrokiem, pod którego ciężarem każdy przyzwoity człowiek zakwiliłby cienko i padł martwy.

Agata jednakowoż tylko zamilkła i przylgnęła do siedzącej obok na kanapie matki.

– Bóg ustanowił na tym świecie pewien porządek i żadna zarozumiała panna go nie zmieni. – Ciotka spojrzała na obie skulone na kanapie kobiety znad zsuniętych na czubek odrobinę za długiego nosa okularów i uniosła wskazujący palec prawej ręki, którego to gestu od zarania dziejów używał każdy szanujący się kaznodzieja. – Z żebra Adama powstałyśmy, z naszej winy ludzkość została wygnana z raju i Bóg wyraźnie powiedział: ku twojemu mężowi będziesz kierowała swe pragnienia, on zaś będzie panował nad tobą. I nie może być inaczej! To ewolucja uczyniła kobiety mniej inteligentne. To konieczność, bo przecież żadna inteligentna osoba nie wytrzyma dziecięcego paplania dłużej niż godzinę dziennie! A...

– Skąd ty to możesz wiedzieć? Przecież nie masz dzieci. – Zośka też nie mogła już dłużej słuchać wywodów ciotki. Zastanawiała się intensywnie, czy naprawdę nie znalazłby się inny sposób, by wyciągnąć od kogoś informacje o leku na gruźlicę.

– Jeden z polityków tak powiedział!

Nie, tego było za dużo. Obie z Agatą wiedziały, że przebywanie pod jednym dachem z ciotką Eryką jest rzeczą trudną do zniesienia, ale zdecydowały się na to poświęcenie. Z nią nie dało się dyskutować, bo była całkowicie odporna na logiczne argumenty. Można było co najwyżej toczyć dwa oddzielne monologi. Wydawało im się, że uzbroiły się w należyłą cierpliwość, ale Eryka raz, dwa, trzy rozprawiła się z tymi mniemaniami. Zośka już wstawała z kanapy, żeby podziękować za kolację, która na pewno będzie przepyszna i oczywiście bardzo zdrowa, kiedy usłyszała dobiegające z wejściowego korytarzyka najpierw odgłosy otwieranych drzwi, a potem smolisty bas wuja Brunona.

– A to dziw! Ktoś nas odwiedził!

Za każdym razem, kiedy matka i córka widziały się z wujem Brunonem, zastanawiały się, jakim cudem udało mu się zachować to potężne brzuszisko. Dla ciotki Eryki był to koronny dowód na wyższość męzczyzny nad kobietą. Choć tak się starała, nie potrafiła nagiąć ciała męża do swoich wymogów.

Zośka opadła znowu na kanapę. Może jednak uda się pokierować rozmową tak, by wydobyć z wuja potrzebne informacje. Na dodatek ciotka krzyknęła:

– Już idę robić kolację! – I znikła w czeluściach kuchni.

– Tak się cieszę! Tak się cieszę, że was widzę – grzmiał wuj, a one wcale mu się nie dziwiły. Wręcz przeciwnie, były pełne zrozumienia i współczucia dla niego. – Agata jak wyrosła! Jeszcze niedawno była takim brzydkim kaczkciem. Kwa! Kwa! Kwa! Teraz jej już przeszło, choć ten nosek i szerokie usta... no... no...

Wstały, by się przywitać, więc wyściskał je solennie.

– Dzień dobry, wuju. – Agata poddała się tym uściskom bez entuzjazmu. Ciepłsze uczucia dla niego tylko na krótko rozkwitły w niej podlane gadaniem ciotki. Teraz on sam je zatruł.

– A co u Konstantego? – Brunon zwrócił się do Zośki. – Słyszałem, że mieliście kłopoty. Pamiętaj! Mężczyzna ma swoje potrzeby i jeśli nie znajdzie ich zaspokojenia w domu, będzie musiał poszukać gdzie indziej!

– Wuj tak z doświadczenia mówi? – Agatę znów zaświerzbiał język.

Gdyby byli sami, Brunon z całą pewnością udzieliliby jej stosownej reprimendy, ale teraz skulił się tylko ze strachu, czy tych słów nie słyszała jego niewysoka, ale jakże groźna żona. Bo Eryka była gadatliwa. Każda okazja była dla niej dobra do wygłoszenia budującego kazania. A kazań miał już Brunon po dziurki w nosie. No chyba że sam je wygłaszał. Ale w tej sztuce niestety musiał przyznać prymat swojej ślubnej, więc nawet z nią nie próbował dyskutować. Słuchał, ciągle uczył się tej trudnej umiejętności, a potem dawał reprimendy jedynie swoim pacjentom.

– Zapraszamy do stołu. – Ciotka wniosła wielką miskę razowego makaronu ze szpinakiem mocno pachnącym czosnkiem i dzbanek z nową herbatką. Rozlała ją do filiżanek.

– A cóż tu mamy dobrego? – Wuj upił odrobinę i skrzywił się. – Znowu czystek? Eryczko, przecież mówiłem, że nie lubię!

– Ja też, Brunonku, ja też! Ale ty powinieneś! Trzeba oczyszczać organizm, szczególnie jeśli ktoś ma problemy z cukrem, nadwagą i ciśnieniem. Ja doprawdy nie rozumiem, Brunonku, jak to się dzieje, że je masz, ale niezbadane są wyroki boskie i każdy swój los musi przyjąć z pokorą. Ale ja tu gadam, a wy coś byście już zjedli.

– Choroba to dopust Boży – odezwała się Zośka w ciotczynym stylu. – Wyobraźcie sobie, że u jednego mojego znajomego wykryto gruźlicę! Myślałam, że ta dolegliwość już przeszła do historii.

Tym sposobem skierowała rozmowę w pożyteczną stronę i uszczęśliwiła wuja Brunona. W monologowaniu na tematy lekarskie nie miał sobie równych i ciotka, choć bardzo się starała, nie mogła mu dotrzymać w tym zakresie kroku.

– No, nie, nie przeszła – zaczął. – W dziewiętnastym wieku rozpanoszyła się strasznie. To w zasadzie była już niewygasająca pandemia, choć tego słowa wtedy nie używano. Ośmielę się twierdzić, że była takim samym zagrożeniem jak dżuma. Tylko tamta choroba przypominała gwałtowny pożar. Wybuchwała nagle, pożerała, co tylko mogła, i gasła. A gruźlica tli się od wieków. Gdzie są jej początki, nikt nie wie. Ja sam jestem przekonany, że towarzyszy ludzkości od zawsze, a może jest jeszcze starsza niż nasz rodzaj. Wiadomo, że zdziesiątkowała mieszkańców Europy w siedemnastym wieku, a potem w dziewiętnastym była tak powszechna, że jej ślady znajdziemy wszędzie.

– Chopin, Słowacki, *Czarodziejska góra*, *Dama kameliowa*. – Zośka popisała się wiedzą, ale umilkła zgromiona wzrokiem ciotki. Jej mąż przemawia!

– Może, Brunonku, sosu z nerkowców z płatkami drożdżowymi? – Sama jednak skorzystała z okazji, że ślubny na moment zamilkł, i czyniła honory pani domu. – Może i wy spróbujecie? Zachęcam, to prawdziwy dar Boży, bo... – przerwała pod wpływem pełnego wyrzutów spojrzenia męża. Połała mu makaron i szpinak gęstym i całkiem apetycznie wyglądającym sosem, a potem sięgnęła po talerze Zośki i Agaty.

– Pod koniec dziewiętnastego wieku dopiero – mówił wuj Brunon, nawijając makaron na widelec, a potem przeżuwając go między poszczególnymi słowami – Robert Koch odkrył drobnoustroje, które wywoływały tę chorobę. Na jego cześć nazwano je prątkami Kocha. Tuż po pierwszej wojnie światowej zaczęto stosować szczepionkę BCG i to już zahamowało wzrost zakażeń, ale pierwsze skuteczne lekarstwa pojawiły się dopiero po drugiej wojnie.

Wuj przerwał i rozejrzał się niespokojnie po stole. Jego talerz był wymięciony do czysta. Półmisek z makaronem też już stał pusty.

– Moje drogie, będę was musiał opuścić – powiedział, szeroko rozkładając ramiona w geście mającym pokazać jego bezradność wobec tajemniczych sił wyższych.

– Bój się Boga, Brunonku, gdzie znowu? – Z kolei ciotka Eryka załamała ręce także w wymownym odruchu.

– Węglarczyk ze szpitala wrócił, trzeba zerknąć, jak się miewa – odpowiedział wuj, a Zośka z Agatą zorientowały się, że chodzi o jakiegoś pacjenta.

– My wuja podwieziemy! – szybko zaproponowała młodsza z nich. Szkoda im było tracić tak obiecująco rozwijający się wątek rozmowy.

– Co to za lekarstwa na gruźlicę się pojawiły? – podjęła temat starsza, kiedy już pożegnały się z ciotką Eryką i we trójkę wyszli przed dom.

– Streptomycyna – odpowiedział wuj, zdradzając pewne zakłopotanie.

– To gdzie mam jechać? – spytała Zośka, kiedy wuj z pewnym wysiłkiem wcisnął się do jej yariski.

– Widzisz, Zosiu, przyznam się, ale nie wydajcie mnie przed Eryczką...

– Nigdy w życiu! – Obie zgodnie, jak przystało na matkę i córkę, walnęły się pięściami w piersi.

– Eryczka jest wspaniałą gospodynią, nawet stara się, żeby wszystko mi smakowało, ale tak żyć bez mięsa? Bez słodczy? Nie da się! No, nie da się, kochane!

– Bez słodczy? – W głosie Zośki zabrzmiała autentyczna groza. Ona też bez nich nie potrafiła się obyć.

Wuj Brunon usłyszał to, bo nagle ożywiony i już niczym nieskrępowany zaczął mówić:

– Całkiem niedaleko, przy głównej ulicy jest taka maleńka kafejka Mała Czarna. Jaki tam dają sernik! Dziewczyny, mówię wam, poezja! Niedaleko jest parking, przy domu towarowym.

Zajechali więc tam. Ledwie weszli do lokalu, od razu stało się jasne, że wuj jest tutaj częstym bywalcem.

– Stoliczek dla pana doktora już czeka. – Rozjaśniła się uśmiechami panienska zza lady. – To co zwykle?

– Tak, skarbeńku – odparł Brunon. – Rozejrzyjcie się dziewczyny. Tu wszystko jest pyszne.

Zostawił je same przed szklaną witrynką, a sam poszedł w głąb wąskiego pomieszczenia, gdzie ukryte za niewielką ścianą stały wygodna sofa, stolik i dwa fotele. Agata z Zośką patrzyły na ciasta za szybką i ślinka im ciekła do ust. Wyglądały pięknie. Tort bezowy otulony był chmurką śmietankowego kremu i przemyślnie ozdobiony kolorowymi owocami,

strudel z jabłkami mimo zamknięcia za szkłem pachniał cynamonem, jeden z serników łytał na nie oczkami rodzynek, a drugi połyskiwał glazurą z kajmaku. Porcje były potężne.

– Na pół? – Aż tak Zośka nie chciała grzeszyć.

– I kawusia? – dopytała Agata, kiwając na zgodę głową.

Zamówiły i przysiadły się do wuja.

– Czy nadal używa się streptomycyny? – Zośka próbowała wrócić do interesującego tematu, ale zamilkła z rozdziawioną gębą, kiedy panienka zza lady przyniosła zamówienie wuja. Podobno zwykle zamówienie. Postawiła przed Brunonem garniec gorącej czekolady przykryty ogromną poduchą bitej śmietany, a do tego po solidnym kawale bezy i kajmakowego sernika. Wujowe brzuszysko znalazło swoje uzasadnienie. Podwyższony cukier we krwi też. – Więc co z tą streptomycyną? – ponowiła pytanie, kiedy już trochę otrząsnęła się z szoku.

Wuj rozkoszował się zapachem słodyczy. Łyżeczką nabierał odrobinki nie do końca rozpuszczonych kawałeczków czekolady i trochę śmietany.

– Rozkosz! – powiedział z rozmarzeniem. – Mogę być w domu vegetarianinem, a nawet weganinem, jeśli tylko po posiłku uda mi się wymknąć do restauracji. Nawet pojęcia nie macie, jakiego smacznego królika podają niedaleko w Żłotym Linie! A rybki tam jakie! Od wielkiego dzwonu Eryczka też mi jakąś rybkę upichci, ale takiej jak tam, nie. Taki sandaczyk z grilla z sosem maślano-cytrynowym albo okonki zapiekane w śmietanie... Poezja!

Nie było wyjścia. Wuj musiał dostarczyć swojemu potężnemu organizmowi odpowiednią ilość cukru, by móc dalej normalnie funkcjonować. Zośka aż nadto dobrze to rozumiała. Widać odziedziczyli ten sam rodzinny gen. Brunon, delektując się, spożył już pół garnca czekolady i zjadł bezowy tort. Dopiero wtedy miał siłę zająć się czymkolwiek innym.

– Streptomycyna – nieponaglany podjął wątek – na wiele lat rozwiązała problem. Niestety w latach osiemdziesiątych przestała być skuteczna. Uodparniamy się na antybiotyki i znowu ta stara choroba szczyrzy kły. To bardziej Afryka, Azja, Ameryka Południowa, ale i u nas trafiają się przypadki zaawansowanej gruźlicy.

– Czym ją leczyć? – Agata starała się podtrzymać rozmowę, bo nasycony wuj najwyraźniej potrzebował teraz krótkiej drzemki. Do tego nie można

było dopuścić!

– Teraz chyba najpopularniejszym lekiem jest ryfampicyna.

– To lek tylko przeciwgruźliczy? – Zośka doszła do wniosku, że trzeba pytać jak najszybciej bez żadnego kluczenia, bo wuj im zaśnie. Ją także w takich sytuacjach napadała trudna do opanowania senność.

– Może pójdziemy już do domu? – Brunon wstał od stolika.

– Odwieziemy wuja.

– O, to dobrze, kochane. Zmęczony jestem.

– Ale powiedz, bo to ciekawe. Ten lek to tylko na gruźlicę?

– Eee, nie. Przepisuje się go też w przypadku brucelozy i na przykład w meningokokowym zapaleniu opon mózgowych. Podaje się to też profilaktycznie, jak ktoś miał tylko kontakt z takim chorym.

– To nie trzeba być nawet chorym, by dostać receptę na ten lek? – Agata ucieszyła się tak wyraźnie, że powinno to wzbudzić jakieś podejrzenia u wuja. Ale nie. On już przynajmniej myślami był w swoim łóżku, choć ciałem na razie wciskał się do toyotki. Pewnie też dlatego nie nalegał zbytnio, by dziewczyny wpadły jeszcze na chwilę, kiedy podjechali pod jego dom.

– Mamy to! – Matka z córką rzuciły się sobie w objęcia, ledwie wuj wysiadł z samochodu.

Rozdział 11

Nad sposobem zdobycia cudownego lekarstwa dla brata męża sto pięćdziesiąt lat wcześniej zastanawiała się także Lubow Andriejewna Lutomierska w dalekim Krasnojarsku. Taka szansa pojawiła się w związku z przyjaciółką Lubow, Niną Zaryczkiną, która starała się wprowadzić Lutomierskich do krasnojarskiego towarzystwa. Nie było to wcale łatwe zadanie, bo w większości Rosjanie traktowali Polaków jako nierozsądnych i niewdzięcznych buntowników. Jednak talenty towarzyskie Niny Stiepanowny sprawiły, że w Antonim, dawnym uczestniku antyrosyjskiego powstania, widziano przede wszystkim ciekawego rozmówcę. Ninoczka była urocza. Delikatna blondynka z anielską twarzą i nieco zbyt szczupłą figurą przyciągała wzrok mężczyzn i zjednywała sympatię kobiet. To się rzadko zdarza. Ale ona z takim ciepłem odnosiła się do każdego ze swoich znajomych, że wszyscy czuli się w jej towarzystwie wyjątkowo, stawali się lepsi, mądrzejsi, bardziej uczynni, dowcipniejsi. Taka osoba to skarb. Pani Zaryczkina była wdową i matką równie jak ona uroczej córeczki Ludmiłki. Nie było w krasnojarskim towarzystwie mężczyzny stanu wolnego, który nie marzyłby o tym, żeby zostać dozgonnym opiekunem tych wyjątkowych istot, ale Ninoczka z powodów, o których nigdy nikomu nie powiedziała, z taktem i wdziękiem trzymała tych panów na dystans. Nad tym, dlaczego tak było, zastanawiały się najbardziej dociekliwe z krasnojarskich dam. Hipotez było wiele. Jedna z nich mówiła o tym, że zmarły mąż Ninoczki, człowiek miły i kochający swoją żonę nad życie, ale nieuczciwy, bo trafił do Krasnojarska za jakieś poważne malwersacje, przed śmiercią zakazał Ninoczce powtórnego zameścia i ona tego zakazu posłuchała. Przypuszczano także, że testamentem ją do tego zmusił, pozwalając na korzystanie ze zgromadzonych przez niego funduszy tylko do czasu ewentualnego powtórnego małżeństwa. Krążyły też pogłoski o jakiejś tajemniczej nieszczęśliwej miłości Ninoczki albo wręcz przeciwnie, podobno tak się w drobne sympatie rozproszyła, że do głębszego uczucia nie jest już zdolna. W każdym razie, a zwykle tak bywa, że o pięknych i samotnych kobietach najchętniej się plotkuje, mówiono o niej wiele, a w jej salonie przebywano chętnie.

Lubow Andriejewna także ochoczo odwiedzała Ninoczkę. Od pewnego czasu jednak stan zdrowia przyjaciółki zaczął ją niepokoić. Pani Zaryczkina

zawsze była szczupła, ale teraz chudła jeszcze bardziej. Na twarzy pojawiły się gorączkowe rumieńce, a delikatne pokasływanie coraz częściej przechodziło w gwałtowny kaszel. Gruźlica? Lubow była tego niemal pewna, a tę diagnozę potwierdziło jeszcze dwóch najznakomitszych krasnojarskich lekarzy. Nina szukała ratunku wszędzie. Jeździła nawet do Moskwy. Kiedy straciła nadzieję, że pomogą jej lekarze, zaczęła objeżdżać różnych jurodiwych, szarlatanów, wydrwigroszy. Lubow z początku przestrzegала Ninę przed podobnymi typami, ale później przestała, bo każdy z nich niósł jej przyjaciółce odrobinę nadziei. Dobrze i to.

Za każdym razem Nina prosiła Lutomierską, żeby miała baczenie na jej dom i córkę, bo na czas takich wypraw Ludmiłka zostawała tylko pod opieką wiernej służącej, a może lepiej byłoby powiedzieć towarzyszki życia Ninoczki, Jeleny Zamiorskiej. Lubow pomagała, jak tylko mogła, ale serce jej się kroilo, kiedy patrzyła na tę beznadziejną walkę ze śmiertelną chorobą.

Pewnego razu Nina znowu poprosiła Lubow o opiekę nad córką i domem. Wybierała się do Tuwy, siedziby najsłynniejszych syberyjskich szamanów.

– Ja wiem! Nic nie mów! – uprzedziła ewentualną krytykę przyjaciółki. – Ale to już ostatnia możliwość ratunku. Też nie bardzo w to wierzę, ale muszę wykorzystać najmniejszą szansę.

Lubow była prawdopodobnie jedyną osobą, której tym razem Nina powiedziała, dokąd się wybiera. Chyba się wstydziła czy bała reakcji reszty towarzystwa.

– Matko Boska, jak ty tam dojedziesz?! – Lubow przeraziła się nie na żarty. Niby ta kraina nie była zbyt odległa od Krasnojarska, ale tak dzika, zamieszкана tylko przez jakieś prymitywne koczownicze ludy, że niepodobieństwem było, by dla chorej i delikatnej kobiety taka wyprawa mogła być bezpieczna.

– Ja właśnie z tym do ciebie, a raczej do twojego Antoniego. Dla niego zorganizowanie tej podróży byłoby chyba możliwe. Tam nad Jenisejem jest podobno złoto. Tam wybierają się jego poszukiwacze. Antoni zna takich.

Ninoczka tak prosiła, że nie sposób było odmówić, choć Luba nie mogła obiecać jej wiele. Lutomierska była niemal pewna, że mąż będzie starał się wybić Ninie z głowy szalone pomysły. Stało się jednak inaczej.

– Sam nie wiem, co mam o tym myśleć – powiedział, kiedy wieczorem powtórzyła mu prośbę Zaryczkiny. – Szamańskie praktyki tubylczych

plemion muszą wzbudzać nieufność, ale z drugiej strony tyle słyszałem historii cudownych uleczeń, dziwnych przypadków, że może rzeczywiście warto spróbować?

Zaczął rzecz przemyśliwać, zastanawiać się nad tym, kto mógłby taką wyprawę poprowadzić, w co wyposażyc karawanę, by mogła nią podróżować kobieta. Mówił o trasie, o buriackich przewodnikach, o jurtach, w których trzeba byłoby nocować, o ludziach, o największym tuwieńskim szamanie, Dopczunie-ooł Kara-ooł, o mocy owianej legendami. Ten świat był dla Luby tak groźny i jednocześnie mało rzeczywisty, że z trudem uświadamiała sobie jego istnienie, siedząc w swoim salonie odgrodzonym od niego ciężkimi kotarami, oświetlonym łagodnym światłem naftowej lampy.

Antoni tę wyprawę zorganizował. Sam stanął na jej czele. Lubow umierała ze strachu o męża i Zaryczkinę, ale po dwóch miesiącach oboje wrócili. Pani Lutomierska potem ze zdziwieniem obserwowała przyjaciółkę. Przyszła sroga syberyjska zima, potem wiosenne roztopy, a stan Niny powoli, ale stale się poprawiał. Nie skarżyła się już tak ciągle na zmęczenie. Usta nie były spieczone gorączką, a napady kaszlu pojawiały się coraz rzadziej. Zaryczkina nie chciała opowiadać o tym, jak wyglądał obrzęd jej leczenia, ale pokazała przyjaciółce tajemniczy płyn, nastojkę¹⁰, rzecz znaną w całej Rosji, bo tam zalewano spirytusem najróżniejsze rzeczy. Wiele z nich rzeczywiście miało lecznicze walory i o tym Lubow doskonale wiedziała. Ale tu nie mogła wywąchać żadnego składnika. Nastojka śmierdziała paskudnym bimbrem i niczym więcej.

¹⁰ Nalewka, wyciąg spirytusowy.

– Co to?

– Lekarstwo na gruźlicę. Zażywam łyżeczkę dziennie i pomaga.

– Ciekawe. Z czego to?

– Mól woskowy. Malutka ćma, która żywi się woskiem. Z czerwoną główką¹¹. Tyle wiem.

¹¹ Informacje zaczerpnięte z książki Jacka Hugo-Badera, *Szamańska choroba*, Warszawa 2020.

– Zdziwiająca – mruknęła pod nosem Luba i jednocześnie gwałtownie zamarzyła, by wybrać się do tego szamana po nauki.

Lekarstwo na gruźlicę! Świat musi się o nim dowiedzieć! Nastawiła się na wiercenie dziury w brzuchu Antoniemu, ale wcale nie trzeba było wiele

wiercić. Szansa zdobycia leku dla Gustawa zrobiła swoje. A poza tym Antoś ciągle jeszcze nic nie powiedział Lubie o tym, że jest już wolnym człowiekiem. Nadal bił się z myślami i nie potrafił podjąć decyzji: wracać czy zostać? W związku z planami żony zyskiwał trochę czasu na podjęcie tego postanowienia.

Rozdział 12

W Zakopanem za oknem Kaścynej chałupy, tym, w które patrzyła Anastazja zaraz po przebudzeniu, stała nie tak znowu daleko góra wielka jak garb olbrzyma. U stóp obrośnięta świerkowym borem, wyżej nie straszyla nagimi skałami, przepaściami, ośnieżonymi turniami, tylko wabiła łagodnym stokiem porośniętym łąką. Pasły się tam owce, jakby kto drobne pomponiki rozrzucił po zieloności. Wiodła na nią ścieżka, która ginęła najpierw w gęstym lesie, a potem znowu pojawiała się wśród hal. Wystarczyło pójść nią kawałek, a potem wspiąć się po łagodnym zboczu, by znaleźć się na szczycie. Tak się zamarzyło Nastusi, by sięść na samym wierzchołku i popatrzeć wokół. Bo stamtąd pewnie widać cały świat.

– Byliście tam? – spytała Kaśki, kiedy obie z matką usiadły do porannej kawy na przyzbie przed chatą. Gaździna szybko nauczyła się ją parzyć i podawać z zapieczoną śmietanką. A raz poczęstowana tym smakołykiem przy okazji robiła też taką sobie.

– Abo to raz? – Zaśmiała się góralka. – Tam Jędrrek juhasi na Byrcynowej hali, to i skoczyć tam trza niraz po oscypka, żentycę.

– A wzięlibyście mnie kiedy ze sobą?

– Ba! Chocia dziś! – odpowiedziała Kaśka, popatrując w stronę Kasprowego. A tam nad wierchuszkiem przewalał się mały, różowawy od wczesnego słoneczka obłoczek, a potem porwał się na strzępki, wiatr go rozgonił po błękitnym niebie. – Pewnikiem jeszcze nie będzie dujawicy.

– Jak iść, to iść! – zdecydowała Nastusia, a pani Zofia obiecała, że spojrzy na dzieci. Miała zamiar przeczytać książkę Seweryna Goszczyńskiego *Dziennik podróży do Tatrów*. To dzieło przysłał jej ostatnio Antoś razem z następnym specyfikiem, którym na Syberii leczono gruźlicę. Tym razem jego Lubow była przekonana o jego skuteczności. *Dziennik* wydany był w Petersburgu w wydawnictwie Bolesława Maurycego Wolffa. Ten fakt przygnębiał panią Zofię, bo po raz nie wiadomo który uświadamiał, że polski żywioł rozpraszał się w bezkresach imperium rosyjskiego, rozwadniał, płynął strumyczkami to tu, to tam i nie było instytucji, która by go w jeden nurt zebrała. Jej Antoś też był tego przykładem. Pani Zofia po trochu traciła wiarę w to, że on kiedykolwiek wróci do domu. Choć ładnie z jego strony, że pamięta o bracie. A lekarstwo jeszcze dziś wieczorem pani Zofia zanieśie Guciowi. Od przybytku głowa

nie boli. Ale o tym pomyślało jej się tylko przez chwileczkę, bo już Kaśka się zakręciła, wielką chustą owinęła ramiona i na odchodnym tylko rzuciła w stronę pani Gosztowiczowej:

– Dzieckom nic nie bydzie! Przykazane majom, coby chałupy strzegli. Ostońcie z Bogiem!

Poszły. Słońce niby świeciło, ale od gór szedł chłodny powiew. Otulały się, Kaśka kwiciastą chustą, a Nastusia pięknym, kaszmirowym szalem. Najpierw co rusz spotykały furki zwożące zboże z pól. Przystawały więc co chwila, by zamienić parę słów z gazdami, ale potem weszły w las. Nastusia rozglądała się zdziwiona, bo ani równać się było mazowieckim sosnowym zagajniczkom z tym, co tu widziała. Świerki pod niebo, gęste i potężne, rzucały cień na ścieżkę, przez który słońce nie mogło się przebić. Dróżka zrobiła się kamienista i coraz bardziej stroma. Gdzieś tam obok mijały potok rozbryzgujący się na skalnych głazach. Choć od tego cienia i leśnej wilgoci powietrze tu było rześkie i niemal zimne, to ruch najpierw Anastazję rozgrzał, a potem coraz bardziej męczył. Kaśka szła przodem lekko, sprawnie. Nogi obute w skórzane kierzki stawiała pewnie na kamieniach, zgrabnie przeskakiwała z głazu na głaz, jakby to drapanie się pod górę było dla niej dziecięcą igraszka. Nastusia szła za nią krokiem jeszcze energicznym, resztką sił starając się nie pokazać, jak wiele ją to kosztuje. Już nie podziwiała rozbuchanej wokół natury cała skupiona na tym, by wybrać jak najlżejszą drogę. Co chwila wyciągała schowaną w rękawie bluzki chusteczkę i ocierała pot z czoła. Cień tu był, więc zdjęła kapelusz i szła z gołą głową jak chłopka. To, co z dala wydawało się dziewczynie łagodną ścieżyną, z bliska już takie sielskie nie było. Przynajmniej dla niej.

Kiedy wyszły na hale, droga wydała się Nastusi jeszcze cięższa, ale panna Lutomierska pięła się bez słowa, coraz głośniejszym dysząc.

– Spoczniem – zdecydowała Kaśka.

Może usłyszała sapanie towarzyszki? Położyła się na trawie z szeroko rozłożonymi rękoma. Podobna swoboda nie mieściła się Nastusi w głowie, ale co tam! Poszła w jej ślady. Niebo zachwyciło ją swoim ogromem. Błękitne. Bezkresne. Popstrzone białymi chmurkami jak górskie łąki owcami. Gdzieś wysoko, wysoko szybował jakiś duży ptak.

– Widzicie? – spytała Kaśkę, wyciągając w jego kierunku ramię.

– Oreł – odpowiedziała, przesłaniając sobie oczy ręką. – Dobrze, co nie smok!

– A to w waszych górach są smoki?

– Godojo, że jak jakiegosik gada cłek nie obacy siedem lat, to taki przemienia się w smoka, co ma siedem głów i skrzydła. Dusi taki smok owiecki na halach i juhasem tyz nie pogardzi.

– Bajki! – Zaśmiała się Nastusia.

– Ba! – odpowiedziała jej Kaśka, też się śmiejąc. Wstała, otrzepała spódnice z trawy. Nie było rady, trzeba iść dalej.

Kiedy doszły na szczyt, pod Anastazją trzęsły się nogi ze zmęczenia. Klapnęła na ziemię, obejmując zgięte kolana ramionami, i zdyszana rozglądała się wokół. Warto było! Cisza tu panowała taka, że w uszach dzwoniło. Przez przejrzyste, krystalicznie czyste powietrze świat widniał wyraźny tak, że szare turnie wydawały się stać tuż niedaleko, choć Nastusia wiedziała, że i dnia by jej nie starczyło, by do nich dojść. Śnieg iskrzył się po kotlinach. Pachniało od łąk, od lasów, od tego śniegu. Piętrzyły się te góry, biły w niebo skały. Rozpoznawała niektóre szczyty. Przed nią jak wielki śpiący olbrzym leżał Giewont, a kiedy popatrzeć trochę gdzie indziej, to widać Kasprowy. Tylko te wierzchołki dziewczyna rozpoznawała, a przecież było ich a było!

Tam w dole nad lasem unosiły się bure kłęby dymu. To pewnie te Hamry, o których opowiadał Gustaw. Huty ciągle dymiły, choć głośno już było w Zakopanem, że będą je zamykać, bo tutejsze złoża rudy są na wyczerpaniu. I dobrze – myślała Nastusia – bo palono w tych hutach węglem drzewnym i to zdało się jej barbarzyństwem. Żal było dziewczynie lasów, które rozkładały się poniżej. A pod nimi ciągnęła się we wszystkie strony rzadko zabudowana wieś. Zakopane. Pięknie tu było tak, że chciało się uklęknąć i dziękować Bogu za te cuda. Tu bliżej było do Niego niż podczas mszy w kościele.

Anastazja nie wiedziała, jak długo tak siedziała zapatrzona w tatrzański krajobraz, kiedy z zamyślenia wyrwały ją głosy. Jeden należał do Kaśki, drugi, męski, choć z góralskim zaśpiewem, zwracał uwagę delikatnością, spokojem, rozwagą. Odwróciła się zaciekawiona. Od baczki przycupniętej po drugiej stronie zбочa jej gospodyni szła z roslým młodym górale. Wiatr bawił się jego długimi, ciemnymi włosami widocznymi spod kapelusza z rondkiem ozdobionego białym orlim piórem.

Nie były wysmarowane tłuszczem, jak to mieli w zwyczaju inni. Pod narzuconą na ramiona cuchną bielącą koszula. Schludność biła od niego. I trochę dziwiła, bo na biednym Podhalu była niemal luksusem. Towarzysz Kaśki zaciekał Nastusią, więc się mu przyjrzała, kiedy oboje stanęli w pewnym oddaleniu i o czymś jeszcze rozmawiali. Był przystojny. Ostre rysy, ciemne oczy pod wyraźnym łukiem brwi, pociągłe policzki i orli nos – to wszystko nadawało twarzy tego człowieka wyraz myślący, a jednocześnie zdecydowany, śmiały. W pewnej chwili przyszło jej do głowy, że to człowiek fascynujący i aż się sama na tę myśl obruszyła. Prosty chłop? Fascynujący? Niepodobna! Choć przecucie czegoś groźnego, ale jednocześnie zniewalającego ogarnęło ją całą. Tymczasem tamta dwójka już przestała rozmawiać, Kaśka odwróciła się od towarzysza i ruszyła do Anastazji. Góral popatrzył chwilę za nią, a potem skierował wzrok na Nastusią, zdjął kapelusz i ukłonił jej się tak, jakby witali się na Marszałkowskiej w Warszawie, a on na głowie nosił cylinder.

– Kto to jest? – spytała Kaśkę, kiedy ta tylko się do niej zbliżyła.

– Jędrus – odpowiedziała i z wielkiego kosza wyciągnęła mały nieuwendzony jeszcze serek. – Spróbujcie.

Chramiaczka zajęta serem nic więcej nie powiedziała o tym góralu, a Nastusia nie odważyła się zapytać. Ale jego twarz stała jej przed oczyma, kiedy wieczorem położyła się do łóżka.

*

Tymczasem w domu doktora Zarębskiego w Serocku nie mogła zasnąć także siostra Anastazji. Na dodatek też sen jej z oczu spędzał mężczyzna. Jej własny mąż. Bo jakże to będzie, myślała Bogusia, kiedy zamienią się z Agatą miejscami? Ja znajdę się w jej świecie, a ona zacznie się kręcić po moim domu, koło Jasia? Jachniczek, nieświadom tego, że ja to nie ja, może... Ach, lepiej nie myśleć, co może jej małżonek z kimś, kto niby będzie nią, ale jednak nie będzie! To straszne! Zazdrość i wyobraźnia podsuwały jej przed oczy takie obrazy, o których przyzwoitej kobiecie ani myśleć, ani tym bardziej mówić nie wypadało, ale jakie się w ich małżeńskim życiu przydarzały, zresztą ku uciesze obojga. Teraz miałyby się w to wszystko wtrącić ktoś obcy? No, tego pani doktorowa ścierpieć nie mogła! Należało natychmiast coś wymyślić!

Kręciła się Bogusia w łóżku niespokojnie, ale delikatnie i dyskretnie, aby nie obudzić męża, lecz coś ją tak w środku dźgało, taką obręczą ścisnęło piersi, że uleżeć spokojnie nie mogła i co chwila musiała westchnąć głęboko, aż wreszcie poczuła, że dłużej nie wytrzyma, że ma wewnątrz wulkan, który już, już grozi wybuchem. Wysunęła się więc spod kołdry wolniutko i po cichutku, włożyła stopy w ranne pantofelki ozdobione puszkami, naciągnęła peniuar i poszła do kuchni. Pod blachą wygasło, ale ciepło jeszcze rozchodziło się wokół nagrzanego pieca, i dobrze, bo sierpniowe noce były chłodne. Nie chciało jej się rozpalać ognia, więc nie mogła sobie zrobić uspokajającego naparu z dziurawca. Zajrzała do spiżarni, a tam stał rząd butelek. Augusta, jej kucharka i pomocnica, zrobiła kilka dni temu podpiwek. Teraz już powinien być dobry. Wyciągnęła jedną z flaszeczek i nalała sobie szklankę. Uwielbiała ten słodko-gorzki smak z orzeźwiającą nutą. Zaczęła się zastanawiać. Trzeba zostawić Jachniczkiowi jakiś znak, po którym będzie mógł poznać, że ona to ona, że można wrócić do dawnego trybu ich stosunków, bo bez tego znaku byłyby one surowo zakazane. Tylko musi być to coś, co on na pewno zauważy, coś wyrazistego, nieprawdopodobnego i tą nieprawdopodobnością zaskakującego. Czyli?

Zaczęła robić przegląd swoich zwykłych zachowań, nawyków, smaków, ale wszystko wydało jej się tak łatwe do przeoczenia, że odpadały jedno po drugim gesty, słowa. Sama nie wiedziała, kiedy opróżniła butelkę podpiwka i poczłapała do spiżarni po drugą. Tak, Augusta miała mnóstwo wad, ale podpiwek robiła wyborny. Zresztą w ogóle była świetną gospodynią. Pochodziła ze znakomitego, jak twierdziła, rodu Białoleckich z Tarchomina, tylko że sama żadnego majątku nie posiadała. Duma jej nie pozwalała na życie na łaskawym chlebie u krewniaków, więc zarabiała sobie na ten chleb, zaznaczając jednakowoż, że oprócz gaży wymaga także szacunku. Augusta miała już swoje lata, ale energią i temperamentem mogła w kozi róg zapędzić niejednego młodzieniaszka. Tak szczerze mówiąc, Bogusia trochę się jej bała, ale z drugiej strony za nic w świecie nie zamieniłaby jej na inną gospodynię. Panna Białolecka zawsze o wszystkim pamiętała, umiała tak zorganizować pracę, że każda rzecz była wykonana na czas. Dbała o Jachniczka i samą Bogusię z wymagającą mądrością. Kręciła się po kuchni z takim animuszem, że spódnica pod

nieskazitelnie białym fartuchem furczała, a wielki grzebień, który miał utrzymać w ryzach rzadkie, siwe już włosy, połyskiwał masą szylkretową.

Dlatego teraz pani doktorowa popijała podpiwek z pewnym dyskomfortem, bo wiedziała, że rzecz nie ujdzie uwagi groźnej Augusty i trzeba się będzie z tego jakoś wytłumaczyć. Biedna Bogusia poczuła się osaczona przez problemy.

– Ale i tak, co by nie było, trzeba Guciowi pomóc – westchnęła głośno.

– Ach, to ci spać nie daje. – Usłyszała za sobą głos męża tak nagle, że aż wzdrygnęła się przestraszona i w tym samym momencie wpadła na pomysł, co mogłoby być tym znakiem, którego jej Jasiek na pewno nie przeoczy.

– No, nie daje – przyznała się, ogarniając czułym wzrokiem tego, którego nazywała mężczyzną swojego życia. – Pyszny ten podpiwek! Napijesz się?

Był z lekka zaspany, potargane krótkie włosy sterczały mu rozczulającym kogucikiem na czubku głowy, a oczy patrzyły z serdecznym uśmiechem.

– Nie boisz się, co na takie nocne szperanie po spiżarni powie Augusta?

– Jutro o tym pomyślę – odpowiedziała doktorowa i podreptała znowu do spiżarni. A kiedy wróciła, zaczęła jedną z najgłupszych rozmów w swoim życiu.

– Janeczku, obiecaj mi coś... – Nie było wyjścia, trzeba było jakoś zabezpieczyć rodzinne szczęście przed Agatą. Nalała mu do szklaneczki podpiwka, podeszła do niego, przyglądała tego sterczącego kogucika i usiadła mu na kolanach.

– Wszystko, czego sobie moje kochanie życzy – odpowiedział doktor, któremu przyszło na myśl, że ta rozmowa może się bardzo przyjemnie skończyć, co prawda raczej nie w kuchni.

Bogusia wstała, przystawiła sobie krzesło do ściany, na której wisiał mały krucyfiks, wspięła się na nie i zdjęła krzyż.

– Przysięgnij – zażądała z nagle spoważniałą miną.

– Co chodzi po tej główce? – Doktor najchętniej by osłupiał ze zdziwienia, bo to zwalniałoby go z reakcji na dziwaczne żądania jego rozkosznej, leciutko zwariowanej, lecz zwykle rozsądnej żony.

– Przysięgnij – powtórzyła swoje Bogusia, dla większego efektu klękając przed mężem i jednocześnie zastanawiając się, czy zdoła wymyślić jakieś logiczne wytłumaczenie tej sytuacji. No bo przecież nie mogła mu opowiadać o podróżach w czasie.

Jachniczek przyglądał jej się chwilę bacznie, ale zaraz wybuchnął śmiechem.

– Co tam kombinuje moja żonka?

Bogusia szybko się zorientowała, że może przez żart prowadzi droga do skłonienia Janka do posłuszeństwa. Wstała więc, teatralnym gestem otrzepała kolana, uśmiechnęła się najbardziej psotnie i zalotnie, jak tylko potrafiła, i całując męża w oczy, powtórzyła po raz trzeci:

– Przysięgnij!

– Po raz pierwszy, drugi, trzeci! Na wezwanie takie dzielne, powtórzone po trzy razy, nawet duchy nieśmiertelne... Co tam dalej było...? Otóż jestem! Otóż stoję! – Jasiek przypomniał sobie, że całkiem niedawno czytali razem strasznie śmieszną komedię Fredry¹². – Przysięgam. Ale co?

¹² Aleksander Fredro, *Śluby panińskie*, Wrocław 1983.

– Obiecuj mi, że nie dotkniesz mnie nawet malutkim palcem, dopóki nie powiem o naszej Auguście per Gucia!

Ręka błądząca po plecach pani doktorowej i kontemplująca urocze wklęśnięcie talii i krągłość bioder nagle opadła, a jej właściciel się zakrztusił.

– O Auguście Gucia?! – To nie mieściło się nie tylko w głowie i domowych zwyczajach, ale także w pewnej stylistyce życia! Zdrobnienie Gucia pasowało do Augusty jak pięść do nosa i kwiatek do kozucha razem wzięci! Niestosowność czegoś takiego biła po oczach! Majestat i surowość Augusty absolutnie wykluczały takie spoufalanie się!

– O Auguście?

– Kochanie, nie pytaj. – Pani doktorowa znowu znalazła się na kolanach męża i bardzo starała się, by przestał już o tym myśleć. – Ale pamiętaj!

Rzecz była tak niezwykła, że Bogusia naprawdę musiała użyć wielu sekretnych małżeńskich sposobów, by odwrócić uwagę męża od dręczących go wątpliwości. Aż wreszcie jej się udało.

– Mhm – odparł na te zabiegi doktor Zarębski, dochodząc do wniosku, że najwyższy czas, by udać miejsce pobytu. W tej fazie wieczoru łóżko wydało mu się znacznie bardziej odpowiednie.

Wziął więc żonę na ręce i zaniósł ją do sypialni. Całowała go, chichocząc bardzo seksownie. Na ugruntowanie w mężu przekonania, że swoją przysięgę powinien traktować poważnie, przyjdzie czas później.

Rozdział 13

Najważniejszą drogę w Zakopanem zwano Kościeliską bardzo słusznie, bo wiodła ona do doliny o tej samej nazwie. Stał tu drewniany kościół, a zaraz obok znajdowały się szkółka i niewielki cmentarz położony nad stromym brzegiem potoku. Nazywano go cmentarzem na Pęksowym Brzyzku, bo założony został na kawałku błonia ofiarowanego na te cele przez Jana Pęksę kilkadziesiąt lat temu. Gustaw opowiadał o tym pani Zofii, kiedy wybrali się na pierwszy spacer po Zakopanem.

Przyszedł po nią do Kaścynej chałupy na Krupówkach i wcale nie chciał siadać na ganku ani pić żentycy, ani nawet kawy, choć Kaśka tak bardzo zachęcała. Zdrowie, które od niej biło, jej siła były dla niego pociągające, ale wzbudzały zazdrość. Dlaczego ja? – ta myśl prześladowała go w towarzystwie Kaśki jakoś częściej. Bo takie miał ciągotki, by tę kobietę jędrną jak rzepa przewiesić sobie przez ramię i zanieść do jakiejś stodoły na siano, ale zaraz po tym przychodziła refleksja, że co on cherlak może, że niechby spróbował tylko, to przecież zakaszlałby się na amen i najpewniej dostał krwotoku. To zestawienie jej mocy, witalnej siły z nim, mizerakiem sprawiało mu przykrość. Dlatego sam nie wiedział, czy lubił Kaśkę, czy nie, ale myślał o niej. Teraz kiedy tak chodziła koło nich, w oczy mu zaglądała, a dopytywała się: „Kaj idziecie?”, Gustawowi robiło się ciepło na sercu.

– Przydźcie na wieczerzę. Gruli z bryndzom nagotujek – zapraszała.

– Przyjdziemy – zgodził się łaskawie i sprawiło mu radość, kiedy zobaczył, jak rozjaśniła się jej twarz.

– Podobasz się Kaśce – stwierdziła pani Zofia, kiedy już skręcili z Krupówek w Kościeliską i dochodzili do cmentarza. – To prosta kobieta, ze swoimi uczuciami schować się nie potrafi.

– Nie mam prawa żadnej kobiecie głowy zawracać. – Westchnął ponuro, a od tego westchnienia pani Zofii krajało się serce. – A że prosta? Tu się inaczej żyje. Jakoś bliżej siebie. Łatwiej jest docenić człowieka, kiedy ten nie zasłania się konwenansami.

– Ładnie to powiedziałaś – rzekła, myśląc jednocześnie, że przecież powinna się cieszyć, bo jej syna spotyka jeszcze coś, co może mu sprawić przyjemność. Możliwe, że tak niewiele mu zostało...

Ulica Kościeliska wyglądała znacznie zasobniej niż biedne Krupówki. W okolicach kościoła stały nawet pierwsze piętrowe domy z pokojami do wynajęcia. Dziwował się im ciągle lud zakopiański, mawiając, że to dom na domu postawiony, ale też doceniał spryt pierwszego budowniczego, Józka Krzeptowskiego, bo zjeżdżali do tego dziwnego domu letnicy i zostawiali coraz więcej dutków. Więc podpatrywali i sami zamiarowali też takie stawiać.

Gustaw wynajmował pokoje u organisty, którego dom stał w cieniu wielkich drzew. Drzwi wejściowe prowadziły do przestronnej sieni, gdzie na ustawionych po bokach ławach leżały gospodarskie sprzęty, a na ścianie wisiała okazała brona. Przez sień na przestrzał można było wyjść na podwórko po drugiej stronie chałupy. Ogrodzone ono było od świata obszerną stodołą, chlewami, oborami, stajniami, owczarniami. To była niedogodność skutkująca latem zalatującymi gospodarskimi zapachami i rojami much. Mimo tych uciążliwości i tak jeszcze trudno było wynająć w Zakopanem coś lepszego, choć powstające nowe zabudowania zapowiadały, że to się może wkrótce zmienić. A poza tym Gustaw już się do tych smrodków przyzwyczał.

Z sieni jedne drzwi prowadziły do mieszkania organisty, a drugie do dwóch pokojów, w których mieszkał pan Lutomierski. Tak jak we wszystkich góralskich chatach wchodziło się do nich przez wysoki próg drzwiami tak niskimi, że nawet pani Zofia musiała się schylić. W rogu pierwszej izby stał wysoki pod powałę piec wymurowany z polnych kamieni. Salonik i sypialnia umeblowane były bardzo prosto i różniły się od chłopskich izb tylko tym, że na ścianach nie nawieszano świętych obrazków malowanych na szkle, ale na wysoko umieszczonych półkach stały wypchane ptaki: orły, głuszce, kuropatwy.

– Tak żyjesz... – Westchnęła pani Zofia, rozejrzawszy się po kątach.

Nie bardzo wiedziała, o czym ma rozmawiać z tak dawno niewidzianym synem. Jedyna rzecz, która teraz zajmowała jej myśli, to była sprawa cudownego lekarstwa, które starały się dla Gustawa zdobyć Zośka i Agata. Być może im się uda, ale czy dadzą radę oszukać jakoś czas i dostarczyć je tutaj? O tym jednak nie mogła rozmawiać z synem. Mniejsza, co pomyślałby o jej zdrowych zmysłach, ale nie chciała rozniecać w nim nadziei, która może być złudna. Usiadła na ławie za stołem i zamilkła.

Gustaw tymczasem krzątał się nerwowo. Kazał podać herbatę i zaraz jakieś niedorośle dziewczę, córka organisty, przyniosła tacę z filiżankami i dzbankiem pełnym gorącego napoju. Napełnił czarki i usiadł naprzeciwko matki.

– Jeszcze żyję.

– Niezbadane są wyroki boskie, śmierć może nie przyjdzie po ciebie zbyt szybko – odpowiedziała, zastanawiając się, jak go podnieść na duchu, dać jednak trochę nadziei. Bo on tego bardzo potrzebował. Widziała to.

– Słuchać już tego nie mogę! – Jej słowa wzburzyły go, zamiast uspokoić. – Chcę żyć! Nie potrafię się tak biernie poddać boskim wyrokom! Są okrutne! Jak można pokazać człowiekowi, czym może być życie, ile piękna, miłości, cierpienia, nudy i ekscytacji może nieść, a potem powiedzieć: to nie dla ciebie! Gdyby ten Bóg zabrał mnie, kiedy byłem nic nierozumiejącym dzieckiem, pewnie bym tak nie cierpiał. Ale tu... sama zobacz! Ile piękna! Góry, w które już ciebie nie poprowadzę, bo nie mam sił! Lot orła! Zgrzytliwa góralska muzyka! Smak dobrze uwędzonego oscypka! Wreszcie ta Kaśka! Przecież ja mógłbym być szczęśliwy!

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Snuć teraz rozważania o życiu wiecznym? O zbawieniu? O tym, że Bóg ma w tym jakiś swój cel, by powołać go do siebie tak wcześnie? Bo o tym, że być może uda się sprowadzić lekarstwo przez barierę czasu, nie miało sensu. On odebrałby to jako kpinę.

– Ciii. – Wstała, objęła go ramionami i jak wtedy, gdy był jeszcze dzieckiem, próbowała kołysaniem ukoić jego ból.

– Mówią, że śmierć jest jeszcze jednym krokiem głębiej w spokój i ciszę, ale ja się tego spokoju obawiam, tej ciszy nie chcę. Boję się nocy. – Wtulił się w załamanie jej ramienia i cicho płakał.

– Nikt nie wie, co jest po drugiej stronie. Może tam czeka cię większe piękno?

– Tego piękna mi wystarczy, którego tu tylko popróbowiałem! Tego jeszcze nie zaznałem do syta!

Nic nie miała do powiedzenia, przyciskała go do siebie coraz mocniej i gładziła po włosach. Ją samą także rozdzierał wewnętrzny szloch, ale nie pozwoliła sobie na to. Ciche łzy płynęły jej po policzkach.

Długo tak siedzieli, długo płakali, aż ten nadmiar goryczy spłynął im łzami. Uspokoiли się trochę, choć poczucie nieszczęścia ciążyło im na

ramionach tak mocno, że nie stać ich było na żaden żywszy ruch. Zebrali się jednak i poszli z powrotem na Krupówki, bo tam z obiadem czekała Kaśka.

Idąc ścieżką między młakami, przeskakując z kamienia na kamień, Gustaw odczuł zawstydzającą ulgę, że kończyło się dla niego kłopotliwe sam na sam z matką. Niegodnie czuł się z tą myślą, bo przecież wiedział, jak ciężka dla niej jest jego choroba, jak cierpi z tego powodu, ale nie potrafił nic poradzić na to, że w jej obecności czuł się rozmamłany jak pięcioletni smarkacz z gilem u nosa. Gdzieś nikła jego męska twardość, która pomagała mu zachować godność w chorobie. Pokonać ból i nadać ruchom sprawności i elegancji, ukryć kompromitujący strach. Teraz, idąc koło niej, miał niemal pretensje, że pozwoliła mu się tak rozmazgać, przyznać do słabości. A może to była też pretensja odwrotna, że choć rozmazał się i ucierpiała przez to jego męska duma, to nie wyznał wszystkiego do ostatka, do dna i dlatego ta chwila z matką nie była satysfakcjonująca.

Wielu rzeczy nie potrafił jej powiedzieć. Nie mówił o tym, że często masochistycznie wyobraża sobie swoją śmierć. Czasem jest to wizja wręcz trująco piękna, kiedy się snuje wyobrażenia, w których on, czy tylko jego duch, jak mgła rozpościera się po górach i dolinach. Opada z delikatnym wietrzykiem na Morskie Oko, otula Dolinę Pięciu Stawów ciepłym powiewem. Jakimś dziwnym cudem wnika w skały, kulą myśli turla się po piargach, wsiąka w zieleń kosodrzewiny, zakwita gdzieś skromną szarotką. Jednym słowem, śmierć była w tym marzeniu Gustawa sposobem na transformację w piękno, któremu uległ od pierwszego wejrzenia. Już je przeczuł w warszawskim gabinecie doktora Chałubińskiego, kiedy pojechał tam z matką i gdy z ust, które mylić się nie mogły, głośno padło słowo gruźlica. To za namową tego lekarza Gustaw znalazł się w Zakopanem i przeżył tutaj największe zachwycenie swojego życia. Może pogodziłby się pod wpływem tych uczuć ze śmiercią całkowicie, gdyby nie to, że ten zachwyt ostateczny, wszechobjmujący i dlatego śmiertelny zaczął ni stąd, ni zowąd obejmować także Kaśkę, która jednak nie chciała trwać w tym obrazie nieruchomo, nie dała się tak biernie oplątywać pasmami nostalgii, tylko wyrywała się do życia i siała to pragnienie też w Gustawie. A to bolało, nie chciało się godzić z perspektywą, którą niosła mu choroba.

Dlatego równie często nawiedzała Gustawa inna wersja śmierci. Kiedy przechodził koło cmentarza na Brzysku, a przechodzić tamtędy musiał często, bo wiodła tam droga od organistówki w świat, odwracał wzrok. Ale wieczorem, kiedy przykręcał knot w lampie aż do jej całkowitego zgaszenia, czynność ta nieodmiennie przywoływała myśl o umieraniu i obraz cmentarzyka, na którym pewnie już niedługo złożą to, co z niego zostanie. Oczyma wyobraźni widział, jak przywalone głazem jego ciało, a może on sam, wypęła z grobu, jak podtrzymując się krzyża, próbuje wstać, ale nieugięta konieczność i porządek tego świata wsysają go z powrotem, a on z ustami otwartymi w bezgłośnym krzyku niknie w krainie, gdzie piach zasypie mu oczy, a robactwo rzuci się zachłannie na jego zwłoki. Kiedy o tym myślał, krzyczeć mu się chciało ze zgrozy. Ale o tym jakoś nie potrafił porozmawiać z matką i to go bolało najbardziej.

Kiedy weszli do Kaścyniej chałupy, ogarnął ich wspaniały zapach pieczonych na ognisku ziemniaków. Marysia i Jasiak, dzieciaki gospodyni, siedzieli grzecznie na ławie w czarnej izbie i z nabożeństwem wpatrywali się w popielnik pieca, z którego Kaśka wygrzebywała upieczone grule.

– Ino mątu mi tu nijakiego nie robić – przykazywała im, szykując potrawę. – Wy też dostanieta.

Szybciutko rozkładała miękkie kartofle, nakładała na ich połówki czubate czapeczki nadzienia, układała w rynce i wstawiała do sabaśnika¹³. Niech się jeszcze podpieką, a sama wyszła do gości.

¹³ Grule z bryndzą można zrobić tak: upiec ziemniaki w łupinkach do miękkości, potem ściąć im górną część i wyskrobać z niej miękki ziemniak do miski, dodać do niej tyle samo bryndzy, trochę śmietany dla odpowiedniej konsystencji i doprawić solą i pieprzem. Nałożyć to nadzienie na ziemniaki, posypać z wierzchu tartym oscypkiem i jeszcze trochę podpiec.

Piękna była Kaśka. Spódnica na niej z granatowego tybetu¹⁴, fałdzista, rozłożona na wykrochmalonych na sztywno halkach. Koszula bieluteńka z szerokim kołnierzem tak misternie haftowanym, że pani Zofia oczu od niego nie mogła oderwać i w tych krótkich chwilach, kiedy nie myślała o Gustawie, postanawiała koniecznie wziąć od Kaśki wzór tego haftu. Gorsecik w kolorze spódnicy sznurowany był szeroką, złotawą wstążką i wyszywany w osty i szarotki. Włosów nie zakryła Kaśka żadną szmatką¹⁵, tylko zaczesła w dwa grube warkocze, które spływały jej po plecach. Niesforne kosmyki spadały jej raz na jedno oko, raz na drugie, a Kaśka odganiała je energicznym dmuchnięciem. Zarumieniona była od

stania przy ogniu i kiedy Gustaw zajrzał do niej, do czarnej izby, podstawiała właśnie jedzenie dzieciakom i tarnosiła ich ciemne czupryniki czule i z uśmiechem. Ta scena zachwyciła Gustawa nie mniej niż niebosiężne szczyty Tatr. Nie miała w sobie nic z ich majestatu, lecz niosła tę samą potęgę – życie, miłość, serdeczną troskę – i to znowu rozkleiło chłopaka tak, że poczuł szczypanie pod powiekami.

[14](#) Tkanina wełniana.

[15](#) Tak na Podhalu nazywano kiedyś chustki.

– Jesteśmy – zawołał dziarsko, by odgonić te kompromitujące łzy.

Kaśka, pochylona do tej pory nad dzieciakami, wyprostowała się i spojrzała na Gustawa z tak jawnym zachwytem, że zarumienił się z lekka, a serce zabiło mu wdzięcznością. Kobieta nie potrafiła ukryć radości, że ktoś takie piękne słowa gadający, tyle niezwykłych myśli wnoszący do jej prostej chałupy, do izby z okopconymi sadzą ścianami, do jej zwykłego życia przyszedł tu znowu i chce tę niezwykłość nieść. Taka była tym przejęta, że zapomniała języka w gębie i stała w milczeniu.

– A gdzie się Kasia wybiera tak ślicznie ubrana? – zapytał.

– Nika nie ide. Może do kościoła. Potem. – Stropiła się, bo jakże się miała przyznać, że zrobiła to tylko dla niego. – Siednijcie se na ganku, zara jodło przyniesie.

Siedzieli potem długo na ganeczku, jedli i rozmawiali. Pani Zofia wreszcie poprosiła o wzór haftu z Kaścynego kołnierza, a dziewczyna wyrysowała go na kartce. Anastazja, która wróciła ze swoich wędrówek po okolicy z wilczym apetytem, nie mogła się nadziwić, jak proste jedzenie może tak wyśmienicie smakować.

Tymczasem za górami, po południowej stronie gromadziły się chmury. Kotłowały się one ciężkim wałem, czekając na silny, ciepły podmuch. Ale na razie wiatr się lenił, cienkimi pasemkami przeganiał sterczące kędziorki obłoków ponad szczytami, jakby cesał je zgrzebłem. Zbierał się dopiero w sobie, ale już coraz bardziej czuł swoją moc.

Rozdział 14

Pani Zofia trzepotała wachlarzem, ale to nic nie dawało. Jakaś ciężka duchota zaległa nad całą doliną. Znieść tego nie można było nawet przy poluzowanym gorsecie. Wszystko ją drażniło. Poduszka tiurniury nie pozwalała swobodnie rozsiąść się na ławie, fiszbiny stanika sukni uwierały. Z trudem skupiała się na tym, co mówił doktor Gonczarski, choć powinno to ją bardzo obchodzić. Siedzieli wszyscy na ganku chałupy Chramiaczki i łupali orzechy. Skorupki wrzucali do niewielkiego koszyka stojącego na stole i od czasu do czasu Anastazja wołała Marysię albo Jaśka, by je zabrali i wrzucili w czarnej izbie do paleniska. Dzieciaki przysiadły na dwóch wielkich gładkach, które jakiś Herkules przytargał tu nie wiadomo skąd, by robiły za schodki, po których wchodziło się na ganek. Ciasno w nim było, bo oprócz pani Zofii, Anastazji i doktora Gonczarskiego przyszedł tu jeszcze Gustaw. To on sprowadził ze sobą tego interesującego gościa. Między czarną izbą a gankiem biegała ciągle Kaśka, donosząc a to świeżo udojonego mleka, a to placków z żurawiną i miodem, a to na życzenie swoich gości kawę. Gustaw wodził za nią wzrokiem, sam nie bardzo zdając sobie z tego sprawę. Za to aż nadto dokładnie widziała to pani Zofia, ciągle nie wiedząc, czy ma się z tego zauroczenia cieszyć, czy martwić. Choć co tam! Gustaw nie byłby pierwszym, który miałby do czynienia z chłopką!

Najbardziej uważnie słuchała Gonczarskiego Anastazja.

– To niesamowite! – emocjonowała się, kiedy doktor, stukając palcem w przyniesioną gazetę, relacjonował najnowsze doniesienia na temat leczenia gruźlicy.

– Niezwykle ciekawy jest artykuł doktora Stanisława Gałęckiego w tym najnowszym numerze „Gazety Lekarskiej”. – Chrup, chrup, chrup – zachręściły orzechy między potężnymi, jakby końskimi, zębami doktora. – Sam tytuł już wszystko mówi: „Inspekcja i palpacja klatki piersiowej w rozpoznawaniu gruźlicy płucnej”. To próba zajrzenia w głąb ludzkiego organizmu. Może niedoskonała, ale lepszego narzędzia niż wrażliwe lekarskie palce niestety jeszcze nie wymyślono. O, jakie to by było szczęście dla medycyny, gdyby znalazł się taki sposób, by można było utrwalić wewnątrz człowieka na jakimś dagerotypie, tak jak teraz fotograf potrafi schwytać za pomocą swojej maszynierii jego zewnątrz!

Doktor Gonczarski był człowiekiem impulsywnym, więc na samą myśl o tak wspaniałym wynalazku zarżał radośnie jak beztroski żrebak. Jego śmiech był zaraźliwy i zaraz śmiali się wszyscy, nawet Kaśka, choć nie miała pojęcia, na czym polega palpacja¹⁶. Co prawda pani Zofia także nie wiedziała, więc tylko energiczniej poruszyła wachlarzem. Doprawdy, duchota była niesamowita, a przecież już był wrzesień. Całe szczęście rozmowa zesła z tej krępującej panią Gosztowiczową palpacji na plany doktora i to już był temat bezpieczniejszy. Kupił on bowiem kawałek ziemi po drugiej stronie Bystrej przy drodze, jak się szło od Krupówek w stronę Chramcówki, i zamierzał tam postawić zakład wodoleczniczy. Właśnie wszyscy mieli zamiar wyrazić szczerzy zachwyt nad wspaniałością tego pomysłu, kiedy otwartymi na oścież drzwiami na ganek zakołysało i z rozmachem trzasło. Dzieciaki siedzące na zewnątrz na schodach ledwie zdążyły umknąć. Zerwał się wiatr.

¹⁶ Omacywanie, badanie dotykiem.

Kaśka wyszła przed dom, przesłoniła oczy i spojrzała w kierunku gór. Znad Giewontu szła bura, groźna masa chmur. Co rusz z kłębiącego się wału odrywał się ciemny obłok i poganiany wiatrem pędził na północ. Drugi podmuch wydał Kaścyną spódnicę i zafurgotał haftowanym kołnierzem koszuli.

– Stryk zza wirchu idzie – oznajmiła, kiedy pospiesznie schroniła się do ganku, zaganiając przy tym do domu dzieci.

– Ach, to ja się muszę pożegnać z przemiłym państwem, bo jak zacznie wiać, to i kilka dni tak potrafi! – Doktor Gonczarski sięgnął po stojącą w kącie laseczkę i leżący na policy pod powałą cylinder, solidnie obcałował ręce pań i pospiesznie wyszedł na drogę.

Wiatr dał mu w plecy, rozwiewając poły surduta i próbując strącić z głowy kapelusz. Doktor musiał go podtrzymywać obiema rękami. Gonczarski już znikł między drzewami rosnącymi przy ścieżce prowadzącej nad Bystrą, kiedy od Nawsia usłyszeli tarabanienie w bęben.

– Ogień gasić! Ogień gasić! – darł się jakiś długowłosy chłopak, waląc w kubek obciążony skórą. Wicher prał go od tyłu, włosy zarzucał na twarz, poganiał, szarpiąc za cuche. – Ogień gasić! Ogień gasić!

Wiatr rozganiał głos bębniarza, roznosił, potem zadał jeszcze mocniej i tylko odgłosy bębna z rzadka dochodziły aż z Kościeliska.

– To i mnie trzeba iść. – Zebrał się Gustaw.

– Kaj pódziecie? Duje! Tu wam spanie narychtujek! – zarządziła Kaśka.

Rzeczywiście przez polanę najpierw halny przegonił tuman kurzu i siana porwany z czyjejś łąki, potem furgnęły w górę przywiane nie wiadomo skąd gałęzie. Szum się przeradzał w ryk! Dujawica mierzwiła krzewy i drzewa. Kaśka skoczyła do pieca w czarnej izbie i delikatnie, z szacunkiem przysypała ogień popiołem. Ale nie wygasła go całkowicie. Inne już u niej były porządki niż w wielu góralskich chatach, które kurne były i nie znały komina. Palenisko w takich domach było otwarte i wystarczyło, by halny hycnął przez luft pod powałą, rozdmuchał ogień, po kątach iskrami smyrgnął, by zaraz jedna z drugą zaczęły się tlić w siennikowej słomie, delikatnym płomyczkiem lizać wysuszone ściany, potem docierały do mchu, którym gacono wszystkie szczeliny i szpary, by buchnąć wreszcie ogniem, od którego spłonąć mogła cała chałupa. Ale u Kaśki ogień ujarzmiony był za ścianą komina.

Potoki płynące przez Krupówki zwykle wesoło szemrały, rozbijając swoje wody na kamieniach. Na jeden z nich mówiono Biała Woda, bo płynął w słoneczku i srebrem toczył się z uskoku na uskok. Drugi, Czarny Potok, ocieniony przez wielkie jodły płynął spokojniej. Głazy na jego dnie porosły długimi wiechciami mchów, które zwykle wiły się pod wpływem nurtu jak puchate zielone robale. Był jeszcze na Krupówkach Potok Foluszowy płynący wymurowaną z kamienia rynną. Najbardziej robotny to z potoków, bo jego wody poruszały maszynami foluszarni, do której kobiety zносиły materiał z grubo utkanej, zgrzebnej wełny, a tam go maszyna moczyła, specjalnymi młotkami ubijała, tak że wychodziło spod niej sukno gęste, niedopuszczające do ludzkiego ciała ni mrozu, ni wiatru, dobre na góralskie portki i cuchy. Teraz jednak te potoki ryczały. Woda pędzona przez zawieruchę gnała po kamieniach z hukiem. Stare jodły gięły się, jak która potrafiła, ale i tak raz po raz rozlegał się trzask łamanego drzewa. Szarpane za czupryny modrzewie przedwcześnie łysiały, zasypując świat kłębowiskiem żółtawych igiełek. Tam, gdzie rosły buki, połyskiwały brązową czerwienią strząśnięte bukwie. Ale nie tylko to furgotało w powietrzu. Gdzieś rozerwało szopę. Deski z niej prasnęły w dach nad izbą Nastusi i pani Zofii. Aż obie krzyknęły z przerażenia.

– Póďte do nas – zaprosiła je Kaśka – bydzie raźniej.

Nie zastanawiali się długo, przeszli przez sień na drugą stronę chałupy do czarnej izby. Panie usiadły na zydlach przy stole, a Gustaw przykucnął na przylegającej do pieca nalepie. Nie wiedział, że tu w czasie halnego siadywał albo rozkładał się zawsze gazda, nie rozdziewając się z portek dla czujności, by w razie ognia albo wody od razu biec na ratunek. Ale Jasiek z Maryską tajemniczym zmysłem, który mają tylko dzieci, właśnie u mężczyzny zajmującego to miejsce poszukały bezpiecznego schronienia i przyłgnęły do niego z obu stron.

– Nie bójcie się, kurczaki. – Uśmiechnął się do nich i przygarnął, obejmując ramionami.

Błogość je ogarnęła szybko i posnęły zaraz z uśmiechami na buźkach. Gustawowi od tego też stężałe z cierpienia serce zaczęło tajać i kiedy spojrzał na Kaśkę, by zobaczyć, co ona na to, w jego oczach błyszczało szczęście. Ani mu do tej pory przez myśl nie przeszło, że może kochać dzieci. Za bardzo skupiony był na swoim cierpieniu. Kaśka za to aż nadto dobrze wiedziała, że gdyby tylko Gustaw pozwolił, to byłaby dla niego jak najwierniejszy pies, bo czuła, że miłuje tego chłopca do utraty tchu.

Halny pieklił się, przewalając po górach tabuny chmur, rozpędzając się po zboczach, ciepłym dechem spadając w doliny, na Krupówki, na Kościelisko, tam, gdzie Krzeptowscy, Chramce, Bachledy mieli swoje siedliska. Ryczał, uderzając w ich chałupy, jakby chciał je roznieść w pył i proch. Ale góralska chata była zbudowana tak zmyślnie, że niełatwo było sobie z nią poradzić wiatrowi. Taka też była chata Kaśki. Mocna i zdrowa z modrzewiowych płazów¹⁷, kryta szerniałymi od dymu gontami. Ino żerdzie na dachu pod wpływem uderzeń wichury jęczały. Zdawało się, że cała chałupa ugina się i kołysze.

¹⁷ Przepołowione wzdłuż rdzenia grube pnie.

Pani Zofia i Anastazja najpierw obserwowały, co wyprawia natura, z rosnącym przerażeniem, ale w czarnej izbie Kaśki swojsko było i bezpiecznie. Dziecka smacznie spały przytulone do Gustawa, jemu też głowa opadała sennie, a Kaśka na swoją odświętną koszulę i spódnicę nałożyła roboczy fartuch z burego samodziału i zaczęła się krzątać. Najpierw nastawiła wodę, potem z resztek wieczornych gruli zrobiła kluski.

– Co to za kluski? – dopytywała pani Zofia.

– Ano nase, scykane – odpowiedziała, drobiąc zręcznie ziemniaczane ciasto do osolonego wrzątku. Potem jeszcze postawiła na ogniu rynkę i nakładła do niej drobniuszko pokrojonej sperki. Zapachniało tłuszczem i smażonymi skwarkami.

– Ten stryk z za wirchu to wiatr? – spytała Nastusia, bo przypomniały jej się słowa Kaśki.

– Tu różnie o nim gadajo. – Gaździna wytarła ręce w fartuch i przysiadła się do stołu. – Kiedy halny idzie z gór z wiesno, to ludziska się radujo. Śnieg zgoni z hal, do redyku trza się gotować. I to jezd dobre. Ale jezd i złe.

Kaśka zaczęła snuć opowieści o tym, że jak duje halny, to diabły tańczą, skikają po wierchach, zlatują w doliny i wsiąkają w ludzkie duszyczki. A jak który się już w takiej duszy rozsiądzie, to tak ją bydzie tarnosił, tak bydzie szturchoł, miętosił, gniótl, aż człek tego nie strzyma, weźmie sznur i obwiesi się na stryszku abo we stodole. A ten wiatr to robią smoki. Żyją one po górskich jaskiniach i śpią tam. To prawda jest najprawdziwsza, bo Kaśka sama w jednej jamie widziała kości, które do smoka musiały należeć, bo takich wielgachnych to żadna inna żywina ni mo. Jak któryś smok się obudzi, to wychodzi z jamy, przeciąga się, skrzydła rozkłada, wachluje się nimi i z tego taki wiatr.

Od smakowitych zapachów i opowieści pobudziły się dzieciaki. Kaśka poderwała się ode stoła, w miskę nałożyła klusek i połała je omastą. Najedli się do wypęku. A halny szalał dalej. Nie chciało im się wsłuchiwać w jego potępieńcze wycie. Lepiej już posłuchać gawęd gospodyni.

– A co jest w tych jaskiniach? – dopytywała Nastusia.

– Ano różnie – zaczęła kolejną baśń Kaśka. – W Giewoncie łod nasej strony jest dziur jak w syrze.

Podobno jedna z nich, opowiadała gaździna, prowadzi do wielkiej komnaty, gdzie śpią rycerze. Co rok, jak ich doleci od Krakowa w Wielkanoc głos dzwonu Zygmunta, jeden z nich się budzi, pędzi do stolicy, bo tam w ten czas obradują polscy królowie, i pyta: „Czy już czas?”. A Chrobry, który tym obradom przewodniczy, odpowiada: „Nie, jeszcze nie czas”, i rycerz wraca pędem do jaskini. Czasem słychać nad górami rzenie jego konia.

– Mówią też o skarbach ukrytych w tych górach – wtrąciła pani Zofia.

– Ale najwientsy skarb to śleboda!¹⁸ – Zaśmiała się Kaśka.
¹⁸ Wolność.

Rozdział 15

Czy to się uda? – myślała pani Zofia za każdym razem, kiedy spoglądała na syna, i serce jej się kurczyło bolesnym ścisaniem wszystko jedno, czy on akurat popadał w zadumę, czy z rosnącym ciepłem przytulał Kaścynę dzieci, patrząc z rozmarzeniem na ich matkę, czy ze zmarszczonym w namyśle czołem wplątywał się w dyskusję, czy wiersz jakiś recytował, co umiał i lubił robić, szczególnie wtedy, kiedy słuchała tego Kaśka.

Całkiem takie samo pytanie zadawała sobie Zośka, kiedy w znacznie późniejszych czasach szła warszawską ulicą do pobliskiej przychodni. Zbliżała się piąta po południu, ruch był duży, a najbliższe wejście do podziemnego świata metra wypluwało coraz to nowe tłumy. Każdy z tych ludzi gdzieś dreptał pospiesznym krokiem zapatrzony w ziemię albo w telefon, albo w swoje sprawy, oddzielny, sam, nieprzystępny, bez uśmiechu, bez najlżejszego zainteresowania tym, kto drepcze nieopodal. Tłum zadeptywał Ziemię i tak już przyduszoną chodnikiem i asfaltem. Tyle było tu życia, co w umierających z gorąca pelargoniach, które kwitły w ustawionych wokół kawiarnianych ogródków donicach i barbarzyńsko przyciętej lipie rosnącej przy parkingu zatłoczonym samochodami. Po ścieżce, którą przechodziła Zośka, poniewierały się pierwsze spadłe złote liście.

Było duszno. Na niebo wypełzły granatowe chmury. Człekokształtna szarańcza przyspieszyła kroku w niezrozumiałym przestraszeniu, że mogłaby zmoknąć. Zośka nie lubiła miejskich powszednich popołudni. Czuła się jednym z tych insektów, które pożerają, niszczą, trują wszystko, a po nich zostaje tylko goła zabetonowana ziemia, na której nie wyrośnie nawet jedno źdźbło trawy. Jednym słowem, czuła się paskudnie!

Kap, kap! Pierwsze grube krople deszczu spadły Zośce na nos i policzek. Zerwał się silniejszy wiatr i nawet zrobił na chodniku maleńką trąbeczkę powietrzną złożoną z kurzu i kilku odpadków tuż u jej stóp i prychnął piaskiem prosto w oczy. Zezłoszczona chciała kopnąć toto, ale wiatr poleciał już dalej, a opuszczone przez niego śmieci grzecznie legły na środku chodnika.

Jak ja jej to powiem? – Zośka zaniechała bezowocnego wkurzania się na wiatr, trąbeczki, śmieci, ludzką szarańczę i powróciła do swojego głównego problemu. Z zeznań wuja Brunona wynikało, że antybiotyk dla Gustawa

wymamić od lekarza będzie stosunkowo łatwo. Jednak okazało się nagle, że co innego jest kłamać spontanicznie, na potrzeby chwili, po to tylko, by załagodzić sytuację, albo wręcz prewencyjnie, by do jakiegoś spięcia nie doszło, co Zośka czasem robiła, a co innego z premedytacją, według obmyślanego poprzednio planu. To wbrew pozorom było znacznie trudniejsze. Zwłaszcza że kłamać trzeba było prosto w dobre oczy doktor Elżbiety Zatorskiej. To panią Przywarową przygnębiało tak bardzo, że jej umysł się zapętlił na tym beznadziejnym pytaniu: „Jak ja jej to powiem?”. Sama zaś Zośka powlekła się dalej, rozłożywszy nieprawomyślną parasolkę we wszystkich kolorach tęczy, bo deszcz rozpadał się już całkowicie.

– To co panią do mnie sprowadza, pani Zosiu? – zapytała standardowo doktor Zatorska, kiedy Zośka usiadła naprzeciw jej biurka w maleńkim gabineczku. Białe ściany, biały blat biurka, białe żaluzje w oknach i biały kitel lekarki peszyły wyraźnie pacjentkę. – Hemoroidy?

Zakłopotanie i niepewność mam wypisane na gębie, pomyślała, skoro lekarka tak próbuje mnie ośmielić. Co ze mnie za gracz?! Co za pokerzysta?! Rozszyfruje moje myśli, kto tylko będzie chciał.

– Zdarzyła się u nas w szkole dosyć drażliwa rzecz – zaczęła i poczuła się pewniej. To okropne skrępowanie może przecież przekuć na swoją korzyść!
– Okazało się, że jedno z dzieci w mojej klasie jest chore na meningokokowe zapalenie opon mózgowych. Wszyscy mieliśmy z nim kontakt. Słyszałam...

– Och to fatalnie! – Doktor Zatorska wlepiła w Zośkę oczy nieokreślonego koloru, obramowane siatką całkiem wyraźnych zmarszczek, które chyba już na stałe ułożyły się tak, by nadać jej twarzy wyraz życzliwej troski. Pochyliła siwą głowę nad klawiaturę komputera i mozolnie zaczęła wpisywać coś w te rubryczki, które system jej nakazał wypełnić. – Dawno to było?

Lekka panika ogarnęła Zośkę. Tej sprawy nie przedyskutowały z wujem Brunonem.

– Dwa, trzy dni temu się o tym dowiedziałam, ale dopiero teraz zorientowałam się, że w tej sprawie należałoby coś zrobić.

W poczciwych oczkach doktor Zatorskiej załśniła zgroza.

– Chce mi pani powiedzieć, że nikt nic nie zrobił? Sprawa nie została zgłoszona do sanepidu? Dzieciom nie został podany antybiotyk?! Toż to jest sprawa prokuratorska!

Panika, która ogarniała Zośkę, już wcale nie była lekka! Matko Boska! I co teraz?

– Pani doktor, proszę, niech pani przepisze dla mnie i dla dzieciaków ten antybiotyk i nie mówi o tym nikomu. – Błaganie w oczach i głosie Zośki brzmiało tak szczerze, że trzeba było jej uwierzyć.

– Ja muszę, mam obowiązek zgłaszać podobne przypadki – odpowiedziała lekarka. – Proszę mi jednak powiedzieć, w czym rzecz? To całkowicie nieodpowiedzialne ze strony dyrekcji szkoły! Niedopuszczalne!

– Pani doktor, proszę mnie zrozumieć. Ludzie nie lubią kłopotów. A w szkole nie lubi się ich jeszcze bardziej. My mamy zwykle problemy, które są skutkami tego, że źle się dzieje w rodzinach, w większych grupach społecznych, i stajemy przed tymi problemami sami. Są inne instytucje, ale tak jakoś jest, że każdy sobie rzepkę skrobie i współdziałania nie ma prawie żadnego.

– No tak, ale...

– Ja myślę, że nie tylko w naszej szkole problemy zamiata się pod dywan, bo gdyby wyszły na jaw, to musielibyśmy napisać jakiś program naprawczy, który z braku środków i sposobów pozostałby tylko na papierze, a w razie czego byłby dobrym batem na tego, komu się właśnie powinęła noga. Dobra szkoła dla naszych zwierzchników to taka, w której nie ma problemów.

– Ale nie można... – Widać było, że doktor Zatorska jest coraz bardziej zbulwersowana. Należało ją jakoś uspokoić.

– Zjedzą mnie, jeśli wyciągnę tę sprawę spod dywanu. – Zośka naprawdę tak się roztrzęsła podczas wygłaszania tej tyrady, bo to, o czym mówiła, było prawdziwą bolączką nie tylko jej szkoły. Z tym walczyła już od wielu lat. Ale tym razem była przerażona z zupełnie innych powodów.

– Co ja mam zrobić? No co ja mam zrobić? A przypominam sobie, że miała pani epizod depresyjny, wypalenie zawodowe... Te problemy widać nadal trwają?

Zośka dopiero po chwili przypomniała sobie opowieści Konstantego i Agaty o tym, jak to było, kiedy jakiś czas temu tak znienacka i całkiem niechcący zamieniły się miejscami z panią Zofią. Co ta kobieta wtedy przeżyła, kiedy znalazła się sama samiuteńka w obcych dla niej okolicznościach, trudno sobie wyobrazić. Przecież nie była w żaden sposób

przygotowana do życia we współczesnym świecie. Ona sama, choć świat dziewiętnastowiecznego dworu знаła z literatury, też co krok potykała się o różne przeszkody. Ale ta myśl tylko jak błyskawica przemknęła jej przez głowę, bo siedziała trzęsąca się na niewygodnym krzeselku, nie mając odwagi spojrzeć w pełne troski oczy lekarki, i zupełnie nie wiedziała, co teraz ze sobą zrobić. Pociągnęła nosem, bo zwykle pod wpływem stresu zalega się w niej wilgoć, jakby cała siła umysłu postanowiła się roztopić i przez nos opuścić Zośkę, która nie potrafiła z tej mądrości skorzystać. Siąknięciem jedynie na chwilę zatamowała jej drogę, bo wilgoć znalazła nowe wyjście i kroplami zaczęła spadać spod powiek na policzki. Zapędzona w kozi róg, rezolutna w innych sytuacjach pani Przywarowa rozkleiła się zupełnie.

– Proszę nie płakać, pani Zosiu. – W głosie lekarki zabrzmiały współczucie i bezradność. – Ja pani ten antybiotyk przepiszę, tylko muszę tu wklepać jakąś inną przyczynę. Może bruceloza? Pani podróżowała niedawno? Jakiś Bliski Wschód? Egipt? Spotkania z wielbłędami? Albo niekoniecznie, bo to mogłaby być nawet wiewiórka...

Zośka patrzyła na lekarkę osłupiała.

– Bo bruceloza to choroba odzwierzęca. To nieuczciwe, co robię, ale proszę nie płakać. Tylko niech mi pani da słowo honoru, że dopilnuje, aby dzieci wzięły ten antybiotyk. Ile ich jest?

Słowo honoru? Mój Boże! To jeszcze są na świecie ludzie, którzy gotowi są uwierzyć płaczącej kobiecie na słowo honoru? Jak nędznie poczuła się Zośka, jak parszywie.

– Pani doktor, ja wiem, że od tego zależeć może ludzkie życie! Ja koniecznie muszę je ratować! – To przynajmniej było prawdą, dlatego Zośka westchnęła z ulgą, kiedy stojąca obok lekarskiego komputera drukarka wypuła wreszcie upragnioną receptę.

– Mam nadzieję, że dobrze robię. Ale pani, pani Zosiu, koniecznie powinna pomyśleć, co zrobić ze swoim życiem. Ja wiem, że to może być potraktowane jak ucieczka, ale nie sądzi pani, że trzeba pomyśleć o zmianie pracy? A o pomocy psychoterapeutycznej koniecznie!

Sięgnęła po karteluszek zlepiony w bloczek leżący na biurku i coś tam napisała.

– Tu są namiary na całkiem niezłego terapeutę. Też korzystałam z jego usług, kiedy... Ach, nie ma czasu na takie pogaduszki. Inni pacjenci też

czekają. Proszę mi wierzyć, wiele można zmienić, trzeba tylko trochę zawalczyć o siebie.

Właśnie walczę – odpowiedziała jej w myślach Zośka, ale głośno tego powiedzieć nie mogła, więc uśmiechnęła się do niej najserdeczniej, jak potrafiła.

– Nie jestem w stanie powiedzieć, jak bardzo jestem wdzięczna! – Radość, że choć na koniec może mówić prawdę, przepełniła ją, ale zaniepokoiła lekarkę. Taka zmienność nastrojów nie świadczyła najlepiej o kondycji psychicznej jej pacjentki.

– Ten terapeuta, koniecznie! – powiedziała na do widzenia.

Rozdział 16

– Mam to! – zawołała Zośka, kiedy tylko przestąpiła próg domu. Dopiero tutaj spłynął z niej cały ciężar stresującego dnia. Zdjęła go razem z nowymi, niewygodnymi butami. Włożyła rozczłapane kapcie i od razu zrobiło jej się lepiej.

– Ja też – odpowiedziała jej córka.

Siedziała na kanapie w salonie i skubała wielki słonecznik, gapiąc się w telewizor. Prezenter tefałenowskich Faktów stosownie poważnym tonem informował o trzęsieniu ziemi w Indonezji, na skutek którego zginęło co najmniej trzydzieści osób, a rannych zostało sto pięćdziesiąt. Zaraz potem rzucił w świat informację o śmierci Jacques’a Chiraca, który przeżył lat osiemdziesiąt sześć, od czasu do czasu sprawując funkcję prezydenta Francji. Na Agacie te wieści nie zrobiły specjalnego wrażenia. Jak tu nie przyzwyczaić się do takich doniesień, kiedy jakieś dwa dni temu ten sam prezenter informował o podobnej tragedii w Pakistanie i znowu setki ofiar zajmowały przelotnie uwagę widzów na kilka sekund. Mocniej przejęła się Młodzieżowym Strajkiem Klimatycznym, ale te demonstracje miały miejsce w kilkuset miastach w Europie już tydzień temu i powoli ginęły w niepamięci przytłoczone następnymi wydarzeniami. A jednak Zośka była niemile zdziwiona spokojem Agaty. Tak nic nie kosztowało jej kłamanie w żywe oczy? Niemożliwe!

– Miałaś jakieś trudności?

– Nie. Największe z wymówieniem tych meningokoków. Powiedziałam, że miałam z nimi styczność. Facet był niemiły, nie raczył mnie zaszczyścić nawet spojrzeniem. Głowę daję, że przerwałam mu układanie pasjansa w komputerze albo skrołowanie Facebooka. Mruknął, że jakiś antybiotyk by się przydał. Niemalże musiałam mu podyktować, co ma napisać na recepcie. Pół minuty i po bólu.

– To ci się udało. – Była zbyt zajęta swoimi sprawami, by pomyśleć, że w innych okolicznościach nie miałyby ochoty na spotkanie z podobnym typem. – Trzeba usiąść przed lustrem. Tylko coraz częściej ogarniają mnie pewne wątpliwości. Czy to się da przenieść przez barierę czasu?

– Też o tym myślałam, ale popatrz, żyjemy, jesteśmy, więc tak czy inaczej z Gustawem musiał się stać jakiś cud. Może na tym on polegał, że nam się uda? Tylko gdzie ja mam to sobie wsadzić? Za stanik? W majtki? –

Sięgnęła po leżącą obok torebkę i wyjęła opakowanie leku. Dwa pudełka po sto tabletek. Niemało.

– Trzeba spróbować. Nic tu nie wymyślimy. Przecież i tak wydarzenia toczą się w sposób urągający wszelkiemu prawdopodobieństwu!

– W jaki sposób? – Agata parsknęła śmiechem. – Urągający wszelkiemu prawdopodobieństwu? Wyłazi z ciebie polonistyczne belferstwo!

– Ha, ha, ha! – Zaśmiała się Zośka nieco teatralnie.

Wcale nie było jej do śmiechu. Własne wędrówki w odległe epoki wydawały jej się ekscytujące tym bardziej, im więcej czasu od nich upływało, ale to samo w wykonaniu córki napawało ją niepokojem. A co będzie, jeśli ten portal, toaletka, tak jak z jakichś nieznanych przyczyn nagle się otworzył, tak i się zamknie wtedy, kiedy Agata będzie po drugiej stronie? Nie mogła się opędzić od tej myśli.

Agata także się denerwowała. Nie potrafiła zapomnieć, jakie wrażenie zrobił na niej mąż Bogusi. Możliwość, że go znowu spotka, przyspieszała bicie serca. Bo na spotkanie z jego sobowtórem, doktorem Tomaszem, nie było co liczyć. Przepadł dla niej bardziej niż ten odległy o ponad sto lat. Co za nedorzecznosc! A jednak Agacie mąciło to myśli i powodowało ból serca, jakby z tego powodu poniosła stratę, której nic nie zdoła wyrównać. Broniła się przed tym poczuciem, oskarżając o nieznośny sentymentalizm, głupotę, emocje z lamusa, ale to niewiele pomagało. W takim nastroju siadła przed toaletką.

*

Po drugiej stronie Bogusia od kilku dni krok w krok chodziła za Jaśkiem. Zaglądała mu w oczy, śmiała się i żartowała, co chwilę przypominając o danej obietnicy, że nigdy, przenigdy nie odważy się jej dotknąć bez umówionego hasła. Niby to w żartach, niby w zabawie, ale tak naprawdę zjadała ją zazdrość. Siedzieli oboje w Lutomerzycach. Pani doktorowa najchętniej wyprawiłaby Jaśka do domu, by mieć większą pewność, że uda jej się przeskoczyć przez to lustro tam i z powrotem raz dwa i zatrzymać całą sprawę w tajemnicy przed mężem, ale on jak na złość wygonić się nie dał i tylko co chwilę zaglądał do sypialni jej matki, bo ona często urzędowała przed tym cholernym lustrem, czekając na znak z przyszłości. Ale akurat dziś Bogusia zasiadła przed nim spokojniejsza. Jaś wyjechał, robiąc jakieś tajemnicze miny i coś tam najwidoczniej knując, ale mniejsza

z tym. Nawet nie dopytała, gdzie jedzie ani po co. Najważniejsze, że go nie było w domu. Agata po drugiej stronie lustra się nie zjawiała i nie zjawiała, więc kiedy na dworze zaczynało się ściemniać, Bogusią ogarnął niepokój. Bo gdzie ten Jasiak pojechał? I po co? Nie ma go i można by sprawę załatwić szybko i bez komplikacji, a tu co? Zdenerwowana bębniła palcami w blat toaletki, sięgała po szczotkę do włosów, ale nie po to, by je wyszczotkować. Bawiła się nią.

Doczekała się wreszcie! Po drugiej stronie do pokoju weszła Agata.

– Jesteś! – Ucieszyła się Bogusia. – Załatwmy sprawę szybko.

– A więc: wlaź kotek na płotek. – Agata włączyła aplikację w telefonie, a Bogusia popchnęła wahadło metronomu i brzęknęła w kamerton.

– Wlaź kotek na płotek – dołączyła.

Agata przyciskała do siebie pudełeczka z antybiotykami. Im większe ogarniało ją zwątpienie, tym mocniej ścisnęła lekarstwa i tym bardziej pragnęła, by to się udało. Do tej pory żadna rzecz nie powędrowała ani z jej matką, ani z nią na drugą stronę lustra. W chwili, kiedy już miała powiedzieć zamiast tego beznadziejnego tekstu o kotku i płotku, że to nie ma sensu, żeby dały spokój, nagle poczuła znany jej już ucisk gorsetu. Spojrzała na swoje dłonie trzymające kurczowo w okolicy żołądka pudełeczka z lekarstwem. Były, a ona siedziała przed toaletką odziana w suknię z tą okropną tiurniurą na tyłku.

– Są! – krzyknęła uradowana do Bogusi siedzącej w sypialni warszawskiego mieszkania i gwałtownie naciągającej kieckę, by zakryć gołe nogi. – Są ze mną!

Ulga była tak wielka, że Agata zaczęła się głośno śmiać.

– Wspaniale – zgodziła się z tą radością Bogusia. – Ale teraz wracamy.

– Wracamy!

Tym razem nie było tak łatwo. Rozradowana Agata nie mogła pohamować śmiechu, a coraz bardziej zniecierpliwiona Bogusia irytacji. Za nic nie mogły zestroić głosów. Próbowaly i próbowaly coraz bardziej zdesperowane.

– Wlaź kotek na płotek...

– I mruga!

Agata czasowo przebrana za Bogusią drgnęła, nakrywając trzymaną w ręku chusteczką drogocenny lek, który leżał na blacie toaletki, rażąco nie

pasując do reszty otoczenia. Odwróciła się w stronę głosu. W drzwiach stał roześmiany doktor Zarębski.

– Cóż to za nowa zabawa?

Z trudem się opanowała.

– Czy możesz mnie zostawić jeszcze na chwilę samą?

Chyba nie miał zamiaru, bo uśmiech powoli zniknął z jego twarzy, a zastąpiła go troska.

– Widzę, kochanie, że ostatnio coś się z tobą dzieje. Coś złego. – Podchodził do niej powoli, jakby nie chciał jej przestraszyć. Zerknęła w lustro. Bogusia schowała się za jego ramię, ale stamtąd widać było jeszcze przez chwilę jej przerażone i zrozpaczone oczy.

– Proszę. Na chwilę...

– Musisz mi wytłumaczyć, co się stało – nie rezygnował. – Opowiedz, proszę. Przecież masz chyba do mnie zaufanie.

W panice rzuciła okiem w jedną i w drugą stronę w poszukiwaniu jakiegoś ratunku.

– Czy możesz mi podać szal?

Leżał na łóżku. Doktor musiał się po niego odwrócić na moment i ta chwila wystarczyła, żeby Agata wsunęła lekarstwa do szuflady toaletki. Odetchnęła z ulgą. Przynajmniej ten problem z głowy. Okrył ją, przytulając delikatnie. Zanurzył twarz w jej włosy, całując w czubek głowy. Jego dotyk był cudownie czuły, ale zza ramy lustra patrzyły na nią zrozpaczone oczy Bogusi. Zdrętwiała.

– Cóż to, Augusta nie chce być dzisiaj Gucią?

Spojrzała na niego nic nierozumiejącym wzrokiem. Jaka Augusta nie chce być Gucią? Co on wygaduje? Co to znaczy? To pewnie ich jakiś małżeński język.

– Nie chce – odpowiedziała niepewnie.

– Ale dlaczego?

– Może boli ją głowa – brnęła dalej w tę idiotyczną rozmowę, nie potrafiąc wymyślić nic bardziej oryginalnego. Zresztą co tu wymyślać? Jak?

Zrobił tak zawiedzioną minę, że zrobiło się jej go żal.

– A ja mam dla nas bilety na pociąg. Jedziemy! Do Zakopanego!

– Wspaniale! – Agata zdawała sobie sprawę z tego, że z tej wiadomości Bogusia powinna się ucieszyć, więc starała się tę radość odegrać. Wyszło

jej blado.

– Źle się czujesz? – Nie dał się nabrać na jej sztuczny entuzjazm.

– Trochę, ale to nic. Zaraz się spakuję. Pojedziemy. Domowi już wiedzą?
Jak udało ci się to tak szybko załatwić?

– Przez Szmula. Czy mogę ci w czymś pomóc?

– Muszę sama. Daj mi chwilę. Zaraz zejść na dół.

– Dobrze – zgodził się potulnie, ale ciągle patrzył na nią badawczo. –
Czekam.

Na szczęście wyszedł. Agata trąciła kamerton i puściła w ruch metronom. Bogusia z mokrymi od łez policzkami natychmiast znalazła się po drugiej stronie lustra.

– Wlazł kotek na płotek...

Były roztrzęsione. Wiedziały, że to się nie uda.

– O co chodzi z tą Augustą? – Za którymś razem Agata zrezygnowała z beznadziejnych prób.

Pani doktorowa spłonęła tak gwałtownym rumieńcem, że więcej niewiele trzeba było tłumaczyć.

– Ma mnie nie tknąć, dopóki nie nazwę jej Gucią? – upewniła się Agata. Odpowiedzią było tylko potakujące kiwnięcie głową. – Przysięgam, nie zrobię nic... No wiesz...

– Dziękuję. Pakuj się, póki go nie ma, będę mogła ci pomóc.

Bogusia dyrygowała, Agata wykonywała jej polecenia, wyciągając z szafy zapasowe suknie, z komody bieliznę i pakując do podróżnego kufra. Rodzicielka podzieliła się z nią miejscem na garderobę w swojej sypialni.

– Wrócę najszybciej, jak się da, a ty zdaj się na moją matkę. Pomoże ci przetrwać w naszych czasach.

– Bogusiu, konie gotowe, jedziemy! Zejdź się pożegnać. – Usłyszały z dołu głos Janka.

– Pamiętaj, wierzę ci – zdążyła jeszcze powiedzieć pani doktorowa i rozplakała się na całego.

Rozdział 17

– Agatko? – Zośka weszła do swojej nowocześnie urządzonej sypialni zaniepokojona przeciągającym się spotkaniem córki z jej dziewiętnastowiecznym sobowtórem. Zapłakana Bogusia ciągle siedziała przy toalecie, jedynym znanym jej przedmiocie w tym obcym świecie. Agata zniknęła już z jej mężem w głębi domu w Lutomerzycach, a sądząc po odgłosach, żegnała się właśnie z Konstantym i panem Franciszkiem. Tak zasłuchiwała się w niknące dźwięki swojego prawdziwego życia tam, po drugiej stronie lustra, że te z obecnego świata dochodziły ją niewyraźnie, jakby z oddali.

Do nowej rzeczywistości ściągnął ją dopiero odgłos otwieranych drzwi. Gwałtownie drgnęła i w panice rozciągnęła dresową sukienkę do granic możliwości, by osłonić gołe kolana.

W progu stanęła matka, a raczej jej futurystyczna wersja. Przez chwilę milczała, po czym lekko się zachwiała. Nietrudno jej było się domyślić, dlaczego siedząca przed lustrem dziewczyna w panice próbuje okryć nogi.

– To ty, Bogusiu? – Spełniły się więc jej ponure obawy. Z jakiegoś powodu Agata utknęła w przeszłości! – Co się stało?

Szloch i panika były jedyną odpowiedzią.

Ty przynajmniej zachowaj spokój, Zosiu – spróbowała w myśli przemówić sobie do rozsądku pani Przywarowa. Najpierw trzeba doprowadzić do porządku Bogusię i wyciągnąć z niej, dlaczego zaraz po przekazaniu lekarstwa dziewczyny nie wróciły do swoich czasów. Otworzyła szafę, wyjęła szeroką, długą spódnicę, sweter z wielkim luźnym golfem i skórzany pasek. To był ulubiony strój pani Zofii, kiedy zdarzyło jej się utknąć we współczesności jakiś czas temu. Bogusi może będzie w tym lepiej niż w kusej kiece Agaty.

– Załóż to, kochanie – powiedziała łagodnie jak do chorego dziecka. – Poczujesz się swobodniej. A potem porozmawiamy. Jak będziesz gotowa, przyjdź do mnie, napijemy się kawy.

Jej samej też by się coś dobrego przydało dla odzyskania równowagi, więc wyciągnęła specjalny garnuszek, w którym często przyrządzała ten przysmak dla siebie i Konstantego. Wsypała tam trzy czwarte łyżeczki cynamonu, potem trzy łyżeczki zmielonej kawy i tyle samo cukru trzcinowego. Zalała to wszystko połową litra mleka i dodała kilka kostek

gorzkiej czekolady. Gotowała napar na średnim ogniu, a kiedy napój już zabierał się do kipienia, wyłączyła palnik, a garnuszek przykryła pokrywką, by jeszcze przez dziesięć minut całość nabrała mocy, a smaki się przegryzły. Cudowny zapach rozszedł się nie tylko po kuchni, ale i po całym salonie, który od niej oddzielony był zgodnie z nową modą tylko stołem otoczonym krzesłami. Aromat musiał także wcisnąć się wąską szparką pod drzwiami do sypialni, bo już przebrana Bogusia stanęła w progu z zaczerwienionymi od płaczu oczami, ale i noskiem wężącym ciekawie.

– U nas się robi ze śmietanką.

– Wiem – odparła Zośka. – Bardzo dobra, próbowałam.

Przelała kawę przez sitko do filiżanek, postawiła je na spodeczki i jedną z nich podała Bogusi.

– Co się stało? – ponowiła pytanie. Bogusia dosyć chaotycznie zdała jej relację z nagłego powrotu Jaśka, powiedziała o biletach na pociąg do Zakopanego i zdenerwowaniu niepozwalającym dostroić głosów. Wszystko stało się jasne.

– Jakimś przedziwnym cudem lekarstwa znalazły się jednak po drugiej stronie. Nie potrafię tego zrozumieć! – Bogusia wreszcie oderwała się od masochistycznych wizji Agaty w intymnych sytuacjach z Jaśkiem i zaczęła zastanawiać nad zjawiskami, których fizyka nie była w stanie wyjaśnić.

Zośka akurat z tym nie miała problemów. Jej pojęcie zdrowego rozsądku wysiadło już przy wcześniejszych wydarzeniach i teraz w niczym nie szukała prawdopodobieństwa ani logiki. Było jak było.

– Cieszymy się z tego – odpowiedziała. – I przygotujmy na to, że spędzisz tu pewien czas, póki Agata nie wróci z Zakopanego.

Zrezygnowana Bogusia dopiła kawę z czekoladą, która zrobiła, co miała zrobić, czyli dostarczyła dziewczynie na tyle dużo endorfin, że mogła poczłapać za Zośką do kuchni i wysłuchać wykładu połączonego z prezentacją na temat korzystania ze zlewu, kuchni, lodówki, a nawet zmywarki. Mało tego! Pani doktorowa zaczęła zadawać pytania, których humanistyczny umysł Zośki nigdy nie był ciekaw, czyli: jak to działa?

*

Agata tymczasem siedziała naprzeciw Jaśka z ponurą miną najpierw w powozie wiozącym ich do Warszawy, potem w przedziale wagonu kolei

wiedeńskiej. Nie rozmawiali, a to milczenie ciążyło Agacie w sposób wręcz nieznośny. Jasiek czasem przyglądał jej się, jakby na coś czekał, a ona nie miała zielonego pojęcia na co. Kiedy indziej patrzył tak, jakby się o coś martwił, ale ona też nie wiedziała, jak go zapytać, co go tak niepokoi, nie kompromitując się całkowicie. Przydałyby się jej jakieś wyjaśnienia, bo strasznie niepewnie czuła się w tych dawnych czasach. Z zazdrością myślała, że jej matka na pewno otoczyła teraz Bogusię opieką, a jej tymczasem wszystko sprawiało trudność. Każda najbardziej prozaiczna rzecz. Na przykład zajechali po drodze do Serocka po bagaże. Szczęściem nie ona je musiała spakować, tylko zrobiła to Augusta. Ale Agata musiała zdjąć i założyć buciki. Czy ktoś mógłby wyjaśnić jej, jak dama w dziewiętnastym wieku w usztywniającym całą kibić gorsecie zakładała buty z bajecznie miękko wyprawionej skórki, na obcasiku, ale zapinane na guziki?! Zrobiła to w sposób jedynie logiczny, czyli usiadła na krześle, zadarła do góry zwoje nieludzko zdobnej i obfitej spódnicy sukni, założyła nogę na nogę tak, że widać jej było nie tylko czubek stopy, ale i całe łydki, kolana i jeszcze zaczątek uda uciśniętego nie najładniej podwiązką podtrzymującą pończochy, po czym zaczęła majstrować przy tym dziwnym zapięciu. No i trzeba wam było widzieć minę Augusty, kiedy stanęła w drzwiach pokoju! Na moment osłupiała nie gorzej od żony Lota, a potem jak tygrysica, warcząc: „Co też pani wyrabia!”, rzuciła się na nią i ściągnęła w dół tę belę materiału, którą zużyto na uszycie jej letniej sukienki.

– Jak można! – Dyszała taką wściekłością i oburzeniem, że w zasadzie należało się cieszyć, bo się z tego starcia jednak wyszło cało.

Agata pierwszy raz poczuła się całkowicie bezradna wobec drobiazgów, którymi najeżona była jej nowa rzeczywistość. Niestety nie ostatni. Augusta przyniosła haczyk na długiej, pięknie rzeźbionej rączce i bez słowa, ale za to ze wzrokiem ciskającym błyskawice, wręczyła go Agacie. Co się z tym robi? Dziewczyna rozejrzała się bezradnie po świecie. Choć trudno było po wszechpotężnej kucharce spodziewać się jakiegokolwiek pomocy, to znowu ona leciutko uniosła suknię Agaty i sprawnym ruchem przeciągnęła za pomocą tegoż haczyka, wyjętego uprzednio ze zdrętwiałej ze zdenerwowania dłoni pani doktorowej, guziczek przez odpowiednią dziurkę. Jeden, drugi i trzeci. Aha! Agata teraz sama, z radością przedszkolaka, który właśnie nauczył się wiązać sznurowadła, niewiele

zręczniejszy od niego, ale za to bez wysuniętego języka, załatwiła sprawę guziczków w drugim buciku. Przez pełną dezaprobaty twarz Augusty zaczął przedzierać się niepokój. Już miała zadać pytanie o tę zadziwiającą niezgrabność i niestosowne zachowanie, ale na szczęście w pokoju pojawił się Jasiek.

– Gotowa? Idziemy! – zakomenderował i Agata umknęła przed koniecznością wyjaśnień.

Ale teraz jej mąż, siedząc naprzeciwko w przedziale kolei wiedeńskiej, patrzył na nią jak Augusta i też miał ochotę zapytać, dlaczego nagle zapomniała, jak zamyka się kufer albo to, że kapelusz mocuje się na głowie za pomocą przemysłnego systemu szpilek i spinek, a podręczne akcesoria i dokumenty schowane są jak zwykle w małym woreczku przytroczonym do pasa sukni. I dlaczego nie czyta wyjaśnień, które dy na peron pierwszy, skąd odjeżdżał ich pociąg czy że drzwi dworcowe należało popchnąć, a nie ciągnąć do siebie. Patrzył więc Jasiek na Bogusię swoim lekarskim okiem i zastanawiał się, co też mogło dolegać jego żonie. Jakaś częściowa amnezja? Czego mogła być wynikiem? Niewielkiego wylewu? Dziwne to było wszystko i nietypowe. Czy podróż do Zakopanego faktycznie jej pomoże? Jeszcze w Serocku wyraził co do tego pewne wątpliwości, ale Bogusia zareagowała gwałtownym przerażeniem na samą myśl, że mogliby odłożyć wyjazd. Doszedł do wniosku, iż mniejszym złem będzie jednak, jeśli pozwoli jej na tę atrakcję.

Wjechali na peron jakiegoś dworca.

– Szczakowa! – Agata z radością zobaczyła, że wreszcie wszystkie napisy zostały sporządzone za pomocą znanego jej alfabetu. Do rozpaczki doprowadzały ją nieznanne rosyjskie litery na tabliczkach z nazwami ulic, ogłoszeniach, komunikatach. Czuła się jak analfabetka, osoba nie w pełni sprawna w takim otoczeniu. Tu w końcu mogła coś przeczytać.

– Tak. Szczakowa. – Jasiek powtórzył nazwę stacji z widoczną radością. Czyżby te niepokojące objawy dziwnej choroby jego żony zaczynały ustępować? Zostawił ją w dworcowym bufecie, a sam poszedł dopilnować wyładowania bagażu. Kiedy wrócił, zastał ją pogrążoną w lekturze gazety.

– Zobacz, tu piszą o powstaniu Towarzystwa Tatrzańskiego. Znamy niektórych z założycieli: doktora Chałubińskiego, księdza Stolarczyka czy Adama Uznańskiego, właściciela Szaflar, który do nas napisał, donosząc o stanie Gustawa. Oni chcą wybudować kolej z Krakowa do Chabówki.

Ciekawe, dlaczego tylko do Chabówki, a nie od razu do Zakopanego? – Całą tę przemowę Agata przygotowała już wcześniej, starając się sobie przypomnieć wszystko, co wiedziała o perypetiach rodziny Bogusi. Zależało jej, by rozwiązać niepokój Jaśka.

– Nie wiem, moja droga – odpowiedział bardzo rad, że znowu rozmawia z nim jak dawniej. – Pewnie jesteś zmęczona, a pociąg mamy dopiero jutro rano. Zamówiłem nocleg.

W hotelowym pokoju stało tylko małżeńskie łóżko, a w kącie znajdowała się umywalnia z trochę poobijaną emaliowaną miską i dzbankiem na wodę. Agata marzyła, by się umyć po podróży, więc złapała ten dzbanek i ruszyła w poszukiwaniu wody. Hotelowy korytarz był mroczny. Skądś, nie wiadomo skąd, rozchodził się zapach pleśni i moczu. Szła niemal po omacku w kierunku blasku lampy ustawionej na narzuconym szydełkową serwetą stoliczku. Zeszła na parter, gdzie za recepcyjnym kontuarem siedziała rozłożysta matrona.

– Gdzie mogę nabrać wody? – spytała, czując, że znowu jest coś nie tak.

Babsko patrzyło na nią z lekkim zdziwieniem i jawnym lekceważeniem.

– Niech pójdzie do kuchni, dadzą – odpowiedziało i z wysiłkiem wytarabaniło się z za swojej lady. – Tam.

Polazła za nią. W zasadzie nie musiała wskazywać Agacie drogi, bo intensywny zapach kapusty i tłuszczu był wystarczającą wskazówką. Ledwie stanęła na progu kuchni, jakaś niedorośla dziewczynka poderwała się z zydlu, przed którym stało wiadro kartofli, niemal wyrwała jej z ręki dzbanek i napełniła go wodą z beczki stojącej tuż przy gospodarczych drzwiach. Najwidoczniej miała zamiar wyręczyć Agatę i zanieść jej wodę do pokoju, ale matrona spojrzała na nią groźnie.

– Sama przyszła, sama se zanieś! A ty kartofle skrob. Zara pociąg z Krakowa przyjedzie, ludzie głodne z niego wysiedą.

– Dziękuję – powiedziała Agata do małej, która zaskoczona wybałuszyła na nią oczy. Dopiero wtedy pomyślała, że pewnie powinna jakimś dzwoneczkiem przywołać służbę, nakazać, co jej potrzebne, a nie samej biegać po hotelu w poszukiwaniu wody. Idiotka – obdarzyła się w myślach motywującym epitetem i tym pokrzepiona wyżyła się na babsku: – Usługa u was marna! Do czego to podobne! Ciepła woda powinna czekać na gości. I mydło i czyste ręczniki! A tu brud i uprzejmości za grosz!

Matrona zrobiła urażoną minę, wyjęła jej z rąk dzbanek.

– Zagrzej wodę i zanieś pani do numeru – powiedziała do małej, ale przepraszać za swoje zachowanie nie zamierzała. Podróźni mieli do wyboru albo nocleg na niewygodnych ławkach w dworcowej poczekalni, albo jej hotel. Nie było więc powodu, by zbytnio zabiegać o klientów. Zwłaszcza takich niespełna rozumu, którzy sami chcą przynosić sobie wodę i mówią „dziękuję” byle posługaczce.

Po powrocie Agata zastała swojego czy nieswojego męża w negliżu. Nie była pewna, czy udało jej się ukryć rozbawienie i skrępowanie, bo doktor Zarębski, zawsze pełen godności i elegancki, w tużurku, ze starannie przyciętymi wąsami i brodą, z monoklem wiszącym na złotym łańcuszku przypiętym do butonierki, teraz stał przed nią w czymś, co przypominało niemowlęce śpioszki. Ubiór, będący połączeniem kalesonów i koszuli, zapinany był na guziki sięgające krocza.

– Zmęczony jestem strasznie. Chodźmy już spać. Gdzie byłaś?

– Poprosić o wodę do mycia – odpowiedziała, a on wsunął się pod kołdrę w sam czas, bo rozległo się pukanie i mała posługaczka weszła, uginając się pod ciężarem pełnego dzbanka.

Agata już pamiętała, że przy pasku od sukni wisi jej niewielki woreczek, a w nim sakieweczka z pieniędzmi. Wyciągnęła z niej pierwszą lepszą monetę i dała dziewczusce.

– To za dużo – wyjąkała dziewczynka i znowu wybałuszyła na nią bladoniebieskie oczy. Widać to była jej ulubiona mina.

– Weź, weź. – Agata postanowiła nadrobić straty wizerunkowe i odegrać wielką panią. Co prawda nie zdążyła jeszcze obejrzeć tych tegoczesnych pieniędzy i nie miała pojęcia, że właśnie wręcza temu dziecku jego kilkumiesięczny zarobek.

Posługaczka nie zamierzała się jednak certolić, ścisnęła złotą pięciorublowkę, pocałowała panią doktorową w rękę i znikła, bo bała się, że ta wielka pani, która chyba była jednak niespełna rozumu, się rozmyśli.

Wody wystarczyło na tyle, by umyć czubek nosa i palców. A kiedy Agata to zrobiła, stanęła niezdecydowana. Tak się ma położyć w tej sukni, w tym gorsecie? A jak go zdejmie, to co ona ma tam pod spodem? Goła ma spać obok obcego faceta?

– Chodź, pomogę ci rosznurować gorset – zaproponował ten nie jej mąż, a ona podeszła do niego, usiadła na brzegu łóżka, bo co innego miała zrobić?

Okazało się, że pod spodem nosi bardzo dziwaczne majtki. Dwie oddzielne nogawice przytroczone w pasie tasiemkami sięgały za kolano i na dole były przymarszczone i obszyte koronką. Pod gorsetem miała długą koszulę. W tym stroju może i dało się spać, ale strasznie ją krępowała myśl, że w czasie snu koszula się podniesie, odsłaniając nieokryte tymi osobnymi nogawkami pośladki.

– Co się dzieje, Bogumiłko? Nie kładziesz się jeszcze?

– Taka jestem oszołomiona – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

– Tym bardziej połów się wreszcie. Ja rozumiem, że tyle nowości, ten pęd pociągu, ale czeka nas jeszcze długa i bardziej fatygująca droga.

Odsunął się, by zrobić jej więcej miejsca, i zachęcająco uniósł róg kołdry. Pościel nie pachniała świeżością. Agata podejrzewała, że w hotelu grubego babska nie zmieniano jej dla każdego gościa. Mimo wstrętu weszła do łóżka. Jej mąż faktycznie musiał być bardzo zmęczony, bo zasnął niemal natychmiast, ona jednak spać nie mogła. Zerkała na leżącego obok mężczyznę. Patrzyła na tył jego głowy, na szerokie ramiona, na kształtne ucho i robiło jej się gorąco, bo taką miała ochotę przyłgnąć mu do pleców, czułym gestem zmierzwić gęstą czuprynę, namiętym słowem wyszeptanym do tego ucha obudzić go, a wtedy... Lepiej nawet tak nie myśleć!

Pewnie, że lepiej. Tylko się nie dało. Agata więc wierciła się niemiłosiernie, choć delikatnie, by nie zbudzić pana doktora. Odkrywała kołdrę, bo robiło jej się nieznośnie gorąco, a potem się przykrywała, bo noce były chłodne, a pokój nieopalan. Za oknem całkiem pojaśniało, kiedy wreszcie zasnęła.

Rozdział 18

Dzwony się rozdzwoniły w Krakowie. Ich dźwięk niemrawo przemykał między drobnymi kroplami deszczu, bo ten padał sobie w najlepsze i pewnie dlatego niewiele zakutanych w peleryny postaci pospiesznym truchtem biegło do kościołów. Na placu Kleparskim mókł w tej zgniłej pogodzie wasiąg zaprzężony w dwa kasztanki, do którego najęty baca znosił z hotelu bagaże państwa Zarębskich. Układał je starannie, coś tam podwiązywał powrozem. Wiedział, że droga będzie wyboista i pełna kamieni. Na koniec i oni sami, Jasiek i Agata, otuleni w peleryny i pod parasolami wyszli z hotelu i spróbowali jak najwygodniej umościć się pod szarawym brezentem rozciągniętym na kabłąkach nad wozem dla ochrony przed deszczem. Gotowi? Wszystko? Wiśta! Wio! Pojechali.

*

W Zakopanem także lało. Bure chmury pokryły niebo, leniwie przewalały się z boku na bok. Deszcz bębnił w gontowe dachy, spływał po szybach niewielkich okien góralskich chałup i perlił się w potokach. Uradowane były tylko gęsi, które nic sobie nie robiąc z ulewy, wyległy na drogę, by pluskać się w kałużach. Gustaw w taką pogodę czuł się podle. Miał wrażenie, jakby mu kto mokrą szmatą zatykał nos i usta, łapał więc powietrze przez tę wilgoć z wysiłkiem, który zwał go z nóg. Umrę, kiedy będzie padał deszcz – myślał, zwlekając się z łóżka. To już chyba niedługo – monologował sobie dalej podczas picia zalecanej przez lekarza zentycy. Już nie wierzył w jej cudowne działanie. Wyjrzał przez okno, a tam wiatr zabrał się za porządki. Dmuchnął raz i drugi w kłębowisko chmur. Poszarpał je, rozczapierzył, gonił na północ, aż znad gór zaczęły prześwitywać różowe promyki słońca, te, którym się udało znaleźć szczelinę w chmurnastej otulinie. Tak się rozpychały, przeciskały, tłoczyły, że wygryzały coraz większą dziurę dla siebie, i tu, i tam padały na mroczną ziemię, zapalały złociste plamy na kałużach, brylantowiły się w kroplach zawisłych na jodłach, świerkach i modrzewiach. Kapki deszczu spadały coraz rzadziej i bardziej leniwie, a dzień wstawał wymyty, czysty, choć wilgotny, jak to po kąpieli.

Gustaw patrzył na to widowisko przez okno i zalewała go wdzięczność, że jeszcze raz może widzieć to чудо, bo nie ma nic piękniejszego niż

poranek w górach wstający po deszczowej nocy. Ale w tę wdzięczność wkradał się też żal, że już wkrótce to wszystko będzie mu zabrane. Ubrał się niespiesznie i poszedł do kościoła. Pragnął być gotów. Chciał oczyszczony z grzechów wyjść na spotkanie z Bogiem, a grzeszył codziennie zwątpieniem, brakiem wiary, strachem, który wypływał z nieufności. Tak bardzo marzył, by ktoś te opary zmył mu z ducha, by wlał mu otuchę, pozwolił przeżyć to, co mu zostało, w spokoju.

Kościół był modrzewiowy z gontowym dachem jak wszystkie chałupy we wsi, tylko że bardziej okazały i z wieżyczkami zwieńczonymi sygnaturkami. Kiedy Gustaw tam wszedł, otulił go mrok i jedyny w swoim rodzaju zapach góralszczyzny. Swojski smrodek wysmarowanych masłem góralskich głów mieszał się z wonią świeżego drewna, bo Wojtek Kułach zwany Wawrzyńcokiem stale tu coś majstrował przy ołtarzach. On je obmyślił i zrobił, ale ciągiem mu się coś nie podobało i poprawiał, dostawiał, obciosywał. Lecz teraz było tu pusto, więc Gustaw klęknął zaraz za pierwszą ławką, oparł się o nią na łokciach, ręce złożył jak do modlitwy i ukrył w nich twarz. Święty Klemens z ołtarza patrzył na niego z politowaniem, ale pocieszyć nie umiał. Cóż zresztą dziwnego? Co ten święty męczennik wrzucony do morza z kotwicą u szyi mógł wiedzieć o gruźlicy? Może i miał jakieś pojęcie o górach, bo prześladowanego za wiarę w Chrystusa wygnano na Krym, a tam też góry, choć pewnie nie takie piękne jak tutaj. Myśl Gustawa nawet w kościele przed krzyżem nie chciała poszybować w niebo, ku łasce Pańskiej i rajskim szczęśliwościom, lecz uporczywie trzymała się ziemi. To góry, bliscy, Kaśka i nawet jej dzieciaki byli najbardziej upragnionymi. Co mówić o rajskich rozkoszach, kiedy będzie od nich oddzielony?

Naraz zadrżał przerażony bezbożnością tej myśli. Nawet tu, w obliczu najwyższego majestatu zamkniętego w złotym tabernakulum nie mogła go opuścić żądza życia? Dusza tak zespolona była z ciałem, że nie rozumiała błogości nieba bez cielesnego zasapania się podczas wspinaczki na Kościelec, Krywań czy Mięguszowiecki Szczyt? Bez zziąjanego zachwytu, kiedy z wierchu spogląda się w dół w szmaragdowe doliny? Bez zapachu drewna Kaścynnej chałupy i smaku świeżo udojonego przez nią mleka? Bez oscypka rozplływającego się na języku? Otworzył oczy, by ratunku szukać w widoku świętych obrazów, i natknął się na wpatrzone w niego czujne oczy księdza Stolarczyka.

Ksiądz już od wielu lat pełnił swą posługę w Zakopanem. Pierwszy był tutaj i nawykł do ludu półdzikiego, który dopiero od niego dowiadywał się o Bogu. To ksiądz Stolarczyk niósł tu ewangelię i pomagał zarobić dutki na letnikach, bo raił miastowych, rozdzielał po chałupach, wskazywał im tych z miejscowych, z którymi przezpiecznie było wyruszyć na wędrówkę w najdziksze i najpiękniejsze miejsca gór. Dlatego kochali go tu wszyscy i mieli w wielkim poszanowaniu, bo wiadomo było, że ksiądz się z grzesznikami nie patyczkował. Jak który za wiele sobie pozwalał, to Stolarczyk potrafił z konfesjonału wyskoczyć rozeźlony potężnie, pokutnika do zakrystii zaciągnąć i tam mu tak dupę złoić dyscypliną, że usiąść na niej potem było trudno.

Teraz ksiądz uważnie zajrzał przez oczy w Gustawową duszę i zobaczył, że ten człowiek błądzi, więc twardą ręką trzeba wyprowadzić go na ubity już wieloma kazaniami trakt wiodący do Boga.

– Pódź! – Kiwnął ręką na Gustawa i ruszył w kierunku konfesjonału.

Gustaw posłusznie podniósł się z klęczek i poszedł za nim. Ksiądz już miał swoje lata, ale ciągle siła biła od jego potężnej postaci. Stapał ciężko, lecz sprawnie jak niedźwiedź, do którego z tyłu w długiej sutannie był podobny. Podobnie po niedźwiedziemu kiwała się raz w jedną raz w drugą stronę głowa ozdobiona łysinką otoczoną puszką siwych włosów.

– Bardzo zgrzeszyłem – zaczął Gustaw, kiedy ksiądz rozsiadł się w konfesjonale.

Opowiadał o swoim strachu, o miłości do ziemskich spraw, która za nic nie chciała go opuścić i przesłaniała niebieskie rozkosze. Ksiądz słuchał i nie przerywał, bo tę miłość do gór rozumiał. Wreszcie, kiedy Gustaw już przestał mówić, rzekł:

– Choroba wielgo nie pyto się, ba biere, kogo chce...

Cisza. Nic więcej. Lutomierski nie był zdziwiony gwarowym językiem kapłana. Wiadomo było powszechnie, że on też chłop z chłopów i z żywiołem góralskim zespolony, więc często używał góralskiej godki. Gustaw czekał, co ksiądz powie mu jeszcze, aż usłyszał skrzyp otwieranych drzwiczek.

– Pódź! – Ksiądz Stolarczyk znowu kiwnął na niego wielką jak bochen chleba dłonią.

Gustaw podniósł się z klęczek. Wyszli obaj przed kościół. Rozpogodziło się już. Wiatr pędził po niebie chmury, a one przesłaniały słoneczne

promyki raz tu, raz ówdzie, świat tonął więc gdzieniegdzie w mroku, a gdzie indziej błyszczał szmaragdami hal, burgundem bukwonin, stalowym blaskiem turni.

– Patrzaj tam! – Ksiądz wyciągnął rękę w kierunku gór. – Widzisz, jak chmury przewalają się nad Kasprowym? Jak ozdierają się o Świnice? Pieknie!

Milczeli obaj, gapiąc się równie zachwyconym wzrokiem w dal.

– Widzisz to niebo? – mówił dalej Stolarczyk. – Widzisz bory wspinające się po zboczach? Kto to stworzył? Bóg! A to tylko przedsmak niebiańskich rozkoszy. Naprawdę myślisz, że w niebie będzie gorzyj? Już ty będziesz, chłopie, po tych niebiańskich wirszyckach skikoł jak kozica. O to się nie martw!

Ksiądz grzotnął go po plecach z siłą niedźwiedzia i to musiało wystarczyć Gustawowi za całą pokutę. Ale kiedy już rozstał się z kapłanem, jakaś otucha w niego weszła, rozgościła się w skrawku jego serca i tak się tam mościła, urządziła, że uśmiechać się musiał do napotykanym chłopów i bab. Jakoś potrafił się dziś ucieszyć ze wszystkiego, nawet z tego deszczu, co na krótko spadł.

– Pochwalony – odpowiadał pozdrawiającym go ludziom, całym sercem rozumiejąc, kogo i za co chwali. Tak sam nie wiedząc, kiedy ani po co, znowu skręcił z Kościeliskiej na Krupówki i doszedł do chaty Kaśki. Przed nią, na kamiennych schodach siedziały jego matka, siostra i Kaśka. Dzieciaki baraszkowały obok. Wpatrywały się w coś za Gustawowymi plecami, ale pani Zofia już zobaczyła syna.

– Gustaw! Chodź do nas! Napijesz się kawy?

Wdrapał się do nich, bo chałupa Kaśki stała na lekuchnym wzniesieniu, na które trzeba było wejść po wielkich kamulcach wystających z mchu. Już tym się zadyszał. Przysiadł obok nich, ale nie na długo. Zza Gubałówki wypełzała powoli wielka granatowa chmura. Połykała wszelką jasność łakomie jak smok. Nagle dmuchnęła na nich wiatrem. Potargała włoski dzieciakom, wydeła spódnice pań. Zgarnęli pospiesznie stojące na kamiennych stopniach kubki z kawą i schowali się we wnętrzu chałupy.

Izba, w której mieszkały pani Zofia z Anastazją, była porządna, dwuokienna z białą podłogą z jodłowych desek. Pod powałą biegł gruby sosręb¹⁹ z wyciosaną dłutem szarotką. Ściany z płazów dopasowane były

szczelnie i połyskiwały miodową barwą. Aż dziw, że w izbie nie pachniało woskiem. Tutaj zasiedli, spoglądając przez okno na to, co się wyprawiało na dworze. A tam w jednym miejscu lało, gdzie indziej słońko świeciło, a ówdzie stała tęcza.

¹⁹ Główna belka w drewnianym suficie, często ozdobiona datą wybudowania domu, znakiem cieśli, motywami ludowymi.

Kaśka przyniosła Gustawowi lniany ręcznik, bo zdążył zmoknąć, idąc do nich, i miał mokre włosy.

– Wytrzyjcie się, bo dziecka pomyśla, żeście płanetnik, i bedo się bojać. – Zaśmiała się.

– Opowiedzcie o płanetnikach – poprosiła Nastusia. – Ktoś powinien spisać wasze baśnie, tyle ich znacie.

– Płanetniki siedzo na chmurach i kolibio się. Huś! Huś! I z tego ich kolibania idzie dysc – zaczęła Kaśka.

– A taką piosenkę słyszałam – dodała Anastazja: – *Idzie dysc, idzie dysc, idzie sikawica! Uleje, usiece; uleje, usiece Janickowe lica!*

– Na góralke sie przerobicie z tym śpiwaniem. A wy... – Kaśka zwróciła się do Gustawa – ...na płanetnika.

– To brzmi groźnie! – Strach i troska topniały w duchu chłopaka, jak topnieje śnieg na górskich zboczach pod wpływem halnego.

– Bo to tak sie te płanetniki husiajo na chmurach, ze raz jeden, raz drugi spadnie se na ziemie. Wyglondo łon, jak normalny chłop, ino włosy ma mokruśkie, jako wy.

Tęcza, która rozpościerała się gdzieś daleko, pewnie nad Doliną Strążyską, bladła.

– Tenca to wielka pijawa! – opowiadała dalej Kaśka. – Pije syćko, wode i co tylko w tej wodzie jezd: ryby, raki, zaby. A raz wypilo tyz chłopcaka niedorosłego, co poseł nad potok krowe poić. Na płanetnika go przerobiła i terozki bidok musi z chmurami lecieć aż nad morze, tam do nich jak do worów ładować wode, a potem ciongnoć te ciężary nazad. Dziury robio te płanetniki w chmurach swojemi kapelusami i bez nie ciurka woda, którą wiater na krople rozwiwo. Trza strzec sie tency²⁰.

²⁰ Opowieści Kaśki zaczerpnięte są z książki Jalu Kurka, *Księga Tatr*, Warszawa 1969. Podejrzewam, że on też musiał ją kiedyś odwiedzić.

Ale już strzec się jej nie było co, bo czarne chmurzyska znad Gubałówki zeżarły cały słoneczny blask. Wiatr siekł strugami deszczu po oknach.

Gdzieś daleko przewalały się grzmoty. Echo niesło się po górach. Zbliżał się huk. Błyskawice rozdzierały niebo roztopionym do białości blaskiem. Inne, zamknięte w brzuchu chmur, tylko prześwitywały przez ich powłoki jasnością. Grzmot jeden za drugim rozchodził się, odbijał od skalistych turni, powracał zwielokrotniony, napotykał następny i zlewał jeden z drugim.

Patrzyli zafascynowani przez okno na ten wielki spektakl przyrody. Już nikomu nic się nie chciało gadać. Słowa tu były niepotrzebne. Kiedy tak siedzieli zapatrzeni, zasluchani, nagle dobiegł ich łomot. Ktoś dobijał się do drzwi. Kaśka rzuciła się otwierać, a za nią inni ciekawi, kto to włóczy się po świecie w taki czas. Otworzyli. Na progu stali przemoknięci do suchej nitki Agata, o której wszyscy myśleli, że jest Bogusią, i doktor Janek.

Rozdział 19

– Jezus Maria, dzieci! – zawołała pani Zofia, kiedy zobaczyła na progu córkę i jej męża, oboje mokrusieńkich, tak jakby w ubraniach wleźli pod górską siklawę. – Toż to choroba gotowa!

– Chwała Bogu jeszcze lato – odpowiedziała dziarsko Agata i przetarła twarz dłońmi, bo woda ściekająca z przemokniętego kapelusza zalewała jej oczy. Przytwierdzony tam bukietek fiołków, ozdobiony dodatkowo okazałym piórem nieznanego Agacie, acz z całą pewnością pięknego ptaka, zwisał smętnie z runda nad jej czołem. Wyglądała żałośnie, ale starała się trzymać fason. Jednak ten ton i zbyt swobodny gest przemknęły drobnym niepokojem przez umysł Zofii. Matczyne serce drgnęło przecuciem niepewności, bo przecież Bogusia starałaby się otrzeć twarz chusteczką. Ale wszystko to trwało tak małeńki ułamek sekundy, że nie do końca rozsiadło się w świadomości pani Gosztowiczowej. Zresztą nurtował ją inny problem.

– Masz? – spytała po cichu, na ucho, kiedy nie bacząc na to, że sama zmoczy sobie suknię, przytuliła na powitanie córkę. Agata kiwnęła głową i mruknęła: „mhm”.

To było najważniejsze! Fala szczęścia zalała panią Zofię!

– Jak się cieszę! Jak się cieszę! – powtarzała, podejrzenie siąkając nosem i otulając córkę ściągniętym z ramion szalem, co nie było najlepszym pomysłem na ratowanie kompletnie przemoczonych ludzi. Agata czuła, że nasiąknięta deszczem tiurniura osuwa się coraz niżej na pośladki, a wyciekająca z niej woda spływa po nogach. Okropieństwo!

Na szczęście ruszyła bardziej sensowna akcja ratunkowa. Już Anastazja naszykowała nocną bieliznę, już Zofia wyciągnęła ręczniki, a Gustaw gdzieś w zakamarkach czarnej kuchni znalazł gliniane niewielkie kubeczki i wlał w nie po troszeczku koniaku. Agata, by się przebrać, weszła za parawan odgradzający kąt izby. Pasował do tych ścian z bali, jodłowej podłogi i naiwnych malowideł na szkle jak pięść do nosa, ale był piękny. Lśnił czarną laką i w góralskiej izbie wyglądał jak gość z dalekiego, egzotycznego świata. Na jego przesłach na ciemnym tle rozkwitała wśród gałązek powyginanych jak w japońskim bonsai delikatnie różowa magnolia. Seledynowe listki drzewa dopiero pokazywały się maleńkimi pączkami, a między tym wszystkim polatywały śliczne ptaszki, które Agata uważała

za skrzyżowanie swojskiej jaskółki z kolibrem. Miała dużo czasu na przyglądanie się temu cudeńku, bo wyplątać się z archaicznej sukni nie było łatwo. Ileż tu haftek, guziczków, sznurówek, to pojęcie ludzkie przechodzi! Mokre tasiemki złośliwie plątały się w niemożliwe do rozwiązania supły. Pęta gorsetu uwięzły w dziurkach szamerowania. Ciężka od wilgoci sukni za skarby świata nie chciała się precisnąć przez biust i wreszcie zrozpaczona Agata uwięzła w niej w pozycji nader niekomfortowej, z rękoma skrępowanymi na pół tylko ściągniętymi rękawami, ogromną spódnicą narzuconą na głowę, stanikiem podciągniętym nieco do góry, ale nie tak, by była jakakolwiek szansa na przeciągnięcie go w jedną albo w drugą stronę. I co? Miała wzywać pomocy? Krzyczeć, żeby ktoś zechciał uwolnić ją z tych haftowanych, ozdobionych tysiącem wstążek, kokardek, koronek dybów? Szarpnęła się jeszcze raz i drugi w nadziei, że puści gdzieś szew, coś się rozedrze, ale niestety sukni była uszyta tak, by służyć przez pokolenia.

Panią Zofię zaniepokoiło to szamotanie się za parawanem.

– W czymś ci pomóc, córeczko?

Zduszone „tak” zabrzmiało jak błaganie topielca. To, co pani Gosztowiczowa zobaczyła, kiedy weszła do prowizorycznej przebieralni, natychmiast przypomniało jej ten cień niepokoju, który odczuła na widok zmokniętej córki stojącej na progu chałupy. Wypięta pupa obleczona w mokre i przylepione do ciała pantalonek obszyte na nogawkach koronką podrygiwała w rytm szarpania się z nieubłaganą materią, ręce, mimo uwięzienia, starały się zgarnąć z twarzy spódnicę, co tylko częściowo się udawało, więc pani Zofia mogła zauważyć, że to oko, które wyglądało na nią spod fałdów materiału, patrzyło z wściekłością zupełnie nie-Bogusią.

– Agata? – domyśliła się szeptem.

– Tak – równie cicho odpowiedziało dziewczę i przestało walczyć z pioruńską suknią.

Miały trochę czasu na rozmowę, bo zaciśnięte w supły mokre tasiemki przytrzymujące tiurniurę i halkę, sznurowadła gorsetu czy haftki, na które zapięty był obcisły stanik, wcale nie tak łatwo poddawały się zręcznym palcom Zofii.

– Co się stało? Bogusia jest na twoim miejscu w Warszawie? Dlaczego?

– Janek zjawił się nagle z kupionymi już biletami. Tak nas to zdenerwowało, że nie mogłyśmy się zestroić.

– Och! Jak niefortunnie! – Zmartwiła się Zofia, bo dobrze pamiętała, ile napięcia i lęku kosztowało ją to, kiedy sama przed laty znalazła się w podobnej sytuacji. Ale w tej chwili najważniejsze było co innego. – Gdzie masz lekarstwa?

– W torbie. Pilnowałam jej jak oka w głowie, a teraz z tego wszystkiego zapomniałam, gdzie ją położyłam!

Fakt. Przez całą podróż Agata się z nią nie rozstawała nie tylko dlatego, że znajdowała się tam tak cenna rzecz, ale przede wszystkim z racji jej precudnej urody. Srebrne okucia i gałeczki zatrzaskowego zamka zdobione były delikatnym grawerowaniem, a ona cała haftowana drobnymi krzyżykami we wspaniałym bukiet róż. No cudo!

– Nasteńko, znajdź, kochanie, podróżną torbę Bogusi.

Torba stała na ławie w ganku i Anastazja znalazła ją, zanim Agata już odziana w koszulę, różowy peniuar z mnóstwem szydełkowych koronek i riuszek okalających dekolt i rękawy wyszła zza parawanu. Nie zdążyły jednak obejrzeć tajemniczych tabletek, które miały uratować życie Gustawa, bo z czarnej kuchni wyłonił się Janek odziany w góralski przyodziewek wyciągnięty ze skrzyni na ubrania przez Kaśkę. Zachowało się to jeszcze po mężu nieboszczyku. Janek wyglądał zabawnie w portkach z parzenicami, w lnianej koszuli, na którą narzucił cuche, z monoklem w oku i z bródką przyciętą na hiszpańską modłę. Z trudem tłumił ziewanie.

– Przepraszam. Padam z nóg.

No i nie było wyjścia. Trzeba iść spać. Za oknem na tyle się wypogodziło, że Gustaw mógł wrócić do siebie.

Doktor Zarębski rzeczywiście był zmęczony. Ledwie przytulił głowę do poduszki, a w izbie rozległo się jego smaczne pochrapywanie, ale Agata zasnąć nie mogła. Nie tylko dlatego, że krew w niej krążyła żwawo, kiedy tak leżała obok swojego niemęża. Teraz także świadomość zbliżającego się końca jej misji dźgała ją niczym sztyłem i zmuszała do wiercenia się w sposób karygodny. Nie mogła wytrzymać w łóżku. Siennik świeżo wypchany nieuleżaną jeszcze słomą kłuł, pierzyna nieznośnie grzała, poduszka była zbyt wielka i zbyt puchata jak na jej przyzwyczajenia. Wstała cichutko i wyszła na ganek. Za oknem znowu padał drobniutki deszczyk i delikatnie, miarowo pukał w szyby, jakby chciał się dostać do środka, grzeczniutko usiąść gdzieś w kątku i odpocząć po niedawnej zawierusze. Może bał się nieprzenikniętych ciemności, w których

zanurzona była Kaścyna chata. Agata miała wrażenie, że znalazła się nagle w szalupie zawieszanej w jakimś całkowicie odludnym miejscu w przestrzeni i w czasie. Że wystarczy otworzyć swojsko skrzypiące drzwi, by znaleźć się w pustce, nicości, która oddziela jej świat od tego, w którym się niechcący zaplątała. Ogarnęła ją tęsknota za jasnym światłem elektrycznej żarówki, za szumem przejeżdżających ulicą samochodów, za ciepłą wodą płynącą z kranu i wanną pełną pachnącej piany. Tak się w tej tęsknocie zanurzyła, że nie usłyszała skrzypnięcia otwieranych drzwi.

– Nie śpisz, Agatko? – Usłyszała nagle przyciszony głos pani Zofii.

Na progu ganku stały obydwie z Anastazją. Nastusia trzymała w ręku jej podróżną torbę haftowaną w róże. Skonfundowane były obie niemożebnie.

– Za dużo emocji.

– Wybacz – Nastusia wskazała na torbę – ale takie byłyśmy ciekawe tego lekarstwa, że koniecznie chciałyśmy je zobaczyć.

Agacie nawet przez myśl nie przeszło, by mieć do nich pretensje, że najwyraźniej miały ochotę pogrzebać w nie swojej torebce. Doskonale je rozumiała. Zresztą przecież to nie była też jej torba, a Bogusi. Wszystko pogmatwane. Zabrała z rąk Anastazji sakwojaż, otworzyła i wyjęła dwa małe kartonikowe pudełeczka. Położyła je na stojącym tu stole i aż zaniemówiła ze zdziwienia. Tam, w mieszkaniu na Imielinie, wyglądały najzwyczajniej na świecie, tu, na Kaścynym stole, były wręcz nieprzyzwoite w swoim niedopasowaniu. Co w nich takiego było? Nienaturalna, trupia bladość tekturki, z której zrobione były opakowania? Agresywny zarys i kolor liter? Tego w tym świecie nie było. Ale coś jeszcze, coś nieuchwytnego, co chyba trzeba by było nazwać duchem czasu, a co przezierało z tych pudełeczek.

Pani Zofia wzięła jedno z nich w dłonie i oglądała z pełnym nabożeństwem.

– Tak wygląda zaklęte życie?

Z pewnym trudem i bez wprawy otworzyła pudełko i wyjęła z niego fiołki z pigułkami.

– Nie do uwierzenia, że wystarczy połknąć taką drobinę i człowiek zdrowieje z najgorszych chorób!

– Tylko z gruźlicy. – Agata machnęła ręką chyba zbyt lekceważąco.

– A co może być gorszego? – Anastazja i jej matka wypowiedziały te słowa niemal jednocześnie. Zdumienie dla niefrasobliwości przybyszki

z przyszłości wprawiło je w osłupienie.

*

Dwie były rzeczy, które wzbudziły zachwyt Bogusi w nowoczesnym świecie mieszkania w Imielinie. Biblioteka i niesamowity wybór kolorowych nici do robótek ręcznych, które można było zamówić przez Internet, jak mówiła Zośka. Bogusia czuła się w jej obecności skrępowana. Nie wiedziała, jak powinna się zachować, bo z jednej strony ta osoba była ładząco podobna do jej matki, więc miała czasem ochotę przytulić się do niej i pocałować w rękę, a z drugiej zachowywała się w sposób trudny do zaakceptowania. Chodziła po domu w samej bieliźnie, gwizdała jakieś wyuzdane melodyjki, przy śniadaniu klikała w guziczki telefonu. Jakoś to trzeba było znieść. Zresztą przecież nie będzie tu długo. Jak tylko Agata z Jasiem wrócą z Zakopanego, natychmiast podejmie próby przywrócenia normalnego porządku. W oczekiwaniu więc na tę okazję Bogusia postanowiła wyhaftować śliczny lauferek, którego wzór zapamiętała jeszcze ze swoich czasów. Bukieciki kwiatków wyszyte haftem cieniowanym umieszczone były w kwadratowych okienkach rozdzielanych delikatną mreżką. Cudo! To było koniecznością, bo do mieszkania, w którym na stołach, komodach nie leżała żadna serweta, niełatwo było się przekonać. Przynajmniej Bogusi.

Drugą rzeczą, która pochłaniała doktorową Zarębską, była lektura. W nadzwyczaj bogatej bibliotece Zośki i Konstantego znaleźć można było wszystko. Książki o ekonomii, klasykę literatury, trochę poradników psychologicznych i różne zarysy pedagogiki, historię języka. To ostanie wydawało się Bogusi niesamowicie odkrywcze, bo jakoś nie przyszło jej do głowy do tej pory, że język może mieć swoją historię. Ale przepadła z kretesem, kiedy sięgnęła po książkę o intrygującym tytule *Opowieść o początku. Wielka historia wszystkiego*²¹. Część pierwsza: *Kosmos*. Ileż panińskich wieczorów spędziły z Nastusią przy teleskopie, wpatrując się w niebo! Ileż żmudnych dni na czytaniu naukowych dysertacji, które pomogłyby im zrozumieć ogrom i logikę funkcjonowania wszechświata! Potem za sprawą Jasia, absorbującego procesu urządzania domu tamte sprawy jakby straciły blask i zeszły na plan dalszy. Tu jednak podane były w sposób tak lekki i zrozumiały! Tyle było w tej książce zadziwiających

nowości, że Bogusia utonęła w nich całkowicie. Nie chciała nigdzie wychodzić, tylko czytać. Zresztą ten zewnętrzny świat, który widziała z okna mieszkania leżącego na dziesiątym piętrze, wydawał jej się straszny. Niebezpieczny. Przeróżający.

²¹ David Christian, *Opowieść o początku. Wielka historia wszystkiego*, przeł. A. Wojciechowski, Poznań 2019.

– Nie, nie! Ja tu tylko na chwilę – odpowiadała na wszelkie propozycje spacerów, zwiedzania, wyjścia.

Aż do czasu...

Rozmawiały o największych problemach swoich wieków.

– A dla ciebie, co jest takim najważniejszym problemem? – spytała wtedy Zośka.

Bogusia tylko udawała, że się zastanawia. Doskonale wiedziała, co ją najbardziej gryzie.

– Ciągłe nie mamy dziecka – powiedziała i się rozplakała. Wiedziała, że damy trzymają na wodzy swoje emocje, ale taka była ostatnimi przeżyciami roztrzęsiona.

– Trzeba by sprawdzić, czy nie można ci w tej kwestii pomóc – odpowiedziała osoba tak bardzo podobna do jej matki, a Bogusia z nagłej radości pocałowała ją w rękę.

Te wspaniałe czasy znają lekarstwo na gruźlicę, to może i jest tu sposób na jej problemy? – pomyślała pełna nadziei.

Rozdział 20

Tu, na dole, w zakopiańskiej kotlinie jesień przyszła tak barwna, że patrzeć się na nią należało ciągiem, bo gdzie tylko wzrok zwróciłeś, tam piękniej. Droga nad Bystrzycą zaścielona była czerwonymi bukowymi liśćmi. Kiedy skręciłeś w Kościeliską, świerki co rusz ustępowały miejsca królewskim w swoim złocie i purpurze klonom. Na Pęksowym Brzyzku szumiały złote lipy i brzozy. A dni wstawały nieco mgliste, jakby tym oparem chciały przesłonić swoją urodę, jakby skromnie wstydziły się tego przepychu.

Gustaw myślał, że ta jesień tak skromnie przesłaniająca swoje uroki woalką mgły podobna jest do Kaśki spuszczałej oczy i rumieniącej się pod jego spojrzeniem. Ona była piękna. A on? Im dłużej patrzył wstecz na swoje życie, tym bardziej miałkie i pozbawione sensu mu się wydawało. Bo cóż on zrobił? Przypomniawszy sobie, jak podczas powstania, co to zaczęło się w styczniu, dostał zadanie przetransportowania partii broni. Nie wywiązał się z tego, jak należy, bo wsiedli mu zaraz na kark rosyjscy szpicle i ledwie im się wymknął. Transport musiał ukryć, a dowiozły go do oddziałów Zygmunta Padlewskiego dopiero kobiety, jego matka, babka i siostry. Wstyd! Od tamtej pory zaczął cherlać, kaszleć, niedomagać. Prowadził żywot nikomu niepotrzebny, skażony fatalnym niedołęstwem, wadliwy. Cóż on mógł dać takiej Kaśce, świeżej i orzeźwiającej jak dojrzałe jabłko? Jeśli on jakimś jabłkiem był, to przeżartym przez robaki, gdzie ani miejsca zdrowego nie znajdziesz, by zatopić zęby. Widział w lustrze oznaki zbliżającej się śmierci. Widział oczy coraz bardziej zapadające się w głąb czaszki, skórę na skroniach wysuszoną i cienką jak welin, ceglaste rumieńce na kredowobiałych policzkach i sinawe usta.

Ustawił to lustro na okiennym parapecie i wodził brzytwą po zapadłych policzkach. Uczucie beznadziejności odbierało mu siły nawet do tego. Najchętniej położyłby się do łóżka i nie widywał nikogo. Co komu po takim wraku jak on? Co on jeszcze może zdziałać, kiedy na wszystko jest już za późno? Ale wiedział, że w każdej chwili mogą się tu zjawić matka i siostry. Napełnią mu izbę gwarem, a jak go zobaczą zaniedbanego, to i uraczą połajankami. Niby żartobliwymi, niby z miłości, ale tak naprawdę to będzie w nich tylko litość. I to było mu trudno znieść. Wszystko, czym był do tej pory otoczony, zmieniało się w lepłą litość, a spod jej nieznośnej

słodczy wyzierała gorycz. W nim też. I strach. Wystarczy spojrzeć raz na swoją trupią twarz w lustrze stojącym na parapecie, raz za okno. Tam też jest umieranie, ale jakie piękne! Bez stękania, charkotu kaszlu, cuchnących potów zalewających raz po raz całe ciało. Dlaczego on nie może umrzeć w sposób godny i piękny jak te liście na drzewach, tylko wśród tych wyziewów, plwocin. Byłby rozkleił się całkowicie, gdyby nie to, że przez okno zauważył zbliżające się siostry i matkę. Westchnął głęboko. Znowu zatrzasnąć się trzeba będzie w zbroi z dzielności i przetrwać tę wizytę, choć sensu w tym nie widział żadnego. Najchętniej powiedziałby im: „A dajcie wy mi święty spokój!”.

Weszły rozćwierkane i jakieś podniecone. Matka patrzyła na niego oczyma rozjaśnionymi zupełnie niestosowną radością. Nastusia idiotycznie ścisnęła go i przytuliła, a Bogusia miała taką minę, jakby zaraz mu miała sprawić najgłupszego w życiu psikusa. Naprawdę, zupełnie nie był w nastroju, by przyjmować dzisiaj gości.

– Jak miło. – Usiłował być uprzejmy. – Choć tak bardzo źle się akurat czuję.

Jakoś nie przejęły się tym zbytnio, co było dziwne i dodatkowo go zirykowało. Dał im znać, że najchętniej położyłby się, odpoczął. Zignorowały te sygnały zupełnie. Idźcie sobie! – miał ochotę krzyknąć, ale w tym momencie drzwi skrzypnęły i stanęła w nich Kaśka z dzbankiem świeżej żentycy. Chyba na nią czekały, bo zaraz Nastka zakręciła się, wyciągnęła z witryny stojącej w kącie porcelanową filiżankę. Porcelana – to był jeden z niewielu luksusów, na które pozwalał sobie w tej dzicy. Siostra naląła do niej owczej serwatki z dzbanka i postawiła ją przed nim. Zakrawało to na świętokradztwo, bo porcelanowa filiżanka przeznaczona jest do szlachetniejszych napojów, ale one wszystkie tak nabuzowane były jakąś dziwną energią, że nie miał ochoty o cokolwiek dopytywać, w czymkolwiek im się sprzeciwić, żeby nie wyzwolić erupcji tej siły z niewiadomymi skutkami. Nie był ich ciekaw. Chciał, by jak najszybciej sobie poszły. Matka z dziwacznej buteleczki z ciemnego szkła wyjęła spleśzczoną kuleczkę i podała mu ją na otwartej dłoni.

– Połknij! To niezwykle lekarstwo.

Aż kipiała z chęci dalszego opowiadania o tym dziwactwie. Naprawdę nie miał sił, by tego słuchać. Posłusznie zrobił, o co prosiła.

– Dzisiaj mam zły dzień – zaczął je delikatnie wypraszać z pokoju.

Nastka naląła następną filiżankę zentycy.

– Wypij tylko jeszcze to i zaraz sobie pójdziemy – powiedziała. Nie miał ochoty, ale spełnił jej prośbę w nadziei, że tak się ich pozbędzie.

Wyszły rozchichotane. Nawet matka. Odetchnął z ulgą. Poszedł do sypialni. Nie zdjął nawet trzewików i walnął się na łóżko zasłane tkanym przez organiścine kilimem. Zasnął niemal natychmiast.

Śniło mu się, że drapał się w górę. Szedł leśną wycinką sam, skądś wiedział, gdzie ma iść, a jednocześnie nie mógł sobie przypomnieć, co było jego celem. Tylko kilka kroków, które miał postawić, było pewne. Tak! To tędy! Ale tak naprawdę, gdzie idzie, nie wiedział. Szedł więc, stawiając te pewne kroki ku niewiadomemu celowi, ziając coraz mocniej, dysząc, podciągając coraz bardziej zmęczone nogi, opierając się na czekanie. Staął. Ani kroku dalej nie postawi, a wie, że powinien. Stał. Słuchał. Czy to bór jodłowy tak szumiał, czy krew tętniąca w jego uszach? Rozejrzył się. Skały piętrzyły się wokół niego, a spomiędzy nich wyrastały potężne pnie. Tu modrzew, tam limba, ówdzie jodła. A szum narastał, aż wreszcie zamienił się w grzmot, który ogarnął Gustawa, wchłonął i nim ten się spostrzegł, stał nagusieńki na kamieniach u spodu porośniętych mchem. Siekał go grad kropel, biczowała woda spadająca skądś z wysoka. Tłukła go niemal do granicy bólu, ale jednocześnie wlewała w ramiona siłę, by mógł się temu pędowi, tej mocy przeciwstawić. Stał zatem, poddawał się ożywczemu batożeniu, aż wreszcie coś kazało mu poruszyć rękoma jak skrzydłami i Gustaw uniósł się ponad wierzchołki Tatr, by stamtąd rozejrzeć się po świecie roziskrzonym jesiennym słońcem, tu złotym od modrzewiowych igieł, tam ciemnym od jodeł i świerków, a jeszcze gdzie indziej lśniącym świeżym śniegiem na skalistych szczytach. Wydawało mu się, że rozpoznaje trasy swoich niegdysiejszych wędrówek, Dolinę Roztoki, Morskie Oko, Dolinę Pięciu Stawów i to napełniło go takim szczęściem, tak wielką radością, jakie nie mogły się zmieścić w sennych majakach, i Gustaw się obudził.

Leżał nieruchomo, nie otwierał oczu w nadziei, że ten piękny sen powróci. Ale on wracać nie chciał. Za to rzeczywistość docierała do niego jakoś pełniej niż w poprzednich dniach. Wyraziściej czuł lekką szorstkość lnu, z którego uszyta była pościel, promienie słońca żwawiej przebijały się przez nie najczystsza szybę okna. Do nosa docierała delikatna woń jajeczniczy, którą organiścina usmażyła dla organisty.

Był spocony. Mokra koszula stygła i chłodziła ciało. Gustaw pomyślał, że powinien się przebrać. Czuł, jakby stoczył jakąś wyczerpującą walkę i jakby w niej zwyciężył, choć drżał jeszcze z wysiłku. A może to cudowne lekarstwo, które wczoraj przyniosły mu jego kobiety, rzeczywiście zadziała? Pomyślał tak sobie i chciał odetchnąć jak dawniej pełną pierśią, głęboko, ale ledwie spróbował, złapał go znowu gwałtowny kaszel. Nie. Nie ma co liczyć na cud.

*

Niedziela wstała wystrojona do niepoznania. Na wszystkich do końca jeszcze nieopadłych liściach, na ciągle żwawo zielonych trawach rosnących nad licznymi zakopiańskimi potokami, na świerkowych igłach i szyszkach osiadła mieniąca się w słońcu szadz. Od razu świat zbystrzał i śmieiej zaglądał do chłopskich chałup. Wydawało się, że coś puka do okienek, wabi. Nie sposób było wylegiwać się w łóżku. Pewnie dlatego Anastazja obudziła się z przeświadczeniem, że dziś zdarzy się coś niezwykłego. Ledwie o tym pomyślała, przypomniała sobie o Gustawie i była święcie przekonana, że to jego będą dotyczyć te nadzwyczajności. Zerknęła na leżącą obok matkę. Ona też już nie spała. Otwartymi oczyma błędziła po powale.

– Oka nie zmrużyłam – powiedziała szeptem – a wypoczęta jestem i pełna energii jak nigdy. Już pognałabym do Gustawa.

– Wierzyć się nie chce, by jedna pigułka pomogła – odszepnęła jej córka.
– Jeszcze za wcześnie.

Pogadywały sobie tak bardzo cichutko, bo w sąsiednim łóżku, tym, które zwykle należało do Anastazji, spała snem sprawiedliwego, z lekka posapując, Agata.

– Trzeba ich jak najprędzej wyprawić do domu – stwierdziła Anastazja. – Agata musi wrócić do swoich czasów, bo tu jej obecność może wywołać trudne do naprawienia skutki.

– Koniecznie – zgodziła się matka. – Porozmawiam o tym z Jaśkiem.

Doktor Jan Zarębski także nie spał dobrze tej nocy. Przykrość sprawiła mu uradowana mina żony, kiedy tonem nieznoszącym sprzeciwu jego teściowa zadecydowała, że Bogusia spędzi tę noc z nimi, a on ma się wynieść do pokojów Gustawa. Nie rozumiał takiego posunięcia. Przecież spokojnie oboje mogliby spędzić tę noc u szwagra, a od rana planował

doktor rozejrzeć się za własną kwaterą. Tyle sobie obiecywał po tej podróży. Nigdy wcześniej nie był w Zakopanem, a to, co zobaczył, zachwyciło go. A Bogusia? Do tej pory wydawało mu się, że ta podróż będzie spełnieniem jej marzeń. Przecież od jakiegoś czasu tylko o tym mówiła. A potem jednego dnia wszystko się zmieniło, jakby zaczarowała ją jakaś zła wiedźma z bajki. Na Augustę Gucia! To, co w pierwszej chwili wziął za dziwaczny żart, teraz urastać zaczęło do poważnego problemu. Wiele razy potem zagadywał swoją żonę na ten temat, ale ona udawała, że nie ma zielonego pojęcia, o co mu chodzi. Kiedy próbował ją wziąć w ramiona, kamieniała w nich spięta i zdenerwowana. Dopytywana bąkała trzy po trzy w zasadzie bez sensu tak skrepowana, że doktor zastanawiał się, co złego zrobiła, do czego nie chciała się przyznać. Ciężko mu było z tym i źle. Wiele razy obiecywał sobie, że radykalnym cięciem przetnie ten wrzód niedopowiedzeń i nieporozumień, ale nie potrafił tego zrobić, bo Bogusia stosowała jakieś dziwne uniki, wiała się, by tylko nie dopuścić do szerszej rozmowy. Czasem widział, że wpatruje się w niego z tym samym świeżym zachwytem, jak to było w narzeczeństwie, ale wystarczyło, że zbliżył się do niej, by go odrzucała. Skołowany był tym i nic nierozumiejący. To trzeba jakoś rozsupłać – z takim postanowieniem wstał tej niedzieli, wyszedł na ganek, ledwie naciągnąwszy na siebie spodnie i w samej bonzurce. Zaciągnął się wonnym, mroźnym powietrzem i poczuł przyływ energii. Trzeba działać – upewnił się w myśli. Już miał wejść do organistów poprosić o kawę, kiedy usłyszał zza zamkniętych jeszcze drzwi odgłosy wymówek, żeby nie powiedzieć drobnej awanturki.

– Pewnikiem znowu zostawiła łyżki w gornkach na kominie! Nikt w tym domu nie ma posanowania dla mojej pracy, zdrowia, sił! – grzmiał organista.

– Jaki to sie delikotny zrobił! Abo to letnik jaki jezdeś? – odpowiedziała mu organiścina tak zaczepnie, że Jasiek wiedział, iż na tym wymiana zdań się nie zakończy.

Wrócił więc do izb Gustawa. Ten już wstał. Chlapał się w umywalni, zaglądając uważnie w lusterko powieszzone za podpórkę na parawanie.

– Czy ty nie wiesz, co wspólnego mają zostawione w garnku na kominie łyżki z poszanowaniem czyjegoś zdrowia? – zapytał, bo go małżeńska kłótnia organistów trochę rozbawiła, a trochę zaintrygowała.

– Tu taki przesąd jest, że jak gaździna zostawi łyżki w garze, to cała rodzina spać nie może – odpowiedział Gustaw i się roześmiał. Nagle zamilkł i znowu zerknął do lusterka. Zaskoczony był swoim śmiechem. Dawno tak się nie śmiał. Jakoś lekko tak, beztrosko. Co się zmieniło? Nie wiedział. – Ha, ha! – zaśmiał się na próbę znowu, ale już wyszło mu nienaturalnie i na dodatek wywołało kolejny atak kaszlu.

Charczał i charczał zwinięty wpół, przykucnąwszy na giętym krześle stojącym koło umywalni. Zatykał usta chusteczką, by nie zbryzgać krwawą wydzieliną dopiero co założonej niedzielnej koszuli. Uspokoił się trochę po chwili i odsunął chustkę od twarzy. Ku jego wielkiemu zdziwieniu widać tam było drobny ślad tylko kilku kropel.

Rozdział 21

Ten pierwszy mroźny dzień jesieni nie pozwolił Anastazji zbyt długo leżeć w łóżku. Wstała więc, kiedy usłyszała, że po drugiej stronie chałupy także się już pobudzili. Przeczucie czegoś szczęśliwego, nadzwyczajnego przepełniało ją i nie pozwalało usiedzieć w miejscu. Najchętniej pobiegłaby do Gustawa, obudziła go, na własne oczy zobaczyła, jak postępuje leczenie. Tak, wiedziała, że jego choroba jest poważna, że trzeba uzbroić się w cierpliwość, że nie tak od razu, ale nie potrafiła spokojnie usiąść na ganku i poczekać, aż Kaśka zrobi poranną kawę. Naciągnęła więc jesienny paltocik, granatowy z wyłożonym wąskim kołnierzem sięgającym z przodu niemal talii. Niedbale, ledwie dwiema spinkami przypięła do włosów niewielki kapelusz, sięgnęła po parasolkę, mufkę, bo już zimno było rankami, i torebkę w kształcie woreczka, taką by zmieściła się w niej książeczka do nabożeństwa i portmonetka, i wyszła.

Sygnaturka na kościelnej wieży już zwoływała wiernych na pierwszą mszę, a przed kościołem gromadzili się górale. Jeszcze nikt nie wchodził do środka. Ludzie stali oparci o zrobione z żerdzi przykościelne ogrodzenie, najstarsi siedzieli na zwalonym pniu przywleczonym tu właśnie po to, by było gdzie spocząć. Gazdowie wyciągnęli fajki z długimi, zagiętymi w kształt łabędziej szyi cybuchami. Wystukiwali popiół z główek, sękatymi paluchami czyścili je i nabijali nowym tytoniem. Pewnie zapalą dopiero po mszy, domyślała się Nastusia. Pogadywali. Ona też stanęła niedaleko i nadśluchiwała. Były to zwykłe pogawędki o tym, że na polach już zasiane, a niedługo owce wrócą z hal, że letniki się zbierają i na następne dutki trzeba będzie czekać do lata, że w sobotni wieczór znowu młodzi chłopcy pobili się w karczmie i pewnie posiekliby się ciupagami na śmierć, ale Bartuś Obrochta tam akuratnie był – wyciągnął swoje skrzypki i jak zaczął grać, tak wszyscy ruszyli w tany, a najpiękniej tańczył Szymek od Talarów. Ledwie o tym powiedziano, a jeden z młodziaków stojących wedle płota wziął się pod boki i skoczył parę razy na ugiętych nogach tak wysoko, że Nastka aż zachichotała po cichutku, chowając twarz w futerku, którym obszyta była mufka. Doszły ją też wieści niepokojące, bo w stojącej niedaleko grupce gaździn opowiadano sobie, że paskudna choroba wlaźła do wsi, a z Jędrzejem Rojem to już całkiem niedobrze i że trzeba by w jego chałupie drzwi i okna pozabijać deskami, żeby zaraza się nie rozwlekła po

wsi. Anastazja nie miała pojęcia, kto to jest Jędrzej Roj, ale obruszyła się na ten barbarzyński zwyczaj, bo przecież jak kto chory, to wymaga opieki, a nie żeby go tak samiutkiego zostawić w zabitej deskami chacie. Ale przejąc się tym dogłębniej nie zdołała, bo chłopak kościelnego mocniej szarpnął za sznurek sygnaturki, a ona zadźwięczała ponagłająco i lud ruszył się spod tego płotu, z pniaka i ludzie zaczęli wchodzić do kaplicy. Weszła i ona.

Modrzewiowy kościółek wypełniał się szybko. Nastusia stanęła tuż przy wejściu, bo w środku panował zaduch unoszący się z głów wysmarowanych jęlczejącym masłem, cuch przesiąkniętych tytoniowym dymem, koszul za rzadko pranych. Koło drzwi nie było gdzie usiąść, ale za to owiewał ją lekko chłodny powiew świeżego powietrza. Organista wziął pierwsze nuty i zaciągnął melodię, którą Nastusia dopiero po chwili rozpoznała. Już miała podchwycić łacińską frazę: *Stabat mater dolorosa*, ale wstrzymała się, bo usłyszała, jak stojący obok niej gazdowie i gaździny z wielkim przejęciem wypiewują, przekręcając nieznane sobie słowa: *Statyr matyr deleruze, wišta kluce laceruze*²². Rozbawiona rozejrzała się wokół i napotkała wzrok wpatzonego w nią człowieka. Rozpoznała go w jednej chwili. To był Jędrzej Krupa, brat Kaśki, którego widziała podczas swojej pierwszej wyprawy na Gubałówkę. Nie chciała się do tego przed sobą przyznawać, ale jego obraz jakoś wżarł się w jej pamięć i prześladował, choć uważała myślenie o nim za niestosowne. Bo gdzie?! Jak można?! Przypominały jej się szeptane po salonach potwornie gorszące plotki o takich, które dla mężczyzn porzucały niewieścią godność i wstyd. Płaciły za to niewyobrażalnie wysoką cenę, bo wyrzucane były poza obręb towarzystwa i gdziekolwiek by się nie pojawiły, tam odwracano się od nich ostentacyjnie. Nie było ich wiele, ale plotkowano o tym zawzięcie z minami świętoszkowatymi i pełnymi potępienia. Śmierć lepsza od takiego losu! A jeszcze gdyby się komu przyznała, że jej myśli biegną do zwykłego chłopca? Nie! To niepodobna!

²² Za: Agnieszka Lisak, *Sielankowanie pod Tatrami*, Wołowiec 2019.

Tak myślała Nastusia, ale czuła, że pod wpływem wzroku Jędrka rumieni się coraz bardziej. Zerknęła jeszcze raz, a on nadal stał wpatrzony w nią i kiedy znowu ich oczy się spotkały, skinął głową tak, jak zwykli to robić ludzie z jej sfery w podobnych sytuacjach, i odwrócił się w kierunku

ołtarza. Ale Anastazja wiedziała, że to nie obojętność. Jemu też na policzki wyszedł delikatny rumieniec, widziała, jak pierś podnosi mu się szybko, jakby zdyszał się, biegnąc, i ręce, w których trzymał kapelusz, mocno przyciskały się do piersi tym ruchem, jakim uspokaja się bijące zbyt szybko serce. To wszystko spowodowało, że dziewczyna przestała zauważać, co dzieje się wokół, przestała słyszeć. Choć rozdzielało ich wiele osób, to ona tak była skupiona na tym jednym człowieku, jakby on tylko istniał na tym świecie, a reszta to mgła.

Nie wiadomo, jak to się stało, że ci inni, co niby tylko byli nieistotnym oparem, w swoim modlitewnym rozkołysaniu i rozśpiewaniu, swoimi przyklękami i wstawaniem popychali ich do siebie i nie wiadomo, jak Jędrak i Nastusia znaleźli się tuż obok. Jeszcze jedno zafalowanie tłumu i wesprzeć się musieli o siebie ramionami. Jedno o drugie. To siła jakaś ich pchnęła i skleiła. Jeszcze na pensji panny Mrozińskiej profesor fizyki prezentował im, z jaką mocą przyciągają się dwa namagnesowane kawałki metalu, i teraz doznawała działania tego magnetycznego pociągu na sobie. Stali więc tak z ramionami przywartymi do siebie i Nastusia czuła ciepło, które płynęło z jego ramienia do niej. Rozchodziło się ono po każdym zakamareczku jej ciała i zamieniało w czułość, szczęście, uniesienie. Naraz dłoń jego otarła się o jej dłoń. Ręce odskoczyły od siebie przerażone własną śmiałością i zaraz zatęskniły za ponownym dotykiem. Spojrzała na niego niepewnie, ukradkiem i złapała jego spojrzenie. Patrzył już uważniej i z jaśniejącą radością w oku. Nie! Nie! Wpiła wzrok w księdza, który stanął przed ludem, by wygłosić kazanie. Nie była w stanie zrozumieć, o czym mówi. Jej dłoń znowu opadła wzdłuż ciała. Pulsowała pragnieniem, by jeszcze raz być choć muśnięta dotykiem stojącego obok mężczyzny. Doczekała się. Jego ręka znowu przylgnęła do jej dłoni, a ponieważ Anastazja nie cofnęła swojej, jego palce delikatnie i powoli oploty jej palce i trwały tak nie wiadomo jak długo. Dziewczynie wydało się to mgnieniem, ale czasu musiało upłynąć znacznie więcej, bo do jej uszu dotarły słowa: „Idźcie w pokoju Chrystusa”, a zgromadzeni zaczęli się odwracać i powoli wychodzić z kościoła. Oni jednak dalej trwali przyklepieni do siebie i modrzewiowej ściany świątyni. Ten ruch i okropne pytanie, co dalej, otrzeźwiły na tyle Nastusię, że zdała sobie sprawę z tego, iż przez wieczność nie mogą tak stać, trzymając się za ręce. Że trzeba odwrócić się i wyjść na świat, który nigdy nie zaakceptuje ich kurczowo splecionych

dłoni. Ale rozpleść je to było zadanie przekraczające Nastkowe siły. Stała więc i patrzyła, jak ostatni z górali podchodzą do ołtarza, wyciągają zza pasów swoje fajki o długich cybuchach, ściągają wieczną lampkę i odpalają od niej ubity wcześniej w główce tytoń. Nawet się temu nie zdziwiła ani nie zgorszył jej ten, wydawało się, powszechny zwyczaj.

– Czy pani pozwoli odprowadzić się do domu? – Jędrzej otrzeźwiał pierwszy. Puścił jej rękę, choć palce dziewczyny wyprostowały się w poszukiwaniu jego dotyku.

– Tak, poproszę – odpowiedziała z przeświadczeniem, że niczego już tu ukrywać nie ma po co, bo ten uścisk dłoni powiedział wszystko.

Wyszli z kościoła z poczuciem, że zaszło między nimi coś ważnego, nieodwracalnego i potężniejszego niż te góry, które otaczały zakopiańską dolinę, i nie ma innego sposobu, jak się z tym pogodzić, bo odwrót już żaden na nic.

*

Do tej pory Bogusia spędzała czas w pokoju Agaty, czytając książki, w których można było znaleźć wiele fascynujących wiadomości o świecie i kosmosie. Ale kiedy Zośka, tak niesamowicie podobna do jej matki, wspomniała, że może tutaj dałoby się coś zrobić, by doczekać się dzieciątka, ta myśl ją opętała. Już nie unikała towarzystwa reszty domowników, a wręcz go szukała, nie śmiała jednak z tym swoim wielkim pragnieniem narzucać się nikomu. Aż po kilku dniach ta osoba tak nadzwyczajnie przypominająca Zofię Lutomierską przysiadła się do niej, kiedy pani doktorowa, pólężąc nowoczesnym zwyczajem na kanapie, udawała, że czyta książkę.

– Umówiłam wizytę u lekarza, obawiam się jednak...

– Boże, jak się cieszę! – Z tej radości Bogusia zapomniała o zasadach dobrego wychowania, które kategorycznie zabraniają odzywać się wtedy, kiedy mówi ktoś inny, na dodatek starszy. Ale słowa jej prawie matki zabrzmiały niemal jak obietnica, że już niedługo sama też nią zostanie! – Nie ma powodów do obaw!

– Badanie, może ci się wydać... hmm... nieco drastyczne. – Zośka czuła, że powinna przygotować Bogusię na to, co ją może czekać w gabinecie ginekologa.

– Proszę się nie obawiać, ja wszystko zniosę! Każdy ból! – Bogusia nie miała najmniejszych wątpliwości. Już czuła tkliwą, ale ogarniającą ją do reszty, do ostatka radość, że będzie jej dane przytulić maleńkie, słodkie ciałeczko, że pachnieć będzie jej dziecko mleczkiem, że przygarnie je i poczuje pod dłonią ciepłutką i najdelikatniejszą w świecie skórę na ramionkach, brzuszku i pupci! Rozpłakała się z nadmiaru tej czułości, a Zośka wzięła ją w ramiona i utuliła.

– No, już, kochana, no już – próbowała ją uspokoić i zrezygnowała z dalszych objaśnień. Niech się dzieje, co chce.

Może niesłusznie, bo doktor Stawrowa, kobieta już niemłoda i doświadczona, kiedy tylko zobaczyła je w drzwiach, powiedziała:

– Tu się wchodzi pojedynczo!

To wystarczyło, by Bogusia spanikowała i kurczowo złapała rękę Zośki.

– Może zrobi pani dla nas wyjątek, bardzo proszę.

Pani Zarębska jako żona doktora powinna być oswojona z gabinetami lekarskimi, ale to miejsce, z leżanką, której przeznaczenia nie sposób było się nie domyślić, z wielkimi lampami, ze stoliczkiem, na którym leżały jakieś przerażające narzędzia, wydało jej się straszne i cała dotychczasowa odwaga ją opuściła.

Lekarka spojrzała badawczo na jedną i na drugą kobietę i szybko zrozumiała, że tym razem nie będzie łatwo, westchnęła więc ciężko i się zgodziła. Wiele widziała. Takie sytuacje również. Przychodziły do niej matki z niepełnosprawnymi intelektualnie córkami. Tym razem była troszkę zaskoczona. Młodsza z jej pacjentek była śliczną dziewczyną i nie widać było po niej żadnych defektów, choć być musiały, bo zachowywała się dziwnie. Kiedy jednak usłyszała, o co chodzi, jej zdumienie nie miało granic.

– Dziecko? Pani chce mieć dziecko? Nie wiem, czy powinnam w tej sprawie pomagać!

Zośka darzyła ludzi sympatią. Uważała, że każdemu się ona należy na dzień dobry i trzeba było się nieźle napracować, by tę sympatię komuś odebrała. Ale tym razem poszło jej błyskawicznie.

– Pani nie zna sytuacji, pani nic nie wie ani o mnie, ani o niej, a zamierza decydować o tym, co tej dziewczynie wolno, a co nie? Nawet w sprawie tak delikatnej jak macierzyństwo? Proszę ją zbadać, proszę stwierdzić, czy jest zdrowa. Proszę skierować nas na badania hormonów.

– Pani jest jej matką?

– Tak! – Zośka odpowiedziała bez wahania.

– Pani zdaje sobie sprawę, że nakłanianie córki do macierzyństwa jest nieodpowiedzialne? Co będzie z jej dzieckiem?

Bogusia przysłuchiwała się tej rozmowie i wreszcie dotarł do niej jej sens. Zrozumiała, że jej zdenerwowanie odebrane zostało jak coś nienaturalnego, chorego. Nie mogła jednak dopuścić, by zmarnować szansę na zostanie matką.

– Pani doktor – odezwała się głosem najspokojniejszym, na jaki ją było stać. – Za długo bym musiała pani tłumaczyć, dlaczego ta wizyta jest dla mnie tak niepokojąca, ale proszę mi wierzyć, że jeśli tylko udałoby mi się powić dzieciątko, to zajmę się nim najczulej, jak się da.

Zaskoczenie doktor Stawrowej sięgnęło zenitu. Skąd, z jakiego skansenu przyszła do niej ta dziewczyna zachowująca się jak dzikuska i przemawiająca językiem niepasującym do dzisiejszych czasów? Ale w te sprawy rzeczywiście nie miała prawa się wtrącać.

– Zapraszam – mruknęła tylko, wskazując ruchem głowy na fotel.

Bogusia, choć trzęsły się pod nią nogi, postanowiła poddać się bez szemrania wszystkim wskazówkom.

– Proszę przygotować się do badania.

Dziewczyna nie bardzo wiedziała, jak to przygotowanie ma wyglądać.

– Musisz zdjąć wszystko, absolutnie wszystko, co masz na sobie od pasa w dół – podpowiedziała Zośka. – Nie, nie, spódnicę możesz zostawić – dodała, kiedy Bogusia i tej części garderoby chciała się pozbyć.

Samo badanie poszło w miarę gładko, choć było tak krępujące, że dziewczyna się popłakała.

– Zróbmy USG – zaproponowała lekarka, siadając przed dziwną maszyną. – To też nie będzie bolało, tylko pomoże mi zajrzeć do środka.

– Naprawdę?! – Teraz Bogusia była zdumiona, ale i uradowana.

W czasach, kiedy lekarze potrafili zajrzeć do środka do człowieka bez operacji, wszystko było możliwe! Gustaw na pewno zostanie wyleczony z gruźlicy, a ona poczne dziecko! Niech robią z nią, co tylko chcą! Postanowiła się niczemu nie dziwić, choć nie mogła opanować ciekawości i zerkała na urządzenie podobne do tego, którym zabawiała się wieczorami Zośka. Coś tam się ruszało, gdzieniegdzie błyskało.

– Ja tam nic niepokojącego nie widzę – skomentowała ten widok doktor Stawrowa i wypisała skierowania na badania. – Ale mimo to zalecam częstsze wizyty u ginekologa.

– Oczywiście – przytaknęły obydwie i czym prędzej opuściły gabinet, by zniknąć sprzed ciężkiego od potępienia wzroku lekarki.

Badanie krwi, na które udały się następnego dnia, jasno pokazało, skąd brały się problemy Bogusi. Poziom prolaktyny był stanowczo za wysoki. Doktor Stawrowa przepisała więc stosowne pigułki, kiedy przyszły do niej z wynikami.

– Za dwa tygodnie proszę ponowić badanie, zobaczymy, co się tam będzie działo – zaleciła i o ile Bogusia do tej pory modliła się codziennie o jak najszybszy powrót do swoich czasów, tak teraz chciała w tym dziwnym świecie zostać jeszcze przez te dwa tygodnie. Ale ani chwili dłużej!

Rozdział 22

One wszystkie tutaj powariowały – myślał sobie doktor Jan Zarębski, pakując się pospiesznie. Starał się nie robić przy tym zbyt wiele hałasu, bo jego szwagier jeszcze spał. Doktor musiał wejść na moment do jego sypialni, bo przy stojącej w rogu tego pokoju umywalni zostawił swoje przybory do golenia. Gustaw lekko pochrapywał. Tej nocy prawie wcale nie kaszłał, a chorobliwy rumieniec znikł z jego policzków. Jakaś remisja choroby – zastanowił się przez chwilę Jasiek. Wydało mu się to dziwne, bo w przypadku gruźlicy nagłe ustąpienie choćby części objawów praktycznie się nie zdarzało. Ale nie miał czasu nad tym rozmyślać. Za oknem już słychać było podjeżdżający wasiąg, a także głosy jego żony i jej matki. Żał mu było budzić Gucia, tak smacznie i zdrowo spał, lecz nie było innego wyjścia.

– Wstawaj, chłopie, nasze panie z inspekcją już są!

Gustaw przeciągnął się, a Jaśka doleciał zapach jego potu. Zdrowy, bez kwaśnego odoru gorączki.

– Jak ty się czujesz?

– Nadspodziewanie! Nadspodziewanie, mówię ci! – Niedowierzenie brzmiało w jego głosie, usiadł na łóżku i macał się po piersiach, ramionach, jakby chciał znaleźć tę chorobę, która go dręczyła już od tylu lat. Westchnął i od tego westchnięcia załaskotało go coś w gardle, zmusiło do kaszlu. Przytknął chusteczkę do ust przygotowany na dłuższy atak, ale nie, nic takiego, żadnego rwania w płucach, żadnych trudności ze złapaniem oddechu między kolejnymi atakami. Ot, po prostu, zwykły kaszel. Tak kaszłą czasem ludzie po głębokim śnie.

– Wstawaj, wstawaj – pogonił go Zarębski, a sam już pobiegł, by otworzyć paniom drzwi. Weszły we dwie. Anastazja tym razem im nie towarzyszyła i doktor był trochę zawiedziony. Przecież wiedziała, że wyjeżdżają już z Bogusią. Przyjęła tę nagłą decyzję z dziwną obojętnością. Zawsze mu się wydawało, że szwagierka go lubi, a tymczasem nawet jej nie zdziwiła ta niespodziewana zmiana planów, choć dla niego było to zaskoczeniem. Miał przecież zamiar wynająć mieszkanie i spędzić tutaj kilka jesiennych tygodni. Co prawda robiło się już chłodno, ale góry ubrały się tak pięknie w jesiennie barwy, że żał wyjeżdżać. Ale cóż było robić, kiedy jego teściowa wymyślała coraz bardziej absurdalne powody, by ich

wyprawić, a Bogusia, która do tej pory marzyła o podróży do Zakopanego, nagle zaczęła demonstrować wszelkie możliwe objawy tego, że pobyt tutaj nie służy jej zdrowiu, a może nawet zagrozić życiu. Szczególnie chętnie słańiała się na nogach i słodko opierała na nim. Brał ją wtedy za nadgarstek, by skontrolować puls, ale ona wyrywała mu rękę, narzekając, że jedynie jej przepływ krwi go interesuje, a to, co ona przeżywa, zupełnie nie. Szczerze mówiąc, miał dosyć tych dziwnych humorków żony. Uważał, że sytuacja dojrzała do tego, by odbyć jakąś zasadniczą rozmowę. Więc może i lepiej, że wracają. Tutaj nie było warunków do małżeńskich dyskusji. Coś się z jego Bogusią działo niedobrego. Taka się zrobiła drażliwa, płaczliwa. Dlaczego nie chciała mu jasno powiedzieć, co się stało? Gdzie znikło zaufanie, którym zawsze się darzyli?

– Dzień dobry, mam nadzieję, że czeka was miła podróż – przywitała go ulubiona teściowa i doktor odniósł wrażenie, że jest uradowana tym, że się pozbywa jego i swojej córki. To zupełnie było do niej niepodobne. Nie interesowały jej szczegóły ich wyprawy. Dopytywała za to: – A Gustaw już wstał, jak się czuje? Kaszlał w nocy?

Tak – dumiał dalej doktor Zarębski – to nie tylko z Bogusią coś jest nie w porządku. Może to i lepiej, że wracamy tak szybko. Tutaj wybuchła jakaś epidemia szaleństwa, bo przecież dawniej nie do pomyslenia byłoby, żeby pani Zofia zachowała się tak nietaktownie. To oni przecież odjeżdżali. Zatroszczyć się o Gustawa będzie miała jeszcze czas. A poza tym pani Gosztowiczowa była w takim stopniu czymś rozemocjonowana, że to aż niestosowne. Dama nie daje się ponosić ekscytacjom. Poczul się zagubiony w tym wszystkim. Tak, wyjechać, wyjechać. Z szaleństwem Bogusi może sobie jakoś poradzi, ale z grupowym amokiem jej matki i siostry będzie już znacznie trudniej. Niech się dzieje, co chce. Z taką myślą zapakował swoje manatki na wsiąg i wsiadł do niego żegnany pospiesznymi serdecznościami pani Zofii i znacznie bardziej szczerymi Gustawa. Co chłop, to chłop!

Pani Zofia zdawała sobie sprawę z niestosowności swojego zachowania zwykle w sekundę potem, kiedy już nieostrożne słowa zostały wypowiedziane, a gesty uczynione. Starła się wtedy jakoś nadrobić te swoje niedelikatności w stosunku do Janka, bo przecież naprawdę lubiła go szczerze i rozumiała, jak musi się czuć skolowany w tej sytuacji, ale wierzyła, że jak tylko Agata i Bogusia powrócą na swoje miejsca, to jej

córka znajdzie sposób, by załagodzić te wszystkie niezwykłości. Na razie najważniejszy był Gustaw. Ledwie się zbudził, kiedy zjechały z Agatą pod dom organisty. Wyszedł do nich i od tej pory pani Zofia nie mogła się powstrzymać od uważnego badania jego rysów, zabarwienia skóry, oddechu, napięcia głosu. Wszystko to wskazywało, że kuracja przywieziona z przyszłości działa! Ta myśl wprawiała ją w euforię, której nie potrafiła ukryć. Świeża, zaróżowiona cera Gustawa, pewna prężność w ruchach, lekkość oddechu uszczęśliwiały ją tak, że chciało jej się krzyczeć.

Gustaw także nie mógł usiedzieć w miejscu. Rozpierała go energia, jakiej nie czuł już dawno.

– Odprowadzę mamę – zaproponował, choć nie zjadł jeszcze śniadania.

– Pewnie masz nadzieję, że Kaśka poczęstuje cię swoim chlebem i oscypkami. – Zaśmiała się, choć w sercu czuła drobne ukłucie. Gdyby miało do czegoś dojść między Gustawem a tą chłopką, to byłaby to rzecz, którą trudno pochwalić.

– A gdybym miał, to co? – zapytał w odpowiedzi buńczucznie.

– Synku, z tego może wyniknąć jakaś krzywda dla tej kobiety.

Milczał.

– Bo przecież się z nią nie ożenisz! – dodała tonem, którym komunikuje się rzeczy oczywiste.

– No... nie – odparł. Jakże by mógł! Przecież przed nim tylko śmierć! Zmarkotniał, bo akurat dziś bardziej niż zwykle chciało mu się żyć, chciało mu się porwać w objęcia Kaśkę, zatańczyć z nią szalonego oberka, a potem, gdy już by się zmęczyli, całować ją do utraty tchu.

– Wyobraź sobie, że kiedy wchodziłyśmy do wasiága z Aga... z Bogusią, Kaśka wybiegła za nami i kazała mi po drodze kupić soli i zapalek. Na naszym Mazowszu to nie do pomyślenia.

– No to trzeba kupić. – Zaśmiał się Gustaw.

Śmiał się długo i nie zakaszłał. Pani Zofia zwróciła na to uwagę i dołączyła do tego śmiechu.

W Zakopanem w owym czasie były dwa sklepy. Pierwszy, większy, mieścił się w piętrowym domu Józka Krzeptowskiego przy ulicy Kościeliskiej numer osiem. Zajmował lokal na parterze, a prowadził go Żyd Riegelhaupt. Jak na zakopiańskie warunki sklep był nieźle zaopatrzony, a gdy jednak czegoś zabrakło, to pomocą służyła stara Frelichowa, która

prowadziła na Chramcówkach dużo mniejszy sklepik zwany przez górali „grzbietowym”, bo handel tam szedł tym, co kupcowa zdołała przynieść na własnym grzbiecie z Nowego Targu. Przy okazji załatwiała także indywidualne zamówienia.

Weszli do Riegelhaupta. Za ladą stała Żydówka o przywędniętej twarzy. Koło niej kręciły się jakieś dzieciaki, którym co chwila obcierała nosy lnianym fartuchem przepasującym brązową sukienkę ozdobioną koronkowym kołnierzykiem. Za nią na półkach piętrzyły się z jednej strony tasiemki, szpilki, chustki, zaraz obok świece, mydła, proszki do zębów, a jeszcze dalej paczki kawy, czekolady, pomadki. Dwie góralki stojące przed ladą z ożywieniem o czymś rozmawiały ze sprzedawczynią, ale widząc wchodzących letników, zamilkły, szybko dokończyły sprawunki i wyszły. Pani Zofii wydawało się, że mówiły o jakichś nieprzyjemnych wydarzeniach w Murzasichlu, ale nie zwróciła na to specjalnej uwagi. Dopiero kiedy dotarli do chałupy Kaśki i zastali ją czegoś przestraszoną, zaczęła dopytywać:

– To co się przydarzyło?

– Zaraza jakasik w Murzasichlu! Słabość napadłak Rojów! Staremu Jędrzejowi sie pomerło, resta lezy, frybra ich trzepie! Na Ustupie u Trepków zachorzała matka. Wynieśli ji do jaty, coby skonala na słomie!

Pani Zofia zbladła. Boże, jak to dobrze, że w ostatniej chwili udało się wyprawić Janka i Agatę! Toż on uważałby za swój święty obowiązek zostać tu i walczyć z chorobą!

– Chałubiński jeszcze jest w Zakopanem, trzeba go zawiadomić – zdecydował Gustaw.

– A ja do Jędrka lece! – zawołała Kaśka.

– Po co do Jędrka? – Nastka stała już od chwili w progu izby, ale jakoś nikt na nią nie zwrócił uwagi w tym rozgardiaszu. A jej widok powinien zaniepokoić matkę. Momentami wyglądała tak, jakby resztką sił powstrzymywała się od płaczu, by za chwilę popaść w rozmarzenie. Jednak szybko otrząsała się z niego, by znowu mruganiem powiek rozganiać rodzące się pod nimi łzy.

– Toz on prawie dochtór! – odpowiedziała Kaśka, wprawiając tym w osłupienie panią Zofię i jeszcze bardziej jej córkę.

Ale żadnych więcej wyjaśnień nie usłyszały, bo Kaśka owinęła się kraciastą chustą, zatuptała nogami obutymi w kierzpce i już jej nie było.

Doktor Tytus Chałubiński od kilku lat co roku latem zjeżdżał do Zakopanego i zatrzymywał się zwykle w chacie Staszeczka od Gąsieniców, co stała przy Kościeliskiej pod lasem. Cenili go zakopiańscy górale raczej nie dlatego, że leczył ich za darmo, ile bardziej za sprowadzanie do nich letników, za szalone wyprawy w góry z muzyką, wyżerką, nocowaniem pod gołym niebem, wieczorami pełnymi najdziwszych opowieści i jeszcze dziwszych tańców. Oj, podobało to się wszystkim, a najbardziej Hankowi od Krzeptowskich, na którego wołano Sabalik albo Sabała. Myśliwy był z niego zawołany i nie znalazłbyś w Tatrach zakątka, w którym by nie kłusował. A jak zagrał na swoich złobcokach²³, to nogi same podrygiwały do tańca.

²³ Ludowy instrument smyczkowy nieco podobny do skrzypiec. Złobcoki miały jednak znacznie węższe pudło rezonansowe i całe, włącznie z szyjką, zrobione były z jednego kawałka drewna.

O tych wyprawach z Chałubińskim myślał Gustaw, pędząc przez wieś. Dopadł Staszeczkowej chaty. Wali w ozdobnie okute wrota. Cisza. Wali jeszcze raz, ale widać w środku nikogo nie było, tylko deczko napity Sabalik wylazł zza węgła.

– Pon Aubiński wyjeżdżają – powiedział. – Posli do Jaśka Tatara, coby wasiąg nając.

Sabała trzeźwy czy pijany zawsze mocny był w nogach i mało który potrafił dotrzymać mu kroku. A jednak Gustaw jakoś za nim poradził nadążyć. Poszli obaj w stronę Tatarowej chaty na skróty przez potok, tylko po kamieniach trzeba było poskakać uważnie, bo każdy krok groził zsunieniem się w płytką, ale przeraźliwie zimną wodę. Właśnie Tatarka kroila świeży bundz, a Tatar butelkę wyciągnął, żeby opić zawartą z doktorem transakcję, kiedy młody Lutomierski wszedł do izby. Sapał głośno ze zmęczenia, a widząc to, doktor czym prędzej posadził go na ławie przy stole.

– Ostrożniej, drogi panie, nie przemęczać się – gderał życzliwie.

Gustaw machnął lekceważąco ręką i opowiedział o tym, co działo się w Murzasichlu.

– Ty, Tatar, już zaprzęgaj konia. Najpierw pojedziemy ocenić sytuację, bo to wygląda groźnie – zdecydował Chałubiński i Sabałę wysłał do doktora Urbanowicza ze Żmudzi, który w ten czas także bawił w Zakopanem. Wieczorem ugadają się obaj, co należy robić.

Tymczasem Kaśka pognała na hale Gubałówki do swojego brata. Bacował on tam z innymi, w wolnych chwilach przygotowując się do ostatniego rygorozum²⁴, bo Jędrrek studiował. Pierwszy²⁵ był z Zakopanego tak wysoko szkolony. Dysertację na temat wodolecznictwa już złożył na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego i została ona życzliwie przyjęta przez jego promotora profesora Mikulicza. Ten jeden egzamin mu pozostał, by zdobyć doktorski dyplom. Ale pomoc też musiał rodzinie, więc poszedł na hale na całe wakacje z kierdlem owiec i książkami za pazuchą.

²⁴ Dawniej ustny egzamin doktorski.

²⁵ Tak naprawdę pierwszym górale, który uzyskał wyższe wykształcenie, był Andrzej Chramiec, lekarz i społecznik tylko trochę młodszy od Jędrka.

Teraz jesień zapanowała w górach i dolinach, a tylko patrzeć, jak śnieg pokryje co wyżej położone łąki. Więc po bacówkach pakowano już puciery do klagowania²⁶ mleka na ser, płótna, na których żentycy odsączała się od bundzu, misy do rozdrabniania go i solenia, by powstała bryndza, foremki do oscypków i inny sprzęt.

²⁶ Wstępny etap wyrobu sera polegający na doprowadzeniu do ścięcia białka przez dodanie do mleka podpuszczki i lekkie podgrzanie.

Ściemniało się, gdy Kaśka dotarła do bacówki.

– To może być cholera! – Jędrrek był wyraźnie zafrasowany, kiedy Kaśka opowiedziała mu wszystkie plotki na temat szerzącej się choroby. – Trza nam jak najszybciej wracać.

Rano, kiedy słońce dopiero lekko zaróżowiło świat, juhasi otworzyli zagrody, uformowali z owiec wielkie beczące stado i pognali je w dół do Zakopanego.

Rozdział 23

A w Warszawie niby sto kilkadziesiąt lat później, a przecież jakimś dziwnym sposobem jednak niemal jednocześnie Bogusia nie marnowała czasu. Tak samo jak brat chciała skorzystać z niesamowitych możliwości medycyny. W głowie jej się nie mieściło, że za pomocą drobniutek jak koraliki pigułek można będzie poprawić coś, co zaszwankowało w jej organizmie. Zośka, tak bardzo podobna do matki, próbowała tłumaczyć tajemnicze rzeczy o szyszynce, którą podobno każdy ma w głowie, o tym, że ona produkuje tajemniczą substancję o nazwie hormon, że czasem jest go za mało, a czasem za dużo, że można ją, tę szyszynkę, pogonić do roboty albo spowolnić. Niby to wszystko było sensowne, lecz i tak przekraczało ludzkie wyobrażenie. Jedno pozostawało Bogusi. Ufać! Taka była skolowana tą nowoczesnością, że sama już nie wiedziała, w którą stronę to zaufanie ma skierować. Czy modlić się do Boga, czy dziękować Zośce, czy wielbić doktor Stawrową?

Na razie siedziała w gabinecie lekarskim z napięciem wpatrzona w lekarkę, a ta kiwała głową i śmiesznie cmokała, odczytując z ekranu komputera tajemnicze cyferki.

– Wydrukuję pani te wyniki, może się jeszcze przydadzą dla porównania, ale jest nieźle, całkiem nieźle – powiedziała wreszcie. – Teraz państwa kolej, proszę się brać do roboty.

– Tak, tak, oczywiście – przytaknęła jej Bogusia. – To co muszę zrobić?

Doktor Stawrowa do tej pory nie wiedziała, co ma sądzić o swojej pacjentce. Mimo zupełnie nietypowych początków znajomości czasem wydawało jej się, że to miła, dowcipna, zupełnie normalna kobieta, ale kiedy indziej, jak na przykład w tej chwili, potrafiła palnąć głupotę nie z tego świata.

– Pani Bogumiło, na litość boską, przecież pani jest już dorosłą kobietą, naprawdę muszę tłumaczyć, jak się robi dzieci?

Bogusia splonęła gwałtownym rumieńcem.

– Ach, przepraszam, rozumiem – szepnęła potwornie speszona.

– Niekiedy mam wrażenie, że urodziła się pani w dziewiętnastym wieku – zażartowała lekarka, a Bogusia parsknęła śmiechem.

– Wie pani, że ja też?

Od tej wizyty czas się pani Zarębskiej dłużył niemiłosiernie i zaglądała do lustra stojącego w sypialni Zośki po kilkanaście razy dziennie. A tam ciągle nikogo nie było.

– Przecież dobrze wiesz, że w waszych czasach podróże były znacznie dłuższe i bardziej facygujące niż dziś – próbowała ją uspokoić pani Przywarowa, ale doskonale rozumiała niepokój Bogusi i starała się jakoś zagospodarować jej czas.

*

– Kupiłam bilety na koncert inaugurujący nowy sezon w filharmonii – powiedziała pewnego razu. – To niezwykle wydarzenie. Piotr Anderszewski będzie grał III Koncert fortepianowy Beli Bartoka.

– Dlaczego niezwykle? – zapytała z udawanym zainteresowaniem Bogusia.

Z uprzejmości próbowała przezwyciężyć nastrój przygnębienia, jaki ją w tej chwili przytłaczał. Bo tak miała już od pewnego czasu. Albo niepokój gnał ją z kąta w kąt po całym mieszkaniu na warszawskim Imielinie, które jej wydawało się ciasną klatką, albo siedziała na kanapie zwinięta w kłębek, przytłoczona rezygnacją i bezradnością. Teraz też dla niepoznaki tylko trzymała w ręku atlas nieba i udawała, że ją to szalenie interesuje, by uchronić się od pełnych niepokoju zabiegów Zośki mających na celu uprzyjemnienie jej czekania na chwilę, aż po drugiej stronie lustra zasiądzie Agata. Bogusia przeczuwała, że Zośka martwi się o swoją córkę, ale nic oprócz tego, by odpowiedzieć uznaniem na jej starania, nie potrafiła dla niej zrobić.

– Och, tobie przecież nic nie mówią te nazwiska – zorientowała się Zośka i zaczęła wyjaśniać, że Anderszewski to niezwykle utalentowany pianista, a Bartok jeden z największych kompozytorów dwudziestego wieku, że obu łączy węgierskie pochodzenie.

– To wspaniale. – Z rażącą nieszczerością ucieszyła się Bogusia i dodała tonem grzecznej panny: – Bardzo chętnie wysłucham tego koncertu, na pewno będzie interesujący. Dziękuję.

Zośka westchnęła głęboko i z pewną rezygnacją. Ona też tak bardzo nie mogła doczekać się powrotu Agaty, że nawet ten sensacyjnie zapowiadający się koncert nie wzbudził w niej należytego entuzjazmu. Poszły jednak.

Zośce zwykle wystarczyło otworzyć ciężkie drzwi prowadzące do budynku filharmonii, minąć eleganckich i uprzejmych bileterów, by poczuć, że wstępuje do niezwykłego miejsca, do którego dojścia nie mają codzienne troski ani kłopoty. Ale tym razem sunęły one za nią jak postrzępiony ogon wojowniczego koguta, niby barwne i niezwykle, ale widać po nich steranie i ślady walk. Agata nie schodziła jej z myśli. Kiedy wyciągnęła telefon, by go wyłączyć przed koncertem, naszła ją ochota, by wybrać numer córki i zadzwonić, choć doskonale wiedziała, że komórka Agaty leżała na biurku w jej pokoju i pewnie już dawno się wyładowała. Westchnęła więc tylko ciężko i popatrzyła na Bogusię.

Dziewczyna rozglądała się wokół z nieco zawiedzioną niecierpliwością. Ten szum, blask, którego spodziewała się po takim miejscu, ani nie szumiał, ani nie błyszczał. Toalety pań były nędzne. Szmatki! Gdzie podział się kunszt krawiecki przemieniający kobietę w barwnego motyla? Gdzie staranność w upięciu włosów? Gdzie smak w doborze biżuterii? Gdzie urok spojrzeń rzucanych znad wachlarza czy choćby wścibskość teatralnych lornetek? Sama też czuła się odarta z tego wszystkiego i tym mocniej zatęskniła do swoich czasów.

Miejsca miały na parterze i weszły na widownię po drugim dzwonku. Sala była już prawie pełna. Fotele w ich ósmym rzędzie niemal wszystkie zajęte. Tylko miejsce koło Bogusi stało ciągle puste, choć zabrzączał już trzeci dzwonek. Pierwszy skrzypek podszedł do stojącego pośrodku sceny fortepianu i nacisnął jeden z klawiszy. Do, re, mi, fa, sol, la! La, la, la! Zadźwięczało w głowie Bogusi przypomnienie śpiewanych na pensji solfeży, a orkiestra rozpoczęła strojenie instrumentów.

Dla Zośki ten harmider dźwięków był zwykle miły. Dziś także. Wreszcie przestała nieustannie kontrolować, w jakim nastroju jest jej tak podobna do Agaty podopieczna, i sama, jakby też była instrumentem, zaczęła dopasowywać się do tonów płynących ze sceny i szukać w swoim wnętrzu ich echa.

La, la, la! Coraz bardziej jednorodnie odzywały się na scenie instrumenty, światło zaczęło przygasać i w tej ostatniej chwili przed rozpoczęciem koncertu ktoś, przepaszając wszystkich wokół, pospiesznie zajął wolne miejsce obok Bogusi. To był mężczyzna i ona, nawet nie zerknąwszy na jego twarz, poczuła, że to ktoś niezwykle istotny, miły, bliski. La, la, la! Zgodnym tonem odzywała się już orkiestra, a ona, choć oczy miała

wpatrzone w muzyków na scenie, wszystkimi innymi zmysłami poznawała go. Jakiś fluid szedł w jej stronę. Zapach, ciepło, drgania powietrza wszystko tak swojskie, tak umiłowane, tak pożądane.

Rozległy się oklaski. To ciemnowłosy dyrygent ze szpakowatą bródką wyłonił się zza kulis, a Bogusia, korzystając z tego, że na scenie zaczęło coś się dziać, zerknęła na sąsiada. Zerknęła i już oczu od niego nie mogła oderwać. Obok niej siedział jej Jachniczek, jej Jasiek najukochańszy! Ubrany był jak wszyscy wokół w najwyższym stopniu niestosownie, ale to był on! Takie spodnie z jakiegoś ohydneho niebieskawego drelichu mógł co najwyżej włożyć ogrodnik do pracy, koszula z niechlujnie rozpiętym kołnierzykiem aż prosiła się o muszkę, marynarka w drobną kratkę udawała styl angielski i do reszty zupełnie nie pasowała, ale to był on! Bogusia wręcz czuła, jak płyną od niego spokój i bezpieczeństwo. Furda²⁷, hocki-klocki z czasem. Furda nieznośnie nowoczesny świat. Furda jego robocze portki i brak monoklu, który tak bardzo dodawał mu dostojęstwa w jej prawdziwych czasach, kiedy mężczyźni takie monokle nosili. To był jej Jachniczek, a wszędzie tam, gdzie był on, i ona mogła znaleźć swoje miejsce i szczęście.

²⁷ Rzecz błaha.

Oklaski. Za fortepianem zasiadł postawny i przystojny szatyn. Bogusia ledwie to zauważyła. Wpatrując się w Jachniczka, chyba ściągnęła go wzrokiem, bo zerknął na nią i uśmiechnął się tak, jakby ją poznał. Ukłonił się, z lekka unosząc z fotela, a ona strasznie się speszyła. Ledwie skinęła mu głową. Ze sceny popłynęła kakofonia dźwięków. To orkiestra robiła hałas niedostatecznie podporządkowany zasadom harmonii, o której mówiono na lekcjach muzyki na pensji panny Mrozińskiej w Warszawie. Prywatna nauczycielka Bogusi i Anastazji, panna Dulpy, ta, w której swojego czasu niesamowicie zakochał się jej ojciec, była bardziej łaskawa dla takich dzikich tonów. Widziała w nich autentyczność wolnego ducha. Niemal natychmiast do orkiestry dołączył fortepian z dziwnym, niespokojnym rytmem, z melodią pierwotną, niepokojącą. Słyszała to Bogusia i jednocześnie widziała, że na twarz Jaśka wypłynął błogi uśmiech zachwytu, że leciutko kołysał ramionami, jakby on sam był trawą puszczy węgierskiej, którą pewnie słyszał w tych dźwiękach, jakby go owiewał ciepły wiatr. Pod wpływem tego wszystkiego przypomniało się Bogusi, jak

pierwszy raz zobaczyła go siedzącego przy fortepianie i grającego jakieś rwące do tańca oberki i poleczki. Zima wtedy była i do ich dworu w Lutomierzycach zwałił się kulig z lekko podpitymi już sąsiadami. Hulano po wszystkich pokojach! Młodzi strzelali hołubce, starzy drobili nogami w obereczku, panny w mazurku szumiały spódnicami, a ich matki czekały na tęskne nuty kujawiaka, by pokołysać się w nim, nie narażając się na nietwarzową zadyszkę. Tylko Jasiek siedział przy fortepianie i wygrywał te wszystkie rytmy, a ona stała obok zasłuchana. A kiedy towarzystwo już padło zmęczone na ustawione wokół pokojów sofę i fotele, on grał jeszcze, ale już tylko dla niej.

Doktor Tomasz Wróblewski ledwie zdążył na koncert, bo jak zwykle żał mu było ostatnim pacjentom powiedzieć, że czas jego urzędowania się skończył, a numerki wyczerpały. Nie rozumiał w ogóle, jak można używać podobnych terminów – „urzędowanie” i „numerki” – w dziedzinie tak istotnej jak dbałość o ludzkie zdrowie. Dlatego panienki w rejestracji zawsze do niego kierowały tych, którzy mieli jakieś niecierpiące zwłoki problemy i nie mogli czekać do następnego dnia. Skutek był taki, że trudno mu było przewidzieć, kiedy skończy pracę. Ale na ten koncert musiał zdążyć. Ostatecznie niecodziennie występował taki artysta jak Piotr Anderszewski. Do wielbicieli Bartoka doktor Tomasz się nie zaliczał i nawet uważał, że pianista sięgnął po tego kompozytora tylko z sentymentu, bo sam był pół Polakiem, pół Węgrem, i tym był zawiedziony. Jego zdaniem wirtuozeria i niezwykła wrażliwość artysty stworzone były do interpretacji takich mistrzów, jak Mozart czy Bach, a nie Bartok. Ale w miarę słuchania coraz bardziej porywały go temperament, brawura i jakaś dziwna dzika słodycz płynąca ze sceny. Choć ta słodycz swoje źródło miała nie tylko w muzyce, ale i w dziewczynie zajmującej sąsiednie miejsce. Odniósł wrażenie, że już ją gdzieś widział, i nawet był zdziwiony, że nie pamiętał gdzie. Nie mógł przecież zapomnieć takich rozświetlonych zachwytem, słodkich oczu, warkocza gęstych popielatych włosów, pięknie wykrojonych ust i trudnej do zdefiniowania, lecz promieniejącej z każdego ruchu tej dziewczyny dystynkcji, delikatności. Słuchał więc koncertu w zachwycie, aczkolwiek odrobinę nieuważnie. Tak było aż do finału. Triumf radości, żywiołowości przetaczał się nad głowami słuchaczy w granych nutach tak nieokiełznany jak wody górskiego strumienia, by nagle zamrzeć ciszą. Koniec. Buchnęły brawa.

– Co za temperament! – Korzystając z powszechnego entuzjazmu, Tomasz postanowił nawiązać jakiś kontakt z piękną sąsiadką.

– W finale tak wyraźnie słychać było radość życia. Zresztą cała ostatnia część koncertu w tempie *allegro vivace* niczego innego sugerować nie mogła. I to nieskrępowanie i oryginalność współbrzmień. Tam brzmiały wolność i swoboda. – Bogusia z pewnym trudem wygrzebywała z pamięci całą teorię muzyki, którą z miernymi efektami próbowano jej wtłoczyć do głowy na pensji u pani Mrozińskiej.

Koniecznienależało podtrzymać rozmowę z Jachniczkiem. Zaczynała się przerwa. Jedyna okazja, by zatrzymać go, nie pozwolić mu zniknąć. Musieli wstać ze swoich miejsc, by przepuścić spieszących do bufetu innych widzów. Zatrzymali się w przejściu i tam dołączyła do nich Zośka. Jeden rzut oka na rozmówcę Bogusi wystarczył jej, by rozpoznać w nim współczesną wersję Janka Zarębskiego, a ona przecież wiedziała, jak istotne może się okazać to podobieństwo. Wiedziała, że przez wieki mogą się ciągnąć różne wersje miłości osób dla siebie przeznaczonych, obdarzonych podobnym zespołem genów. No, spotkały się dwie połówki jabłka czy pomarańczy, jak kiedyś mówiono. Nie mogła zostawić biegu spraw tylko w rękach Bogusi, musiała się wtrącić:

– Może przedstawiś mnie swojemu znajomemu, AGATKO?

– Proszę wybaczyć. – Młody człowiek w obliczu kobiety dojrzałej i najprawdopodobniej matki tego cudu, który zamierzał poderwać, postanowił zaprezentować pełną znajomość zasad dobrego wychowania. – Nie przedstawiłem się jeszcze, ale koncert był tak wspaniały, że domagał się natychmiastowego podzielenia się z kimś wrażeniami. Tomasz Wróblewski.

Uklonił się i nie wyciągnął pierwszy do Zośki ręki, co nagminnie robili różni młodzieńcy, kiedy się jej przedstawiali.

– Zofia Przywarowa. – To do niej należał wybór, czy uścisnąć dłoń przedstawiającego się jej człowieka, czy nie. Miała na to ochotę, więc wyciągnęła do niego rękę. – Moją córkę, Agatę, już pan poznał.

Bogusia, speszona przypomnieniem, że w tym świecie gra rolę kogo innego, dygnęła po pensjonarsku. Infantylnie to było strasznie, ale Tomasz był tak zauroczony nie tylko jej wyglądem, ale i tym, że dziewczyna potrafiła powiedzieć parę sensownych zdań o muzyce, że nie zwrócił na to uwagi.

Rozdział 24

A w Zakopanem cholera rozsrożyła się na całego.

– Na Pardołówce zachorował młody Filipek, ledwie gazdować zaczął na swoim – opowiadał Jędrek. – Zakopali go po szyję w ziemi twarzą do lasu, by nie mógł patrzeć na swoją zagrodę. Pytam: dlaczego? A baby w chałupie mi jedna przez drugą tłumaczy, że nie wolno, by widział świat i ludzi, bo inaczej wszystko wymrze. Strach rodzi najbardziej niedorzeczne pomysły!

Wieczór był. Mgły snuły się po dolinach, wciskały się do chat zgniłym powietrzem i wydawało się, że to one ciągną za sobą zarazę.

Obercoń z Żywczańskiego szedł ścieżką nad potokiem, przewrócił się i leżał, aż go podnieśli synowie, bo nikt z przechodzących nie odważył się go dotknąć. Bogatą wdowę Pęksinę cholera dorwała w oborze przy dojeniu krów, na Skibówce dwie zagrody były już zapowietrzone. Takie wieści powtarzało sobie towarzystwo zgromadzone na podwórzu chaty Kaśki. Choć jesień już przyszła, to jej letniczki jeszcze nie wyjechały, co bardzo cieszyło gaździnę. Jeszcze bardziej cieszyło ją to, że coraz częściej zachodził do nich Gustaw Lutomierski, a dziwiły ją wizyty jej brata. Choćby dziś Jędrus po całym dniu biegania koło chorych jakoś znalazł siłę, by jeszcze do niej zajrzeć.

– Choroby mi do dziecków nie prziniesies? – martwiła się, choć zawsze rada go widziała.

On uśmiechnął się na to jakoś dziwnie, ni to do niej, ni to do Anastazji, i tłumaczył, że to choroba, od której dość łatwo się uchronić, bo tylko ręce trzeba myć, czystość zachować i najważniejsze: pić i jeść czyste i przegotowane, bo temperatura zabija zarazki.

Słyszając to, pani Zofia tym gorliwiej zaczęła dmuchać w malutkie palenisko samowara, by woda na herbatę porządnie się zagotowała. Przy ścianie chałupy od strony sadu położone były kłoc drewniane, na których tak wygodnie było siedzieć, patrzeć w góry, które piętrzyły się w sinawym od mgły powietrzu, i dumać nad pięknem i okrucieństwem tego świata. Prosty stół stał przed tymi kłocami i tam przez całe lato piło się poranną kawę i niekończące się wieczorne herbaty. A i teraz, choć jesień już była w pełni i chłód na dworze, to i pani Zofia, i Anastazja, Gustaw i Jędrek chętniej tu siedzieli niż w chacie, opatulwszy się w grube wełniane zapaski, jesienne paltoty czy cuche. Rozmawiali. Słowa dotyczyły śmierci,

ale oczy mówiły o miłości i wydawać by się mogło, że to bardzo romantyczne. Ktoś mógłby się spodziewać, że na podwórze Kaścynej chałupy zjedzie zaraz Goethowski Król Olch i zmrozi siedzących tam ludzi groźbą śmierci niepojętej i zakłętej w pięknych słowach albo może tajemniczy Giaur skarżyć się będzie zaraz, że „twarde serce, gdy miłość skaleczy, tej rany nigdy już czas nie uleczy!”²⁸. Lecz nie. Kostucha w ich rozmowach była odrażająca w swojej fizjologii. Nic w niej nie zostało z patosu, a miłość niekoniecznie obiecywała szczęście.

²⁸ George Byron, *Giaur*, przeł. A. Mickiewicz, Warszawa 1982.

– Najważniejsze w leczeniu cholery jest podanie choremu dużej ilości płynów. Organizm odwadnia się z powodu wodnistej biegunki i wymiotów – opowiadał dalej Jędrzek, a pani Zofia z niepokojem spojrzała na syna. Któreś z jej dzieci powinno powstrzymać tego człowieka przed ujawnianiem aż tak drastycznych szczegółów! O tym się nie mówi przecież w towarzystwie!

Lecz na Gustawa nie miała co liczyć. Chyba nie bardzo zdawał sobie sprawę z niestosowności tej rozmowy, bo z wyrazem z lekka nieprzytomnego rozmarzenia gonił wzrokiem za Kaśką, a ta usiedzieć na miejscu nie mogła, bo a to dzieci do snu zaganiała, wyjątkowo pilnując, by obmyły się w cebrze, a to kołaczków świeżych przyniosła, które właśnie w piecu nabrały pięknej rumianej skórki, a to do obory podskoczyła, bo krowa już wydojona, ale jeszcze napoić by się ją zdało. Nie podobały się pani Zofii te zagapienia Gustawowe, bo to jedna rzecz w tajemnicy skorzystać z wdzięków jakiejś chłopki, co nie jest godne pochwały, ale się zdarza, a zupełnie inna jawnie i z uwielbieniem na taką spoglądać. Sam Gustaw tego może jeszcze nie odczuł zbyt mocno albo uwierzyć nie mógł, ale pani Zofia widziała wyraźnie, że kuracja pigułkami dostarczonymi przez Agatę z przyszłości czyniła zadziwiające postępy. Kiedy wydawało się, że śmierć wisi nad Gustawem, jego matka gotowa była tolerować wszystko, co tylko mogło umilić synowi ostatnie chwile życia. Ale teraz postanowiła się z nim kategorycznie rozmówić. Toż on gotów swoim postępowaniem wywołać skandal!

Tak postanowiwszy, przeniosła wzrok na Anastazję i zdrętwiała ze zgrozy! Ona знаła te uczucia, które malowały się na twarzy jej córki. Tak przed laty sama patrzyła w romantycznie rozmarzone oczy Kazimierza

Lutomierskiego. Pamiętała, że nie było takiej siły, która zdołałaby jej wyperswadować miłość do Kazimierza, późniejszego męża, i mimo że wielu jej odradzało, mimo że rodzice się kategorycznie sprzeciwiali, to ona łzami, prośbami, zapewnieniami, że bez niego życie jej się skończy, wymogła jakoś na nich zgodę na ślub. Na swoje nieszczęście! Ale Kazimierz przynajmniej pochodził z jej sfery i wiersze Mickiewicza jej cytował. A ten o czym mówi?

– Niestety lud w strachu przed tą cholera ucieka się do dziwnych środków. Dziś byłem u chorego za Ustupem. Rodzina zalepiła mu odbyt woskiem, żeby zatrzymać biegunkę!

Zofia wręcz nie posiadała się z oburzenia. Ten człowiek... No, mówiąc prawdę, pani Gosztowiczowa pomyślała: „ten cham”, a potem się poprawiła na „ten prostak”, by wreszcie wyrazić się w myślach dostatecznie elegancko. Więc ten człowiek, mówiąc o tak ohydnych rzeczach, patrzył w oczy jej córki magnetyzującym wzrokiem uwodziciela, a ona temu ulegała!

– Ta rozmowa wydaje mi się zbyt niestosowna – w najwyższym stopniu oburzona przerwała Jędrkowi wywody. – Takie szczegóły nas nie interesują, a opowiadanie o nich świadczy o braku szacunku.

Wstała z zamiarem opuszczenia tego towarzystwa. Tak! Tym się kończy poprzestawanie z chłopstwem! O ileż zdrowsze wydały jej się w tej chwili stosunki panujące na Mazowszu. Tam nie do pomyslenia byłoby wieczorne picie herbaty z pospólstwem! Trzeba ratować dzieci! Trzeba je jak najszybciej stąd zabrać!

– Szanowna pani ma świętą rację – natychmiast zmitygował się Jędrak. – Najmocniej przepraszam.

– Myślę, że najwyższy czas już wracać do Lutomierzyc. Liczę, Gustawie, że ty także to zrobisz.

– Teraz, droga mamó? Kiedy każde ręce do walki z tą zarazą są potrzebne? Każda jako taka oświecona głowa? To nie byłby chrześcijański uczynek.

Tak odezwała się Anastazja. Jej Nastusia! Dziecko ciche i przez wszystkich chwalone za nienaganne maniery! To ten chłop, ten prostak rozpałił w niej bunt! To przez niego ośmieliła się nie tylko sprzeciwić matce, ale też zarzucić jej brak chrześcijańskich cnót niewieścich! To nie mieściło się Zofii w głowie.

– A co ja miałabym robić, moja droga? Odytykać te... – Gniew zapłonął w pani Zofii gwałtownym płomieniem. Na moment zapomniała o dobrym wychowaniu i ledwie usłyszała swój głos wypowiadający myśl tak niesamowicie gminną, grubiańską, spłonęła rumieńcem i chętnie wessałaby wypowiedziane słowa z powrotem. Ale się nie dało.

– Może mama gotować wodę z solą lub z cukrem i roznosić ją po zakażonych chałupach. Może zorganizować prelekcje o tym, jak chronić się przed chorobą – odpowiedziała Nastusia takim tonem, jakby nie zwróciła uwagi na matczyną złość i kompromitację. To doprowadzało panią Zofię do rozpacz.

– A ty, co zamierzasz robić?

– Będę pracować z Jędrkiem.

– O to właśnie przyszedłem prosić! – Tytus Chałubiński wyłonił się nagle z sieni Kaścynej chaty, co to prowadziła na przestrzał od wejścia aż tutaj, i zupełnie był nieświadomy emocji, które kryły się za deklaracją panny Anastazji. – Szczytny przykład Florence Nightingale²⁹ w ciężkich chwilach powinien przyświecać wszystkim paniom!

²⁹ Twórczyni nowoczesnego pielęgniarstwa, która zasłynęła m.in. organizacją opieki nad rannymi żołnierzami podczas wojny krymskiej.

Cóż miała na to odpowiedzieć pani Zofia? Tłumaczyć decyzję wyjazdu, narażając się na kontynuację tej skandalicznej dyskusji przy obcym człowieku?

– Mam nadzieję, że napije się pan z nami herbaty. – Uśmiechnęła się, uciekając w bezpieczny rytuał pani domu, i podsunęła mu filiżankę wonnego napar.

– Z chęcią – odparł i zaczął opowiadać, że pierwsze objawy cholery ma także ksiądz Stolarczyk i w związku z tym on jako lekarz czuje się zobowiązany, by przenieść się na plebanię, aby doglądać i jego. – Trudno przecenić rolę, jaką ksiądz może odegrać w zwalczaniu tej epidemii. Ufają mu tu jak mało komu. Co powie i nakaże, to święte. Więc trochę uwiązany będę, a choroba rozlewa się wszędzie. Gdyby panu Krupie udało się namówić panie do pomocy, to zasługi i jego, i pań byłyby nie do przecenienia.

Chałubiński przypocholebiał się i prosił, bo miłość do Tatr zlała się mu w jedno z miłością do mieszkających tu ludzi. Choć oni często byli chciwi, do zbójowania chętni, okrutni i w picciu gorzały nieumiarkowani, ale

nigdzie nie widział doktor ludu tak niepohamowanego w radości, tak pełnego fantazji, tak miłującego wolność. Kochał ich godkę, kochał ich taniec, kochał nawet zgrzytliwe zrządzenie złobców. Tak potrafił o tym opowiadać, tak prosić o pomoc, że pani Zofii nie pozostało nic innego, jak tylko się zgodzić i gotować tę wodę na kuchni Kaśki i robić napary, z czego się tylko dało, bo sama woda nie była tak skuteczna w leczeniu groźnego odwodnienia jak one.

Dla Anastazji ten wieczór był godziną próby. Ona aż nadto dobrze wiedziała, czym skończyć się może dla niej niestosowna miłość do Jędrka. Wiele razy zastanawiała się, jakby tu uciec od niej, ale myślała tak tylko rozsądną połową samej siebie. Bo druga połowa przeczuwała, że ona cała uschnie, rozpadnie się bez Jędrka. Co by rozsądna Anastazja nie powiedziała o złamanym życiu, społecznym ostracyzmie, potępieniu w towarzystwie i braku jakichkolwiek szans na akceptację wśród tych, z którymi żyła do tej pory, to ta głupia, zakochana Nastusia chlipała w odpowiedzi, że żadnego życia bez Jędrka nie ma, z akceptacją czy bez, i koniec! Teraz właśnie, podczas tej rozmowy, zdała sobie sprawę z tego, że wszelki opór jest daremny i jedyne, co może zrobić, to poddać się tej miłości i ponieść wszelkie jej konsekwencje.

Dlatego następnego dnia rano wstała, ubrała się i poszła. Jędrak czekał na nią tam, gdzie Czarny Potok wpadał do Foluszowego.

Rozdział 25

Codziennie spotykali się na ścieżce u zbiegu potoków i nie mieli wiele czasu na rozmowy o tym, co dzieje się z nimi obojgiem. Jakże im było o tym mówić, kiedy u Tatarów baba zległa porażona chorobą, a dzieciiska głodne się koło niej plątały. Stara Tatarka ją na derce zaciągnęła do drewnutni i położyła na snopku słomy, bo taki smród szedł od chorej, że wytrzymać było trudno. Jędrak musiał wody naciągnąć, Nastusia ściągnęła z kobieciny zabrudzone łachy, obmyli ją, odziali w czyste, napoili, zostawili lekarstwo, które Chałubiński na własny koszt sprowadził aż z Krakowa, i poszli dalej. Na Uboczu u Sobczaków cholera powaliła starego. Wszyscy w domu tak się bali ojca i dziada, że nikt nie śmiał go z chałupy wywalić, ale za to cała rodzina przeniosła się do obory, a on sam został. Febra go tak trzęsała, że łbem walił w ścianę, aż rumor szedł. Kacper, syn, tylko szmat mu nawrzucał na legowisko, żeby się ojciec okrył, ale to niewiele pomogło. Tu dla Jędrka i Nastusi do zrobienia było to samo. Mycie, oporządzenie pryczy, na której leżał chory, pojenie, zostawienie lekarstwa, tłumaczenie, jak z nim postępować. Potem jeszcze zachorowała Maryjka Bachledowa z Szymaszków, później Wacek Józkowy z Gładkiego, Maciej Sieczka, co przy Kasprusiowej ścieżce mieszkał, Amelka od Staszeczków, Klimek Roj i tak cały, caluteńki dzień.

Jakże im było mówić o miłości? Nie mówili. Ale ona patrzyła na niego i serce jej nabrzmięwało trudną do zniesienia czułością na widok delikatności, z jaką odnosił się Jędrak do chorych, a on nie mógł wyjść z podziwu nad jej dzielnością i zaradnością. Nic nie musieli mówić, bo ta wspólna praca, wspólny wysiłek i wspólny ból bardziej ich łączyły niż najwznioślejsze miłosne zaklęcia.

Na trzeci dzień to było chyba. Zaszli do Maryjki Bachledowej. Ku dobremu jej się miało, bo dreszcze przeszły, już nie wymiotowała i nieco przytomniej rozglądała się po lamusie, w którym ją złożono, i dziwiła się, gdzie to ona jest i czemu nie w izbie w swojej chałupie, tylko tu w rupieciarni, między starym, zniszczonym sprzętem, z głową opartą o sochę z przerdzewiałymi radlicami, czemu drewniany kubek z czymś do picia stoi na beczce, w której brakuje klepek.

– Chwała Bogu, coś mi się widzi, że będziecie żyć, Maryjko! – Ucieszyła się na ten widok Nastusia.

Maryjka była pierwszą ich z Jędrkiem pacjentką, po której tak wyraźnie widać było, że zdrowieje. Jaka to radość tak patrzeć na matkę dzieciom, kobietę spracowaną, ale potrzebną, którą się wyrwało z objęć śmierci! Nastusia czuła się szczęśliwa i tym bardziej wdzięczna Jędrkowi, bo bez niego na tej wiązce słomy między sochą i rozwalającą się beczką leżałby teraz Maryjkowy trup, a nie żywa kobieta. On uniósł wychudzone ciało gaździny, a ona poprawiała barłóg, na którym leżała chora, kiedy w drzwiach lamusa stanęła stara Bachledzina. Utkwiła ciężki wzrok w Anastazji. Nic nie mówiła, tylko wgapiła się w nią z takim potępieniem w oczach i jadowitym uśmiechem na ustach, że trudno było to znieść. Wydawało się, że pod ciasno zawiniętą kolorową chustką kłębiły się jej na głowie węże jak u Meduzy, najstraszniejszej z greckich Gorgon, o których uczyła się Nastusia na pensji panny Mrozińskiej. Od jej wzroku można było zamienić się w kamień, jak pouczyły greckie baśnie.

– Zdrowieje – odezwała się jednak do staruchy, by przerwać to milczenie, ale stara tylko splunęła pod nogi dziewczyny, odwróciła się i wyszła.

– Dlaczego? – Spojrzała bezradnie na Jędrka, a on aż czerwony się zrobił z zakłopotania.

Wiedział, że Anastazja na wdzięczność jego krajan nie może liczyć. Co innego Chałubiński! Temu się wdzięczność należała, bo to pan z panów, którego zainteresowanie góralskiemu ludowi pochlebiał, który nagonił do ich zapadłej pod górami wiochy ceprów gotowych płacić dutki za łóżko w izbie, byle posługę czy poprowadzenie przez górskie szlaki. Który własny grosz wydawał na lekarstwa dla nich. A zupełnie co innego dziewczyna, która z nim, Jędrkiem, po wsi chodzi i myje, podciera, poi, sprząta. Robi przy chorych to, czego nie chcieli czy co bali się zrobić najbliżsi.

– Nie spodziewaj się po ludziach wdzięczności – odpowiedział.

Pomyślał jednak, że to nie tylko o brak wdzięczności chodzi. Że źródłem takiego zachowania starej Bachledziny jest on sam i dopóki ludzie będą widzieć ciągle razem jego, chłopskiego syna, i ją, panienkę ze dworu, dotąd nie dadzą jej spokoju, aż zaszczują. A jemu się jakoś upiecze. Całym sobą czuł tę niesprawiedliwość, jednak wyrzec się Nastusi nie miał siły. Uciec gdzieś tylko we dwójkę? Ale gdzie? Myślał nad tym intensywnie.

Jakieś trzy tygodnie później, kiedy epidemia już wygasiała, na plebanii zebrali się ci, którzy najofiarniej pomagali Chałubińskiemu w walce

z cholera. Ksiądz Stolarczyk powoli przychodził do siebie, choć kiepsko z nim już było i doktor poważnie się tym martwił. Wieści o chorobie księdza dotarły także do Szaflar, których właściciel, pan Adam Uznański, cieszył się w okolicy powszechnym szacunkiem. To on zbudował pierwsze kąpielisko w Jaszczurówce, z którego korzystał także Gustaw. Z podziwem opowiadano sobie, że szaflarski pan kilka lat temu został przyjęty do Krakowskiego Towarzystwa Nauk, bo to on organizował wyprawy w najdziksze tatrzańskie miejsca, by zmierzyć szczyty gór, prowadził obserwacje pogody, a całkiem niedawno ukazała się jego książka *Dorzecze Białego Dunajca w Tatrach*, która była szeroko dyskutowana przez pasjonatów gór. On sam nie zaszczycił księdza Stolarczyka wizytą, ale przyjechała jego żona, pani Lucyna Uznańska, a z nią różni wspaniali ludzie. Zapowiadało się wydarzenie towarzyskie, jakiego jeszcze Zakopane nie widziało. Miał być ksiądz Eugeniusz Janota, który na co dzień na Uniwersytecie Lwowskim kierował Katedrą Języka i Literatury Niemieckiej, a poza tym był zapalonym taternikiem i współzałożycielem Towarzystwa Tatrzańskiego, obrońcą podhalańskiej przyrody. Był też Walery Eliasz Radzikowski, malarz i współautor jednego z pierwszych przewodników po Tatrach, byli Bronisław Gustawicz, Maksymilian Nowicki, którzy przecierali ścieżki badań naukowych nad przyrodą i kulturą Podhala, nie zabrakło także co znaczniejszych dam, które jeszcze przebywały w Zakopanem mimo jesieni i zarazy. Wiadomo, że bez pań takie spotkania nie mogą się udać, bo ktoś musi zadbać o francuskie ciasteczka nadziewane konfiturą, dopilnować zaparzania kawy. Dlatego zaproszono także panią Zofię Gosztowiczową *primo voto* Lutomierną, co prawda bez córki, co było dającym do myślenia niedopatrzaniem.

Pani Zofia grzecznie, lecz z delikatnym wytknięciem niestosowności takiego postępowania, za zaproszenie podziękowała na różowym bileciku i powiedziała, że bez Anastazji ruszyć się z Kaścynej chałupy nie może. Sam Chałubiński pofatygował się ucałować spracowane dłonie Zofii. Wszak od prawie trzech tygodni pani Gosztowiczowa nagotowała ozdrowieńczych napojów tyle, że beczkami je można było wozić. Jeszcze bardziej przykro mu było z powodu Anastazji, która przecież tak dzielnie pracowała nad opanowaniem epidemii. Jego przeprosiny zostały przyjęte i tym sposobem obie panie także znalazły się na plebanii księdza Stolarczyka. Takiego wydarzenia towarzyskiego nie można było przegapić.

Obie mogły co najwyżej słuchać, bo niewiele się znały na sposobach mierzenia wysokości szczytów, nie zastanawiały się do tej pory nad koniecznością ochrony świstaków i kozic, o czym z takim zapalem perorował Maksymilian Nowicki, jak się okazało profesor zoologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, ani nic nie wiedziały o wytyczaniu szlaków górskich. Nie miały też należytego pojęcia o cholercie, bo o niej najwięcej mówiono. Jędrak Krupa, którego również zaproszono, także w dyskusji nie brał udziału. Jemu, młokosowi i świeżemu lekarzowi, nie wypadało mądrzyć się w tak szacownym gronie, ale za to udzielał wszelkich informacji Nastusi i jej matce. Dlatego towarzyszył im niemal bez przerwy.

Za mała była zakopiańska plebania na tak liczne i znakomite towarzystwo, dlatego co rusz ktoś wychodził na zewnątrz, by oparłszy się o drewnianą balustradkę, postać chwilę na ganku, popatrzeć, jak w księżycowym świetle błyszczą szczyty gór, bo w jesienny wieczór bardzo szybko robiło się ciemno. Mimo że czuć było w powietrzu rażną świeżość nadciągającego przymrozku, to wokół chaty zgromadzili się górale, by pogapić się choć z daleka na to, jakich znakomitych gości ma ich ukochany pleban. Takiego proboszcza jak Zakopane to nie miał nikt! Tylko on pozwalał fajkę zapalić w kościele, baby gnał do roboty, jak za długo przesiadywały niby to się modlić, a jak ktoś się porządnie wyspowiadał, to i na pożyczkę u księdza mógł zasłużyć.

Pod płotem plebanii też niektórzy byli ważniejsi, a niektórzy stali cisi i skromni. Ale tym razem ludzie się garnęli do takiego cichego i skromnego. Klimek od Bachledów był jednym z tych, którzy nie lubili na siebie zwracać uwagi, lecz teraz musiał znieść powszechne zainteresowanie, bo wszyscy go wypytywali:

– A nie bojałeś się, Klimuś, co?

– A coś ty taki bogoc, że bez dutków robiłeś za gróborza?

On im odpowiadał tak, jak mówił jego świętej pamięci dziadek:

– Cyś bogoc, cyś chudobny, wse dostaniesz lopatom w rzyć i pódzies świntom ziemie gryż. A taki to świnty obowiązek, coby pogrześć każdego.

W czasie zarazy Klimek Bachleda był pierwszym grabarzem w Zakopanem. Sam się zgłosił do tej roboty.

Noc się rozgaszczała na świecie, coraz szerzej rozkładając swoje czarne spódnice. Na plebanii już dawno zapalono lampy. W kręgach ich światła

kłębili się ludzie, a tam, gdzie ich blask wymykał się przez otwarte okna, jak ćmy garnęli się górale, wyciągając szyje i podpatrując krakowskich, lwowskich czy szaflarskich panów, chłonąc każde ich słowo. Bo ciekawi byli, jakim cudem udało się tak szybko wygonić ze wsi zarazę, dlaczego tak niewielu umarło, a tak wielu powróciło do zdrowia. Doktor Chałubiński prawil:

– W przypadku cholery najlepiej podać proszki złożone z emetyku i ipekakuany. Najlepiej co kwadrans, aż do wystąpienia żółciowych wymiotów. To hamuje proces chorobowy, ale skuteczne jest tylko w początkowej fazie choroby. Potem podawałem środki pobudzające krążenie, najczęściej chininę.

– No i oczywiście – dodał doktor Urbanowicz z Litwy, który też akurat bawił w Zakopanem i także z poświęceniem walczył z cholera – podstawą jest higiena, czysta woda, świeże powietrze. Trzeba było namówić górali na otwarcie okien w ich chatach.

Wszystkim tym interesowała się oczywiście również Anastazja. Do tej pory tylko podawała ludziom do połknięcia proszki zawinięte w malutkie wafelki, teraz dowiadywała się, co one zawierały.

– Co to takiego jest ipekakuana? – dopytywała Jędrka.

– Rośnie w tropikalnych, wilgotnych lasach Ameryki Południowej. W medycynie używa się proszku, wyciągu czy nalewki z korzenia. – Pochylał się nad nią i nie potrafił zgasić zachwyty w swoich oczach, tak jak ona nie umiała patrzeć na niego bez uwielbienia. Wszyscy to widzieli.

– To wszystko bardzo mądre i piękne, o czym tu państwo mówicie – odezwała się nagle bardzo głośno pani Marcjanna Felicjańska, rodzona siostra pana na Szaflarach. Osoba to była godna z powodu tuszy, bogactwa stroju i lat. – Ale ja widzę, że zakopiańska zaraza jest też dla niektórych okazją do grzesznych i skandalicznych zachowań i związków. Tego tolerować nie możemy.

Dama ta skierowała spojrzenie swoich bladoniebieskich oczu na Jędrka i Anastazję, tak że nikt nie wątpił, kogo ma na myśli, mówiąc o tych niektórych. Nerwowy ruch wachlarza z ukrochmalonego na sztywno tiulu pokazywał ogrom wzburzenia tej damy. Drobne, siwawe loczki nad czołem skręcały się z irytacji. W izbie zaległa cisza. Stojąca obok córki pani Zofia zamieniła się nagle w czerwoną piwonię, a potem stanowczym ruchem

ujęła Nastusię za łokieć i wyprowadziła bezwolną na ganek. Zeszły po schodkach i zanurzyły w ciemność nocy.

Jędrak pognał za nimi. Już na Kościeliskiej rozjaśnionej tylko światłem księżycy pani Zofia odwróciła się do niego ze złością.

– Idź precz! – krzyknęła. – Wystarczy tego zła, które zrobiłeś! Wyjeżdżamy!

Rozdział 26

Od pamiętnego wieczoru w filharmonii Bogusia, w paskudnych, strasznie nowoczesnych czasach zwana Agatą, spotykała się z doktorem Tomaszem Wróblewskim z radością i przerażeniem jednocześnie. Całymi dniami wypatrywała w lustrze toaletki swojego sobowtóra, który Bóg wie co robił z jej mężem, jej Jasiem najukochańszym w tym Zakopanem, i obiecywała sobie, że już więcej na randkę z Tomaszem nie pójdzie. Jednak kiedy tylko zbliżał się koniec tygodnia, a więc i możliwość spotkania doktora, biła się z myślami: pójść czy nie pójść. A kiedy przychodził ten dzień i ta godzina, nie mogła się oprzeć, by nie spojrzeć jeszcze raz na twarz swojego Jachniczka, którą przywłaszczył sobie doktor Wróblewski. Z drugiej strony każde takie sam na sam z nim było dla niej niesamowitym stresem. Bogusia doskonale przyswoiła sobie to słowo. Niestety Tomasz był bardzo wymagającym rozmówcą, a to, co powinna wiedzieć dziewczyna z początku dwudziestego pierwszego wieku, w zasadniczy sposób różniło się od tego, co wiedziała Bogusia. Obczytywała się więc do upadłego w internetowych wiadomościach o pożarze katedry Notre Dame w Paryżu, o powodzi w Wenecji, która wcale nie była pierwszą ani wyjątkową, a zaraz potem dowiadywała się, że jest to związane ze zmianami klimatycznymi, i próbowała dociec, skąd one się wzięły. Kiedy o tym czytała, natykała się często na nazwisko Donalda Trumpa, jakieś tajemnicze protokoły z Kioto i porozumienia paryskie. Zaraz potem wychylała się z Internetu, tam żeglować nauczyła ją Zośka, sprawa brexitu, której Bogusia za żadne skarby świata nie mogła pojąć. Zdawała sobie sprawę, biedna dziewczyna, że to nie jest nawet drobna część tego wszystkiego, co powinna wiedzieć, jeśli nie ma wyjść w oczach doktora Tomasza na kompletną idiotkę. A wychodziła! Za każdym razem wychodziła! Złożoność tego współczesnego świata przerażała ją, a ogrom nieszczęść spływający z ekranu komputera przygnębiał. Pal diabli już tę katedrę, pewnie ją wyremontują, ale Wenecja? Nawet ci przemądrzali nowocześni inżynierowie nie mieli pojęcia, jak ją ratować przed zalaniem. Zniszczeniu może ulec miejsce, które w Bogusiniach czasach było marzeniem każdej panny na wydaniu z jej sfery. Tam koniecznie trzeba się było udać w podróż poślubną. Na mapie są punkty ważniejsze i mniej ważne, ale trudno było, zdaniem pani Zarębskiej, wskazać takie, które przebijałyby ją znaczeniem.

No może tylko Serock i Lutomerzyce w jej prywatnej hierarchii stały wyżej.

A mimo to, podśpiewując sobie: *Show me a peace of your heart, a piece of your love, I'm calling you up to getting down, down, down*, co było przebojem ostatniego lata, wyciągała z szafy znowu jakąś falbaniastą spódnicę Zośki i gruby sweter, bo robiło się coraz zimniej. Upięła warkocz na głowie w formie korony. Tak uczesane w jej epoce chodziły tylko chłopki, ale w czasach, w których się znalazła, ta gminna fryzura stała się modna za sprawą niejakej Julii Tymoszenko. Tak myśląc, Bogusia znowu zbliżyła się niebezpiecznie do problemu swojego całkowitego zagubienia w sprawach współczesności, ale tym razem obiecała sobie najsolennie, że będzie się w rozmowie trzymała wyłącznie tematów historycznych i poza problemy dziewiętnastego wieku nie wyjdzie. Tam jej doktor Tomasz nie schwyci na kompromitującej niewiedzy. I w tym jednak optymistycznym nastroju wyfrunęła z warszawskiego mieszkania przy stacji metra Imielin, by spotkać się z nim w indyjskiej restauracji Rani.

Czekał już na nią. Rozejrzała się po lokalu. Nieraząca nowoczesność. Fioletowo-pomarańczowy wystrój w tonacjach bardzo delikatnych, przyjaznych. Wygodne krzesła z jasnym obiciem, egzotyczne detale i na ścianach portrety kobiet o pięknych oczach i nieco ciemniejszej karnacji. W zasadzie Bogusi się tutaj podobało. A najbardziej podobał się jej rozjaśniony wzrok Tomasza, kiedy tylko ją zobaczył. Uśmiechnęła się. Dziś będzie dobrze, dziś nie zdarzy się nic nieprzewidzianego, co mogłoby ją znowu wprawić w dręczące zakłopotanie. Dziś to ona będzie narzucała temat rozmowy.

– Umieram z głodu. Nie zdążyłem nic zjeść po dyżurze – poskarżył się na początek.

Bogusia pomyślała, że w domu, w którym sprawami kuchni zajmuje się Augusta, podobny przypadek byłby nie do pomyślenia. O pierwszej po południu jej Jachniczek byłby chyba siłą wywleczony z gabinetu, gdyby nie stawił się punktualnie na obiad. Nieobecność na kolacji tłumaczyć mógł jedynie jakiś niesłychanie skomplikowany poród.

Tomasz podsunął jej kartę z menu. No, skaranie boskie z tą nowoczesnością! Nazwy potraw wiele jej nie mówiły. Lamb tawa massala to jagnięcina, chicken na różne sposoby też może być. Bogusia postanowiła się nie przejmować. Przecież wszystko tu nadaje się do jedzenia.

– Chicken chingari tikka. – Wskazała kelnerce nazwę dania. Z jagnięciny zrezygnuje, żeby nie narażać Tomasza na zbyt duże koszty. – Tak ze sto pięćdziesiąt lat temu nikomu do głowy by nie przyszło interesować się kuchnią indyjską – zaczęła od bardzo bezpiecznego tematu.

– Sto pięćdziesiąt lat temu gotowano pewnie przede wszystkim rosół i całe mnóstwo mięs. To niezbyt zdrowe.

– Dobry rosół jest podstawą zdrowia! – obruszyła się Bogusia, cytując słowa Augusty, i z zapalem zaczęła udzielać Tomaszowi wskazówek, jak powinien być ugotowany porządny bulion.

Najistotniejszy był dobór mięs, które zalać trzeba nie byle jaką wodą, która płynie w przeciętnych warszawskich kranach, ale delikatnym rosółkiem z gołębia lub królika ugotowanym na wodzie czystej i smacznej. We wsi wszyscy wiedzieli, z której studni należy wziąć wodę na porządny bulion. W miasteczkach zwykle na rynku stała studnia kopana najgłębiej z najczystszą wodą. Nic jej nie zanieczyszczało, bo była solidnie osłonięta, a wodę wyciągało się wpuszczoną tam pompą. A potem należy taki rosół gotować długo, na skraju blachy, by ledwie mrugał. Szumować go trzeba i zbierać tłuszcz, jeśli zbyt dużo się go nagromadzi, ale trochę zostawić, bo od tej tłustości także zależy nadzwyczajny smak rosółu.

Opowiadając tak, Bogusia nabierała coraz większej pewności, że dziś wieczorem wszystko pójdzie gładko, że bez wpadek będzie się mogła cieszyć obecnością Tomasza i choć w ten sposób złagodzi tęsknotę za swoim Jaśkiem. Cieszyła się, kiedy kręcił głową z podziwu nad jej wiedzą.

– Ślinka cieknie, tak apetycznie opowiadasz – powiedział i wtedy kelnerka przyniosła im zamówione dania.

Przed Bogusią postawiła talerz obłędnie pachnących kawałków kurczaka uduszonych razem z cebulką i pomidorami. Dziewczyna wyczuwała zapach czosnku, imbiru, kminku i jeszcze jakichś innych składników. Postanowiła jeść uważnie, wręcz analitycznie, by kiedy już wreszcie wróci do swojego domu, samą Augustę zaskoczyć nowym smakiem. Bo pachniało pysznie. Wzięła do ust kawałek mięsa... i ledwie powstrzymała się, by nie wypluć go z powrotem na talerz! W buzi miała piekło! Krew uderzyła jej do głowy, policzki poczerwieniały, a oczy nagle zaszklily się od łez. Matko Boska! Co się robi w takich sytuacjach?

– Za ostre? – życzliwie zainteresował się Tomasz, podsuwając jej szklanekę z wodą.

Skorzystała. Popiła i połknęła w całości tego szatańskiego kurczaka. Podał jej paczkę papierowych chusteczek, żeby mogła otrzeć oczy i wydmuchać nos. Boże drogi! Znowu zachowała się skandalicznie. Toż u nich w Lutomierzycach o podobnym wypadku opowiadano by sobie latami.

*

Kiedy Bogusia uwodziła Tomasza, bo była święcie przekonana, że pozwolić mu zniknąć w tłumie warszawiaków byłoby straszną krzywdą dla Agaty, jej prawdziwy mąż ledwie wsiadł do góralskiego wosiąga, popatrzył na kobietę, którą uważał za swoją żonę, z miną bardziej groźną niż zafrasowaną, i tonem nieznoszącym sprzeciwu spytał:

– Czy możesz mi wyjaśnić, co tu się dzieje?

Gazda, Jadamek od Gutów, siedzący z przodu furki nadstawił ciekawie ucha, bo czuł swoim wielkim nochalem, że tu nielecha awanturka wisi w powietrzu, więc nie chciał stracić ani słowa, żeby potem było o czym gadać. Dla wszystkich w Zakopanem letnicy i ich zwyczaje byli niewyczerpanym źródłem radości. Co też oni nie wyrabiali! Ale tym razem kobitce nie było do śmiechu.

– Ja ci wszystko wyjaśnię, tylko dojedziemy do Lutomierzyc – odpowiedziała, a w jej głosie była taka tragiczna rezygnacja i zagubienie, że aż Jadamkowi zrobiło się jej żal, choć nie był specjalnie skory do przejmowania się babskimi fanaberiami.

– Do Lutomierzyc? Po co do Lutomierzyc? Nawet zapomniałaś, gdzie mieszkamy? – Mężulek rozindyczył się na całego, co też usłyszał Jadamek, a potem nastąpiła cisza przerywana tylko babskim pochlipywaniem.

– Nie, nie zapomniałam, ale ja muszę do Lutomierzyc! Tam nawet Augusta będzie Gucią! – Agata była całkowicie zdeterminowana. Niech się dzieje, co chce. Ona tu nic więcej nie zdołała. Z całym tym bałaganem musi sobie jakoś poradzić Bogusia.

– Aaa! Łaskawa pani zaczyna spuszczać z tonu! Coś niecoś się pani przypomniało! Doszła pani do wniosku, że już większego idioty nie zrobi ze swojego małżonka! Tylko że mi to nie wystarczy! Stanowczo żądam szczegółowych i sensownych wyjaśnień!

Zapowiadało się sensacyjnie. Jadamkowi aż w karku strzykało, tak się wyginał, żeby słowa nie stracić z tej smakowitej awantury. Nic to, że

przejeżdżali akurat przez kamienisty potok. Wszelkie związane z tym trudności zwałił na mądrość konia. Nie pierwszozna mu, a jego pan dalej nadstawiał ucha.

– Jaśku, najmilejszy – podejrzenie łatwo było Agacie wypowiedzieć te słowa z czułością – żyłam do tej pory z tą jedną jedyną myślą, że wszystko zrobię, by cię uszczęśliwić, że jesteś sensem mojego życia i jego wielką radością i to się nie zmieniło. Ale proszę, zaufaj mi, zaczekaj, nie gniewaj się, ale i nie pytaj na razie. W Lutomerzycach wszystko się wyjaśni.

Tyle było w głosie jego żony prawdy, serdeczności, niezrozumiałego, ale szczerzego zakłopotania, że doktor Zarębski najpierw zerknął na nią wzrokiem już mniej zagniewanym, potem wyczmuchał z siebie przynajmniej część złości, tak jak rozczmuchuje się złe sny, otrząsając się z nich i głęboko wzdychając zaraz po rozbudzeniu, i chciał na znak pojednania objąć żonę i przytulić, ale ona spojrzała na niego wzrokiem rannej łani i powiedziała tylko jedno słowo:

– Augusta!

Jasiek odsunął się od niej zrezygnowany i dalej pojechali w milczeniu, patrząc każde w swoją stronę drogi, a tam krajobraz powoli rozpląszczał się, jakby kto ręką przejechał po tych pagórkach, wyprostował je, uzdatnił do uprawy roli, więc dzika puszcza coraz częściej ustępowała miejsca zaoranym polom, a droga stawała się coraz równiejsza, to i konie ruszyły żwawiej.

Jadamek Gut rozsiadł się na desce wasiąga wygodniej, bo już podsłuchiwać nie było czego. Nie był zadowolony. Bo co tu opowiadać w karczmie, kiedy rozmowa tych dziwacznych letników za grosz sensu nie miała?

Rozdział 27

Idź precz! – te słowa brzmiały w głowie Jędrka dzień i noc, opuścić go nie chciały, odebrały apetyt, siły, chęć do życia. A jednak zdawał sobie chłopak sprawę z tego, że to jedyne, co może zrobić, by życie Anastazji nie stało się pasmem upokorzeń i udręk. To on był ich przyczyną. Wszystko się w nim przeciwko takim sądom burzyło. Bo jakże to! Toż on nieba by tej dziewczynie przychylił, chciałby otoczyć kokonem swojej miłości tak, by żadne trudy, żadne smutki do niej nie miały przystępu, a tymczasem... Przecież chłop był z niego twardy! Góral z dziada pradziada i żadna mordęga, żaden mozół nie powinien być mu straszny. Z takich jak on był Janosik, co szedł na kaźń z hardo uniesioną głową. Gdy tylko Jędrak pomyślał o Anastazji, to jakby chmura ogarnęła mu głowę, tuman jakiś, ciemność, a smętek za gardło go łąpał, ścisnął, że tchu nie mógł zaczerpnąć, w oczy szczypał, wyduszał niechciane, niemęskie łzy. Choćby nie wiadomo jak się Jędrak starał, to nogi niesły go ciągiem pod chałupę Kaśki. Jak ostatnia łajza siadał pod jesiennie łysiejącym krzakiem dzikiego bzu i wgapiał się w jej okna.

A tam sodoma i gomora! Pani Zofia furkot czyniła nie mniejszy niż cały sejmik bociani szykujący się do odlotu, pakując wszystkie ubrania, naczynia, milion potrzebnych drobiazgów do waliz, kufrów, skrzynek. Sama z tym była. Pośrodku izby stały jej dzieci, Gustaw i Anastazja, i z uporem powtarzały wciąż to samo:

– Zostaję! Nie wracam!

Kamieniała wtedy ze zgrozy, by za chwilę zamienić się w wulkan, który zamiast lawy wyrzuca z siebie fontanny słów gorących jak rozpalona magma.

– Jak możesz na taki wstyd narażać całą rodzinę?! Dla swoich samczych zachcianek jesteś gotowy podeptać przyzwoitość, honor, los nas wszystkich! Czy pomyślałeś, że nikt z nas, ani ja, ani Bogusia, ani jej mąż, nie będzie mógł śmiało spojrzeć ludziom w oczy, bo nieważne będą ich czyny czy zamiary, ale wszyscy mówić i pamiętać będą o tym, że sprzeniewierzyłeś się swojej sferze, zbrukałeś się przez związek z prostą, grubiańską babą?! Nikt bez odrazy o tym nie pomyśli! Jak błoto to do nas wszystkich przylgnie i nie zeskrobiesz tego nigdy!

To było do Gustawa. A on, przez szacunek, nie był w stanie odpowiedzieć matce swoimi argumentami, bo musiałby na nią podnieść głos i ją przekrzyczeć, a to w głowie mu się nie mieściło. Stał więc bezradnie pośrodku izby, tylko głową kręcąc na znak, że to nie tak, że on się z tymi słowami nie zgadza. Że serce, że miłość, a przede wszystkim, że Kaśka!

– Ty popatrz na nią! – krzyczała dalej pani Zofia owładnięta rozpaczą, że przemóc nie mogła uporą swoich dzieci. – Popatrz! Twój przykład tak ją zdeprawował, że wstydu się wyzbyła, po całej wsi latała za pierwszym lepszym. Każdy ją tutaj palcem wytknie! Nie tylko ktoś z naszej sfery, ale z niej się natrzęsa nawet najbrudniejszy chłop cuchnący zjełczałym masłem, owczymi odchodami i smrodem ichnich chałup!

Tu Gustaw z niepokojem spojrział na siostrę, bo tym matczynym argumentom nie umiał się przeciwstawić nawet w myśli. Racja była w tym wielka. Jakie życie może mieć dziewczyna z dobrego domu, która wyjdzie za mąż za chłopą nawet tak wykształconego jak Jędrak. Ani jej w towarzystwie nie przyjmą, ani z gaździnami nie pogada, bo i o czym? Ale Nastusia chyba jakoś inaczej myślała o całej tej sprawie, bo na matczyne gadanie tylko głowę wyżej unosiła, przez okno patrzyła na góry zamazane przez siekający od rana deszcz i zaciskała usta, jakby się bała, że wypadnie z nich zaraz słowo buntu, które może jej biedną matkę zabić. Bo Anastazja wszystko rozumiała, nawet współczuła swojej rodzicielce, sobie współczuła, ale jedno wiedziała: jakikolwiek będzie jej los, choćby nie wiadomo jak nędzny, to gorszego nieszczęścia niż życie bez Jędrka nie była sobie w stanie wyobrazić. Wszystko zniesie, byle tylko on stał gdzieś u jej boku.

Te słowa żądliste niczym osy wylatywały z Kaścynej chałupy przez rozwarte mimo jesiennego chłodu i deszczu drzwi na pole, leciały prosto pod krzak dzikiego bzu i żarły Jędrka, kąsały, a on sam biedak nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Poszedłby precz, gdyby był panem swojej woli. Ale nie był! Wszędzie, gdzie ona, tam i on będzie, choćby mu przyszło tak życie całe przesiedzieć w deszczu pod krzakiem. Aż go poniósł gorzki śmiech na tę myśl.

Na toś kuł dniami i nocami przez tyle lat, by się na lekarza przerobić? – mówił sobie w myślach. Na toś znosił tyle upokorzeń od swoich towarzyszy, z których każdy był lepszy od ciebie, bo bogatszy, lepiej się potrafił wysławić, w teatrach i operach bywały? Na toś siedział w nędznej

klitce pod schodami kamienicy przy Siennej w Krakowie, której użyczył ci kamienicznik w zamian za nauczanie wszystkiego jak leci synalka, co się do kształcenia nadawał nie lepiej niż noga stołowa?

Wyrzucał to wszystko sobie Jędrak, a jednak tyłka spod tego krzaka ruszyć jakimś cudem nie mógł. Głowę tylko nakrył cuchą, bo deszcz siekł coraz gęściejszy.

– Jędrus! I co teraz będzie?

Jakim cudem Kaśka znalazła go tutaj, nie wiedział. A ona, biedna, również nie mogła znieść słów pani Zofii latających po chałupie jak wściekłe muchy robaczychy i uciekła z dzieckami do ojców. Ale też tam usiedzieć nie zdołała i przyszła popatrzeć, co się wyprawia. Wzruszył bezradnie ramionami.

– Może idźże gdzieś, może kto insy radę by nałoz?

Jakimi słowami miałby Jędrak o tę radę poprosić? Toż wszyscy go potępiają, a nikt nie zrozumie.

– Pon Ałubiński. – Westchnęła Kaśka, bo jak wszyscy w Zakopanem wierzyła, że dla Chałubińskiego nie ma problemów nie do rozwiązania.

Jakaś nadzieja też zatliła się w Jędrku. Bo może jakby tak za protekcją Chałubińskiego znaleźć zatrudnienie w którymś z warszawskich szpitali, tam, gdzie nikt nie zna ani jego, ani Nastusi? Może?

– Pójdę – szepnął jej.

– A nie zabocys o mnie?

Nie zabocy, nie zapomni, tylko co niby miałby Chałubińskiemu powiedzieć o Kaśce?

Doktor jeszcze mieszkał na plebanii u księdza Stolarczyka, choć ten już prawie całkiem doszedł do sił.

– Jędrak! – zawołał, kiedy tylko takiego zmarniałego gospodyni księdza wprowadziła do niewielkiego saloniku. – Ty również, widzę, nie możesz sobie znaleźć miejsca! Biednemu zawsze wiatr w oczy, a nieszczęsna nasza ojczyzna chyba już nigdy nie doczeka się sposobnej chwili, by odzyskać wolność.

Jędrus jedynie zdążył bezradnie rozłożyć ramiona i nic nie powiedział, bo jego osobiste perturbacje tak go zajęły, że nie miał pojęcia, co się stało takiego, co mogło skłonić Chałubińskiego do podobnych wniosków. Najwyraźniej trafił na zażartą dyskusję. Doktor i ksiądz wydawali się czymś mocno poruszeni. Na razie jednak nic nie musiał mówić, bo

księżowska gospodyni przyniosła mu w glinianym polewanym kubku gorące kakao.

– Tako hurnawica³⁰ na polu – powiedziała współczująco, patrząc na niego.

³⁰ Deszcz z wiatrem.

– Już miałem nadzieję, że sprawa bałkańska pogrzebie ideę tego porozumienia, bo tam interesy Rosji i Austro-Węgier wchodzą sobie w paradę – perorował Chałubiński.

Ksiądz też dokładał swoje:

– Była szansa, by tak bardzo gnębiące nas Święte Przymierze odeszło już na zawsze w niebyt!

Jędrak zorientował się, o czym mowa. Przeszło pięćdziesiąt lat temu po wojnach napoleońskich Rosja, Cesarstwo Austriackie, które wtedy jeszcze nie udawało, że składa się z dwóch równorzędnych członów Austrii i Węgier, i Prusy zawarły sojusz, a jego głównym celem było pilnowanie, by nikt w Europie nie naruszył porządku ustanowionego przez traktat wersalski. Oczywiście najbardziej na naruszeniu tego porządku zależało Polakom, przynajmniej tak się nam wydawało. Ale takich narodów jak my znalazłoby się znacznie więcej, bo te trzy państwa, Rosja, Prusy i Austria, zajmowały obszar trzech czwartych Europy i nie byliśmy jedynym więzionym przez nie narodem. Już kilka lat później więzy porozumienia zaczęły trzeszczeć. Okazało się, że i Rosja, i Austria miałyby ochotę zagarnąć tereny Bałkanów, które wymykały się spod słabnącej kontroli Turcji panującej tam od setek lat. Kryzys nadszedł podczas wojny krymskiej toczonej między Rosją a Turcją i jej sprzymierzeńcami, Francją i Wielką Brytanią, bo Austria zachowała wtedy sprzeczną z duchem porozumienia neutralność. I już wydawałoby się, że to tragiczne dla aspiracji Polaków porozumienie między naszymi zaborcami spróchnieje sobie szczęśliwie, kiedy niemiecki kanclerz Otto von Bismarck postanowił je ożywić. Już od jakiegoś czasu trwały rozmowy.

– To jednak udało im się dogadać? – spytał Jędrus.

– Tak. Ostatecznie trzej cesarze jeszcze raz podpisali ten sojusz. Była szansa, że się rozpadnie, a on się wzmocnił. – Do tej pory energicznie gestykulujący ksiądz Stolarczyk opadł bezwładnie na swój fotel, zamieszał łyżeczką w kubku z kakao i głośno siorbnął, a potem powtórzył: – Tak, trzej

brodaci i wąsaci cesarze, Aleksander II z Rosji, Wilhelm I z Niemiec i Franciszek Józef, cesarz austro-węgierski, parafowali dokument.

Zapadła pełna przygnębienia cisza. Jakże miał teraz Jędrus prosić o cokolwiek Chałubińskiego?

– Święte Przymierze się rozpadło, może rozpadnie się i to – próbował ich pocieszyć.

– Mam nadzieję, że te Bałkany zamienią się wkrótce w beczkę z prochem, która wysadzi w powietrze ten zasrany europejski porządek! – wybuchnął ksiądz Stolarczyk z mało chrześcijańską zawziętością.

– Też mam taką nadzieję – odpowiedział mu wcale niezgorszony tym słownictwem Chałubiński. Zdążył się już przyzwyczaić do dosadnego języka księdza.

A potem panowie zagłębili się w analizowaniu europejskiej sytuacji politycznej i szczegółowym omawianiu raf, o które rozbić by się mogło podpisane właśnie porozumienie. Tak ich zastał wieczór, a Jędrus nie znalazł okazji, by porozmawiać o własnym losie.

Zrobię to jutro, postanowił, ale okazało się, że jutro tego już nie było można załatwić, bo Chałubiński był zajęty, a następnego dnia wyjechał z Zakopanego.

Rozdział 28

Lutomierzyce. Agata wchodziła po schodach wiodących na ganek dworu na drżących nogach. Boże! Jakim cudem uda jej się na tyle uspokoić, by zestroić głos z Bogusią? Jak długo będą powtarzać idiotyczną frazę „włazł kotek na płotek”, zanim znowu znajdą się na swoich miejscach i w swoich czasach? Gdzieś tam w tyle głowy brzęczała jej obawa, że to się w ogóle może nie udać. Zimny pot oblewał ją na taką myśl. Aż musiała przystanąć.

– Dobrze się czujesz? – dopytał Jasiek, przerywając dyrygowanie służbą, która wypakowywała najpotrzebniejsze rzeczy z powozu.

Spojrzała na niego tak żałośnie i z takim błaganiem o pomoc, że serce w nim stopniało, a gniew się rozproszył.

– Powiedz, co ci jest! – W jego głosie zabrzmiała niemal rozpacz.

Ta żona, której każdy zakątek ciała i duszy znał, a jeśli gdzieś pozostało coś nieznanego, to tylko dlatego, że nie chciało mu się zajmować błahostkami... Więc ta żona uciekła mu w jakąś straszną tajemnicę, która spętała ją, zniewoliła, odciągnęła od niego i nie pozwalała wrócić. Teraz ta żona tylko głową pokręciła i wspinała się na niewysokie schodki prowadzące do rodzinnego dworu z takim mozołem, jakby to był tatrzański szczyt. Jak w transie poddała się wszystkim powitalnym uściskom, po czym wymknęła się zaproszeniom do stołu, bo, wiadomo, po podróży trzeba coś przekąsić.

– Nie przeszkadzajcie! – tyle tylko im powiedziała i zamknęła się w sypialni pani Zofii.

– Co się stało? Co jej? Jest chora? – Jasiek został zasypany pytaniami, kiedy usadzono go na poczesnym miejscu przy stole.

Marcelinka natychmiast wniosła maślane bułeczki, świeżo odcedzony twaróg, domowe wiśniowe konfitury i doskonale odciśniętą marmoladę z jabłek, o której mówiono, że to jabłkowy ser. Była bowiem pora podwieczorkowa. Doszła jednak do wniosku, że może to Jaśkowi nie wystarczyć, więc dołożyła jeszcze plastry faszerowanego prosięcia, galaretkę z nówek, roladę ze szczupaka i gotowaną główiznę z dzika. Usiąść przy stole z państwem nie śmiała, ale stanęła w drzwiach jadalni i wlepiła wzrok w męża swojej Bogusi, którą na rękach wyniańczyła, a on właśnie wtedy doszedł do wniosku, że musi odpowiedzieć na pytania, którymi został zarzucony, jej i mężowi pani Zofii, Konstantemu Gosztowiczowi,

i Franciszkowi, dalekiemu krewnemu zmarłego pierwszego męża pani Zofii, który lutomierską stadninę uczynił znaną w całym powiecie, i rezydentce, pannie Stanisławie, co żyła sobie tutaj na łaskawym chlebie tak cichutko i skromnie, że ludzie jej już niemal nie zauważali. No, musi powiedzieć, co się dzieje z jego żoną!

Popatrzył się po nich wszystkich doktor Jan Zarębski, westchnął ciężko, ręce rozłożył i rzekł:

– Nie wiem.

Na moment zamarli bez ruchu i bez głosu, a potem każdy, nawet Marcelinka, odzyskali rezon i napadli na Jaśka.

– Jak to? Toż mężem jest! Jako lekarz nie jest w stanie nic powiedzieć? Toć to niepodobna! Musi się przecież czegoś domyślać! Nie domyśla się? Niemożliwe!

Aż wreszcie przez cały ten harmider przebiła się Marcelinka:

– A może Pan Bóg pobłogosławił wreszcie i będziecie mieli dzieciątko?

– O Jezusie przenajśłodszy! – wyrwało się doktorowi pełne zdumienia westchnienie.

Dlaczego on o tym nie pomyślał? Może to stąd ta nagła decyzja powrotu do domu, choć zostać mieli w Zakopanem przez pewien czas? Może ona podejrzewa, ale nie jest pewna? Ale nie powiedzieć mu takiej rzeczy? Nie wiedział, co ma rzec na takie przypuszczenie, ale chwalić Pana, nic mówić nie musiał, bo wszyscy usłyszeli, że drzwi od sypialni pani Zofii otworzyły się z trzaskiem, a po chwili w progu jadalni stanęła śmiejąca się, ale i zapłakana Bogusia.

– Wracamy do domu! Gucia czeka!

Jeden Jasiak nie ruszył się z miejsca zamieniony w słup soli tą Gucią, znakiem, którego od tak dawna wyczekiwał, a cała reszta, nieświadoma znaczenia wypowiedzianych przez Bogusię słów, ruszyła do niej z pytaniami, czy pojawi się na tym świecie następny potomek rodu Zarębskich i Lutomierskich. Pani doktorowa stanęła w pąsach, a potem powiedziała cichutko:

– Kto wie, kto wie...

*

Kiedy Jan Zarębski dawał odpór całej rodzinie do czerwoności rozżarzonej ciekawością i żądającej wyjaśnienia przyczyn tak szybkiego

powrotu z Zakopanego i dziwnego zachowania jego żony, w sypialni pani Zofii rzecz miała się następująco: Agata nie ściągnęła nawet pudermantla, podróżnego płaszcza chroniącego jej suknię przed kurzem, tylko siadła od razu przed lustrem. Bogusia już była po drugiej stronie. Czekwała na swojego sobowtóra od kilku dni w napięciu, które trudno było jej opanować. Teraz, kiedy wreszcie się doczekała, łzy puściły się jej po policzkach nie strumyczkiem czy potoczkiem, ale rzeką i nic nie było w stanie ich zatrzymać. Agata, jak przystało na lustrzane odbicie, płakała równie obficie. Skurcz chwycił je za gardło tak silny, że obie nie tylko słowa wykrztusić z siebie nie mogły, ale nawet oddychać było im trudno. Dłonie, trzęsące się i przez to niezręczne, usiłowały przygotować niezbędne narzędzia: ustawić odpowiedni program w telefonie, puścić w ruch metronom, uderzyć w kamerton. Nie wiedziały, jak uda im się wypowiedzieć jednobrzmiącym tonem te słowa, które nijak nie odzwierciedlały tego, co działo się w ich duszy. Ale „kotek, który wlaź na płótek” wydawał im się jedyną przepustką do ich światów, jedynym rozwiązaniem sytuacji.

Agata niemal mdlała na myśl, że musiałyby otworzyć jeszcze raz drzwi do lutomierskiej jadalni, a potem stanąć przed tymi wszystkimi ludźmi i coś im powiedzieć. Ale co?! Pustka w głowie i przerażenie! Nie! Choćby dniami i nocami miały powtarzać te idiotyczne słowa, to prędzej tu szcześnie z głodu i pragnienia, niż wyjdzie z tej sypialni znowu w dziewiętnastowieczny świat.

Bogusia od kilku dni żyła tylko jedną myślą. Doktor Stawrowa dokładnie wytłumaczyła jej, że małżeński kalendarzyk przydać się może nie tylko wtedy, kiedy chce się uniknąć poczęcia, ale także gdy się go pragnie. A z niego jedno wynikało jasno. To się musiało stać najpóźniej dziś w nocy. Teraz jest największa możliwość spotkania jej jajeczka z plemnikiem Jaśka! Już! Natychmiast! Czekać jeszcze miesiąc? A jeśli te błogosławione pigułki przestaną działać i Bogusina szyszynka znowu zacznie produkować czegoś tam za mało albo za dużo?!

– Dobrze, że jesteś – sapnęła więc między szlochami i usłyszała, że z podobną ulgą i niemal na bezdechu powiedziała to samo Agata.

Zestrojone głosy poruszyły czasoprzestrzeń! W tej samej chwili Bogusia poczuła wokół talii i na żołądku znajomy i tak uspokajający ucisk. Agata za to odetchnęła głębiej, a do jej świadomości dotarło, że siedzi

przed lustrem w swoim ulubionym swetrze z szerokim golfem, który teraz tak rozkosznie i leciutko łaskotał ją w ucho.

– Jezu!

– Rany!

Zaczęły śmiać się i płakać jednocześnie jak szalone, bo wreszcie znalazły się na swoich miejscach. Najchętniej rzuciłyby się sobie w objęcia, gdyby nie tafla szkła, która je rozdzielała, no i te sto pięćdziesiąt i coś tam lat na dodatek.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Agata pierwsza ocknęła się z radosnego amoku i przyznała do kompletnego galimatiasu, jaki czeka Bogusię, jeśli tylko odważy się wychylić nos z sypialni. Ale dla pani doktorowej to był drobny pryszcz w porównaniu z morzem radości, jaką będzie spotkanie z Jaśkiem i powoływanie do życia ich potomka. Bo tym razem musi się udać! Wierzyła w to całym sercem!

– Ja też muszę ci coś powiedzieć. – Westchnęła Bogusia i opowiedziała o spotkaniach z doktorem Tomaszem Wróblewskim. – Nie zmarnuj tego, zdążyłam go polubić.

*

Misja Bogusi i Agaty zakończyła się szczęśliwie, tylko Gustaw, o którego życie przecież chodziło, jakoś z trudnością to zauważał. Solidnie, by nie powiedzieć natrętnie pilnowany przez panią Zofię i Anastazję, połykał dziwne pigułki i nieodmiennie odpowiadał na pytanie, jak się czuje, krótko i z pewnym zdziwieniem:

– Nadspodziewanie dobrze.

Często stawał przed lustrem, przyglądając się sobie badawczo. Nabierał coraz śmieiej powietrza w płuca i nie czuł tam już prawie wcale dobrze znajomego bólu. Takie eksperymenty coraz rzadziej kończyły się napadami kaszlu. Krwi na chusteczce, którą zasłaniał usta, nie widział już dawno. A jego ciało... To ciało wzbudzało do niedawna w Gustawie odrazę. Zwiotczało, za luźna skóra czasem marszczyła się jak u starca. Lada wysiłek powodował, że pokrywał się potem, a jednocześnie drżał z zimna. Teraz jakby utył. Ale może to tylko jakaś opuchlizna? Następny etap zbliżającej się śmierci?

– Oszukujesz się! – mówił do odbicia w lustrze i zaczynał się ubierać.

Codziennie chodził na spacery z obowiązku wobec siebie. Lekarze, na pewno tylko po to, by nie rozkładać bezradnie rąk, dużo rozprawiali o konieczności wdychania górskiego powietrza, picia zdrowej żentycy, kąpeli takich to albo owakich, a wszystko to były pozbawione mocy zaklęcia mające odegnać ostateczny koniec. Gustaw coraz częściej podejrzewał, że ta poprawa samopoczucia to efekt jego strachu przed śmiercią, omam wywołany gorącym marzeniem o cudownym uzdrowieniu. A przecież był człowiekiem racjonalnym, wiedział, że to, co dzieje się w jego organizmie, jest procesem fizjologicznym, obejmuje materię jego ciała i na to nie mogą mieć wpływu jego obawy czy marzenia. A z drugiej strony gdzieś tam po jego umyśle błąkało się marzenie, że może któryś z tych syberyjskich specyfików albo matczyne tajemnicze pigułki sprawią cud.

Tak rozmyślając, szedł Gustaw ulicą Kościeliską, koło cmentarza skręcił na łąki w wyznaczony tam trakt zwany Kasprusie, jako że ziemie te należały do rodziny Gąsieniców Kasprusiów. Wzięło mu się na wspominki. Jeszcze parę lat temu chodził tędy aż do Doliny Strążyn, a potem pod masyw Giewontu. Czasem nogi zanosily go do doliny zwanej Ku Dziurze, gdzie stała chata zbója Wojtka Matei, który teraz już gnije w więzieniu w Nowym Wiśniczu. Ksiądz Stolarczyk naużerał się z drabem, bukową pałą chciał mu dupę złoic tak, żeby mu się rozboju odechciało. Ale Wojtek nie usłuchał i teraz do jego kochanki, sławnej z urody Kacki od Toporów, wszystkie chłopaki z Zakopanego zachodzą. Ale ona nikogo nie chce i nie wiadomo, czy dlatego, że kocha Wojtka zbója, czy się go boi, choć on zamknięty za kratami. Ledwie pomyślał Gustaw o pięknej Toporównie, a myśli jego poszybowały do Kaśki, do jej chałupy na Krupówkach i żaloc go ogarnęła, bo on, jak ten Wojtek zbój, też był uwięziony, tylko nie w areszcie, ale w swoim chorym ciele. Szedł więc pogrążony we własnych bólach i myślach i nie widział, że po pustych już łąkach Kasprusiowych mgła się snuje, że droga robi się coraz bardziej kamienista i wprowadza go w tunel drzew, na których już drżą ostatnie kolorowe liście, a reszta ich leży mu pod nogami jak złoto-brązowy kobierzec, że potok szumi nieopodal, a wszystko pachnie nadchodzącymi przymrozkami i butwiejącymi liśćmi.

Ocknął się wreszcie zdumiony, że tak daleko zaszedł. Odetchnął głęboko. Ostre powietrze załaskotało go gdzieś głęboko, przymusiło do kaszlnięcia. I tyle! I nic więcej! Dość miał już tej niepewności. Gdyby w Zakopanem

był jeszcze Chałubiński, to poszedłby do niego, o wszystkim opowiedział i spytał o zdanie na temat możliwości ozdrowienia i tajemniczych pigułek. Ale Chałubińskiego nie było.

– Ciągłe jest Urbanowicz! – wykrzyknął te słowa, jakby były nie wiedzieć jakim odkryciem.

Zawrócił i niemal biegiem pognął do domu po fiolkę z lekarstwem. Sława doktora Urbanowicza nie błyszczała tak jasno jak Chałubińskiego, ale przecież też był uznanym medykiem.

Miał szczęście. Doktor, który wynajmował pokoje u Józka Krzeptowskiego na Kościeliskiej, zbierał się do wyjazdu. Nie znali się z Gustawem zbyt dobrze, ale widząc poruszenie młodego Lutomińskiego, postanowił go jeszcze przyjąć.

– Co pan myśli o tym? – spytał Gustaw, podając mu buteleczkę z ryfampicyną.

Urbanowicz wziął ją do ręki, przeczytał nalepkę, uniósł wysoko brwi, a usta wykrzywił w pełnym sceptycyzmu grymasie.

– Pierwsze ja widzę... ja panu gwarantować gotów, że czegoś takiego nie ma w żadnym spisie leków. Co to? Skąd to pan ma? Tak pomyślawszy, to szarlatanerią z daleka cuchnie!

Doktor był Żmudzinem i w chwilach wzburzenia z lekka zaciągał z litewska.

– Panie doktorze, przed paroma laty przyjechałem do Zakopanego szukać ratunku przed gruźlicą. Gorączka, kaszel, plucie krwią, zresztą, co ja panu będę opowiadał, przecież pan dobrze zna objawy tej choroby. A teraz wydaje mi się, że one się cofają! Choć z drugiej strony uwierzyć w to nie mogę, bo może to jakie złudzenie?

Urbanowicz poprawił monokl w oku, musnął ręką wąsy i przyglądał siwiejącą brodę, nie odrywając nieufnego wzroku od buteleczki z dziwnymi pigułkami. Ta nieufność rozlewała się coraz bardziej po jego pocziwym obliczu i powoli jak mgła zaczęła otaczać także Gustawa.

– Posłuchajmyż – powiedział, wyciągając z szuflady biurka, przy którym siedział, mahoniową trąbkę. Przymocował do niej dwie gumowe rurki, z których każda zakończona była dziwną kuleczką z kości słoniowej. Potem, poprawiając co chwilę to jedną, to drugą kuleczkę, którą umieścił sobie w obu uszach, zaczął przystawiać do odsłoniętych pleców Gustawa tę trąbkę. – Oddychać! Nie oddychać! Nabrać powietrza! Powoli

wypuszczać! – komenderował. Potem jeszcze baczniej i z jeszcze większą dozą nieufności spojrzął na Gustawa, by za chwilę znowu zacząć osłuchiwanie. – Nabierać powietrza! Powoli! Powoli! Zatrzymać! Wypuścić! Zakasłać! Odsunął się od niego, jakby powziął już jakąś decyzję. – Kto panu powiedział, że ma pan gruźlicę? He? Możesz pan się ubrać.

– Doktor Chałubiński.

Urbanowicz zacmokał, kręcąc głową, jakby był niezadowolony z takiej odpowiedzi.

– Widać i najlepszym trafiają się pomyłki.

– Słucham? Nie rozumiem! – wyjąkał zaskoczony Gustaw.

– Wedle mojego osądu pan na gruźlicę nie chorowawszy. Może jakiś stan zapalny kiedyś miał miejsce, bo pewne zagojone zmiany dają się słyszeć, ale żeby to gruźlica była, to niepodobna.

– A to? – Gustaw wskazał na fiolkę stojącą na lekarskim biurku.

– Panie, to hochsztaplerstwo jakieś! To szarlataneria! Ja tu widzę nazwy czegoś, czego nie ma! Stek bzdur! Dzieło jakiegoś bezumnego! Pan padłeś ofiarą oszustwa! Skąd pan to ma? Takich trzeba pod sąd! – Doktor Urbanowicz coraz bardziej się oburzał.

– Ale kaszel, osłabienie, krew! – próbował wejść mu w słowo Lutomierski.

Doktor na chwilę przycichł, a potem z naciskiem powiedział:

– Tu główną sprawą jest zdemaskowanie szarlatana, a pana samopoczucie mogło mieć źródło w naprężeniu nerwów, hipochondrii. Więc skąd pan to ma?!

– Dostałem od matki, a ona skąd, nie wiem.

– Czy pan zdaje sobie sprawę, że kryjesz pan przestępcę? – Urbanowicz wyciągnął do niego oskarżycielsko palec.

Dopiero to zirytowało Gustawa.

– Swoją niewiedzę próbuje pan przykryć oskarżeniami! Naprężenie nerwów, hipochondria to kobiece dolegliwości! Mężczyznę to obraża! Ten lek mi pomógł! – Może niepotrzebnie podniósł głos. Dał się ponieść emocjom.

Urbanowicz wstał zza biurka.

– Pan wybaczy, poświęcę swój czas ludziom bardziej potrzebującym pomocy niż pan.

– Oczywiście! – Gustaw skłonił się i ruszył do wyjścia. Z jednej strony był oburzony insynuacjami lekarza, z drugiej czuł się niezręcznie, bo stracił nad sobą panowanie. Ale najgorsze było to, że jego wątpliwości nie zostały rozwiane. Nie wierzył Urbanowiczowi.

Rozdział 29

Jego brat, Antoni, nie zastanawiał się nad leczniczymi właściwościami dziwnych specyfików, kiedy szykował się do następnej egzotycznej wyprawy do Tuwy. Gnała go ciekawość rozbudzona poprzednim pobylem w tych rejonach, kiedy pomagał Ninie Zaryczkinie, i marzenia żony, by przyrzeć się leczniczej działalności tuwieńskich szamanów. Zauroczył go ten kraj. Żeby się do niego dostać, trzeba popłynąć Jenisejem w kierunku jego źródeł. Nie jest to łatwe, bo to rzeka bystra, ale aż do Sajanów czasem kursują po niej parowce. Jeden z nich wybrali państwo Lutomierscy.

Tuwa w zasadzie należała do Chin, ale władcy z dynastii Quing zezwolili Rosjanom na osiedlanie się tam, pod warunkiem że będą mieszkali na łodziach albo w namiotach. Pasażerami parowców byli najodważniejsi kupcy i poszukiwacze złota. Już nawet to wydawało się Lubie niezwykle fascynujące, wsiadała więc na statek ciekawa wszystkiego. Zadymilo, łopaty umieszczone na kołach po obu stronach stateczku zaczęły miesić wodę. Podróż się rozpoczęła. Lubie trudno było usiedzieć w kajucie. Od świtu, otulona ciepłym szalem, stawała na pokładzie i obserwowała przesuwany się krajobraz. Step tylko wydawał się nudny. Było jednak na co popatrzeć. Nad rzeką rybołowy, kanie, orłany krążyły w nadziei na zdobycz i krzyczały przeraźliwie. Czasem spotykali niewielkie łódki rybaków, którzy płynęli wzdłuż brzegów, wypatrując jam tajmieni, ogromnych ryb o bardzo smacznym białym mięsie. Opowiadano sobie czasem mrozące krew w żyłach historie, jak to taka ryba potrafiła wciągnąć rybaka w głębinę. Później nurt stawał się coraz szybszy, a na horyzoncie zamajaczyły Sajany. U ich stóp w niewielkiej osadzie kończyła się dla nich wygodna podróż.

– Witaj w krainie nojonów i aratów – powiedział do żony Antoni, podając jej rękę, kiedy schodziła wąskim, chybotliwym trapem ze statku.

– Kim byli nojonowie i araci?

– Nojonowie to starszyzna plemienna w dawnym państwie Czyngis-chana, posiadacze najliczniejszych stad. Araci to uzależniona od nich biedota, pasterze. Za tymi górami znajduje się kolebka państwa mongolskiego.

Przeprawa przez Sajany okazała się nie aż tak fatygująca, jak wyobrażała to sobie Luba. Myślała o rzece pieniącej się na skalnych progach na dole

wąwozu, którego strome ściany pięły się tak wysoko, że słońce nie miało szans dotrzeć na jego dno. Bała się nietoperzy bezszelestnie latających w ciemnościach i wplątujących się we włosy. Ale okoliczności były nieco łagodniejsze. Rzeczywiście skłębione wody toczyły się niespokojnym nurtem na porohach, bystrzycami omijały ogromne głazy, ale góry wokół wznosiły się wielkimi kopułami porośniętymi tajgą, a wyżej, na połoninach widać było z oddali stada owiec, kóz, jaków, wielbłądów. Wzdłuż rzeki wiódł całkiem wygodny trakt, którym podróżowało się niewielkimi dwukołowymi powozami ciągniętymi przez muły, wielkie, kudłate i rogate jaki szły majestatycznie obwieszane przytroczonymi zmyślnie pakunkami. Za Sajanami wyjechali na równinę, po której rzeka meandrowała licznymi zakolami.

Podróżowali już przeszło tydzień, aż wreszcie dotarli do miejsca, gdzie łączyły się Mały i Wielki Jenisej, a między nimi sterczał z wody wielki skalny obelisk. Stała na nim dziwaczna konstrukcja z drewnianych bali cała obwieszona kolorowymi wstążeczkami. To znak świętego miejsca. Wokół rozsiadła się osada jurta. Ich zrobione z kości i drewna stelaże pokryte były grubym wojłokiem, a dla trwałości opasane powrozami, na końcach których zawieszono wielkie kamienie. Dzięki temu niegroźne im były wiejące od gór wiatry. Każda z jurta u góry miała otwór, przez który wydobywał się dym, i bogato rzeźbione drzwi.

– Dopczun-ooł Kara-ooł?

Pierwszy napotkany mężczyzna bez wahania wskazał Lubie i Antoniemu okazałą jurte. Wszystkie one stały w kręgu. Podeszli do drzwi. Zawahali się. Pukać? Wejść bez pukania? Nie znali tutejszych obyczajów. Tymczasem one same się otworzyły i na progu stanęła Buriatka w przepasanym kolorową krajką kaftanie i w chustce zamotanej ciasno pod brodą. Chciała cofnąć się przed nimi z przerażeniem w oczach, ale młody Kaadyr, Buriat, przewodnik i tłumacz, którego najęli Lutomierscy, przytrzymał ją za łokieć. Powiedział coś do niej w całkowicie niezrozumiałym gardłowym języku, a ona kiwnęła głową, ukloniła się nisko i gestem zaprosiła ich do środka. Lubie ten przestrach sprawił przykrość, ale się mu nie dziwiła. Doskonale wiedziała, że moskiewscy kozacy, podbijając ten kraj, dopuszczali się nieludzkich okrucieństw. Teraz może było trochę lepiej, ale rdzenni mieszkańcy nie mogli spodziewać się

niczego dobrego ani ze strony Rosjan, ani Chińczyków. Dlatego złożyła ręce i ukloniła się Buriatce tak samo nisko na chińską modłę.

Weszli do środka. Gorąco tu było od palącego się na wyłożonym kamieniami palenisku ognia i duszno. Wokół ścian ułożone były schludnie zasłane kolorowymi kilimami legowiska. Takimi samymi kilimami ocieplono od wewnątrz ściany i wyłożono podłogę. Na honorowym miejscu naprzeciwko ognia siedział człowiek o długich i całkowicie białych włosach. Wplecione miał w nie kolorowe wstążki, a jego kaftan zdobiły żelazne ozdoby. Kaadyr odezwał się do niego, ale ten odgonił go od siebie niechętnym ruchem ręki.

– Czego ty chcesz? – powiedział po rosyjsku z ciężkim, gardłowym akcentem. Zwrócił się do Antoniego, ignorując Lenę.

– Sława twoja dotarła do mnie. Potrafisz leczyć ludzi, którzy są skazani na śmierć. – Antoni doszedł do wniosku, że rozmowę najlepiej zacząć od pochlebstwa.

Nie bardzo mu się to udało, bo wielki szaman zaniósł się śmiechem. Śmiał się długo i tak mocno, że z oczu popłynęły mu łzy, które ocierał nie najczystszym rękawem kaftana. Antek stał przez ten czas przed nim, nie bardzo wiedząc, co ma ze sobą zrobić.

– Rosjanin głupi człowiek. Zrozumieć tego świata nie potrafi zajęty ciągle liczeniem pieniędzy. – Tu przestał się śmiać i spojrzał na Lutomierskiego groźnie. – Od pochlebstwa zaczęłeś, znaczy jakiś interes masz i oszwabić mnie chcesz!

Antoni aż zatrząsał się z oburzenia i chciał coś odpowiedzieć temu prymitywnemu magowi, ale on uciszył go gestem ręki, a od tego gestu Lutomierskiemu język całkiem skołowaciał.

– Nie dasz rady mnie oszukać, kochanieńki. – Teraz głos szamana pełen był chytrej łagodności. – Przeze mnie mówią bogowie, a ty dla nich jesteś nikim.

Za taką zniewagę Antek gotów był trzasnąć w łeb każdego, ale ten tutaj był spróchniałym już starcem, a i czuł, że ta dziwna kołowacizna ogarniać zaczęła mu całe ciało. Krew nabiegła mu do policzków i purpurowy ze złości zdołał wyjąkać do Luby:

– Wychodzimy!

– Poczemu etot gniew?! – Stary udał, że nie rozumie oburzenia Antka.

Luba tymczasem też gotowała się ze złości, ale potrafiła zrozumieć nieufność starego szamana.

– Wyleczyłeś moją przyjaciółkę z choroby, której żaden nasz lekarz uleczyć nie potrafił – wtrąciła się do rozmowy.

– No i? – Stary spoglądał na nią z iskierkami rozbawienia w oczach. Drwił z nich.

– Naucz mnie tego! Tak chorych ludzi u nas jest wielu!

Szaman znowu zaniósł się śmiechem. Śmiał się i śmiał, ale Luba ciągle patrzyła mu w oczy niespeszona.

– Leczę, jak umiem. Biorę za to pieniądze od tych, którzy je mają. Ale pomagam także tym, którzy ich nie mają. Jeśli mnie nauczysz, będę pomagała lepiej!

Dopczun-ooł Kara-ooł co prawda przestał się śmiać, ale patrzył na Lubę z politowaniem.

– Głupia ty! Szamanką chcesz zostać? Twoje chcenie tu na wiatr i śmiech. Nie zostaje szamanem ten, który chce, ale ten, którego wybrali bogowie.

– Skąd wiesz, że mnie nie zechcą wybrać?

– Ile razy popatrzyłaś śmierci w oczy? Ani razu! Widać po tobie, że jesteś tak przeciętnie zdrowa. Ilu bliskich pochowałaś? Niewielu. Jak mocno cierpiałaś? Ty, dziecko, jesteś szczęśliwa!

– To co? – Luba nie chciała się poddać.

– Szamanienie to nieszczęście! To ścieranie się z okrutnymi i złośliwymi duchami. To walka. Wcześniej czy później szaman ginie w tej walce, dlatego nikt nim nie chce być, tylko musi. Jeśli się od tego zadania wymiguje, spadają na niego i jego rodzinę klęski. Jeśli się go podejmie, dzień w dzień musi się ścierać z siłami, o których nie masz pojęcia! Szamaństwo to najcięższa choroba, jaką znam!

– Ale nalewka z woskowego mola uratowała Ninę Zaryczkinę!

Dopczun-ooł Kara-ooł pokiwał z politowaniem głową.

– Uratowała? Moja modlitwa ją uratowała, moje starcie z ciemnymi duchami! Moja walka! A nalewka była tylko po to, by ciemne duchy pamiętały, że zostały wygnane! By jej nie zaatakowały, kiedy jeszcze była osłabiona ich działaniem!

– Naucz mnie przynajmniej swoich lekarstw. – Luba skłoniła się przed potężnym szamanem także po to, by nie zobaczył w jej oczach

powątpiewania w te wszystkie jego napuszone słowa.

– Ach to? – Machnął lekceważąco ręką. – Nergui, pokaż jej, co tam masz!

Kobieta, która ich wpuściła do jurty szamana, bez słowa podniosła się z jednej z nar gotowa wypełnić polecenie szamana. Już mieli wyjść za nią.

– Zaczekaj! – Dopczun-ooł ich jednak zatrzymał. – Podejdz – zwrócił się do Antoniego. Położył mu dłonie na ramionach i zajrzał głęboko w oczy. Chwilę milczał, kiwając się, potem zaśpiewał jakąś dziką melodię.

Śpiew był niesamowity, bo szaman jednocześnie wydobywał z siebie dwa głosy. Jeden ton był cieniutki jak babskie zawodzenie, a drugi głęboki, płynący z głębin gardła, niski i chrapliwy. Antek poddał się temu z dziwną uległością. Potem szaman wyjął z kosza płaskie kamienie, takie, jakich chłopcy używają do puszczania kaczek na wodzie. Rozrzucił je, uważnie się im przyglądał przez chwilę.

– Ty musisz jechać – odezwał się wreszcie. – Tu nic dobrego cię nie czeka. Pieniędzy większych nie zrobisz, a zawiść ludzka cię zje. A jeśli nie, to i tak dusza ci tu zgnije. Wróc do swoich!

Wracać czy nie wracać? Przecież o tym tylko myślał Antoni już od dłuższego czasu i nie umiał podjąć żadnej decyzji. A tu ten zwariowany starzec mówi mu taką rzecz i od razu wszystko staje się jasne! Podziw i wdzięczność wypełniły Antkowi serce.

– A ona? – spytał jeszcze, wskazując na żonę.

– Myślisz, że będzie szczęśliwa, patrząc, jak marniejesz?

Ależ oczywiście, że nie! Naprawdę to takie proste?

– Masz rację – powiedział starcowi, a ten znowu zaniósł się śmiechem.

– Też mi nowina – wysapał, rechocząc głośno.

Jego śmiech był zaraźliwy, więc Antoni przyłączył się do niego.

Tego dnia jeszcze Luba pilnie zanotowała składniki różnych specyfików, które miała w swojej podręcznej aptece w skrzynce pod posłaniem Nergui. W drodze powrotnej Antoś opowiedział żonie o liście, który już od tak dawna trzymał w szufladzie swojego biurka i z którym nie wiedział, co ma zrobić. A po powrocie do Krasnojarska natychmiast wysłał przez najszybszą pocztę cudowne lekarstwo na zakopiański adres Gustawa i zaraz potem oboje zaczęli się szykować do powrotu do kraju.

Rozdział 30

Ranek wstał mroźny. Kaśka okutała się w wełnianą chustę, złapała cebrzyk i starając się nie narobić hałasu skrzypiącymi drzwiami, cichusko wyszła do obory. Siadła przy Krasnej, głowę oparła o jej ciepły bok i zaczęła doić. Słuchała, jak mleko ścieka po ściankach wiadra, to ją uspokajało. Do tej pory wzburzona była wczorajszą awanturą. Uraza gryzła ją nieznośnie, bo nie mogła darować matce Gustawa tych słów o prostej, grubej babie, o tym, że miłość do niej może być dla kogoś deprawacją. Ale najbardziej dręczyło ją pytanie: co będzie dalej? Czy Gustaw posłucha matki i wyjedzie, a ona już nigdy go nie zobaczy? Serce w niej stanęło na taką myśl i zamarła w bezruchu. Aż Krasna się zdziwiła takim zachowaniem gaździny, odwróciła do niej swoją wielką głowę i zamuczała. Kaśkę ogarnęła nowa fala żalości. Bezgłośnie polykając łyżę, przystąpiła do dojenia. Myślała, jak to wczoraj wieczorem wróciła do chałupy. Pani Zofia weszła do niej do czarnej izby i położyła zwitek banknotów na ławie.

– Bodajbym tu nigdy nie przyjeżdżała – powiedziała, a Kaśka usłyszała w jej głosie pretensję i pogardę.

– Nie takiej podziękii się spodziewała! – Starła się, by głos jej zabrzmiał hardo.

– Za mało? – Tamta najwyraźniej chciała ją obrazić.

Kaśka słowem się już nie odezwała, tylko jednym ruchem ręki smyrnęła leżące na ławie pieniądze gdzieś w kąt i odwróciła się od letniczki. Pani Zofia fuknęła ze złością i wyszła.

Wymię krowy zrobiło się puste. Kaśka przypięła jej łańcuch do taśmy omotanej wokół rogów, wyprowadziła na podwórze, nałala wody do koryta przed studnią, napoiła zwierzę, podprowadziła do sadu za chałupą i wbiła w ziemię żelazny pal przymocowany do drugiego końca łańcucha. Letnicy wyjeżdżają, więc nikomu już nie będą przeszkadzać zostawione tu krowie placki.

W progu domu natknęła się na wzburzoną panią Zofię.

– Gdzie jest Anastazja?!

Kaśka wzruszyła tylko ramionami, wyminęła ją w ciasnej sieni i weszła do swojej izby.

– Gdzie jest Anastazja?! – Jej lokatorka poszła za nią.

Kaśka odwróciła się do niej, opierając plecami o zapiecek, gotowa odeprzeć każdy atak, ale pani Zofia osunęła się na ławę, podparła na łokciach głowę i zaczęła płakać. Gaździna się zaniepokoiła.

– Kajs się zadziała?

Pani Zofia pokręciła głową i zanosła się płaczem. Mimo urazy Kaśce zrobiło się jej żal.

– Jędrus ji nojdzie. Pójdem do nigo – powiedziała i pobiegła do brata.

*

Anastazja nie mogła spać tej nocy. W uszach jej brzęczały słowa matki: wstydu się wyzbyła, po całej wsi latała za pierwszym lepszym. Każdy ją tutaj palcem wytknie. Nie tylko ktoś z naszej sfery, ale z niej się natrząsa nawet najbrudniejszy chłop. Tak twierdziła jej matka. Oburzenie nią targało, bo zrozumieć nie mogła, jak o tak wielkiej i świętej rzeczy jak jej miłość można było mówić takimi plugawymi słowami. Tej urazy nigdy w życiu się nie pozbędzie i już na zawsze cieniem się ona położy na jej stosunkach z rodzicielką. Ale z drugiej strony Anastazja wiedziała, że było w nich wiele racji. Nie znajdzie się dla niej ani jej miłości miejsca na tym świecie. Nikt nie zdoła tego związku zaakceptować. A co gorsza, nawet dla Jędrka będzie ciężarem, ściągnie go na dno piekła, w którym sama się znalazła.

Dla matki wszystko było proste. Wystarczyło wrócić do Lutomerzyc i udawać, że nigdy nie spotkała bacy Jędrka Krupy, nigdy go nie pokochała. Tylko tyle trzeba, by żyć dawnym życiem. Mogła? Nie! Nie mogła! Nie mogła zapomnieć wspólnej pracy, późnych powrotów jesiennymi ścieżkami wśród ciemnych lasów rozjaśnianych tu i tam złocistą brzozą czy lipą, czerwonym bukiem, przybranych w korale dzikich róż i jarzębin. Wracali zwykle, gdy już mroczniało. W niebieskiej dalekości lśniły świeżym śniegiem szczyty Giewontu, a w bliskości Jędrak otulał ją przed jesiennym wiatrem swoją cuchą. Zmęczeni byli oboje całodzienną harówką przy chorych, ale z tego zmęczenia płynęła słodka pewność, że mogą na siebie nawzajem liczyć w każdych okolicznościach.

Zaraza cichła. Jeszcze jacyś osłabieni rekonwalescenci leżeli po chałupach, ale i ci zbierali się w sobie, by zwlec się z barłogu i wyjść na słońce, na wiatr, po zdrowie. Anastazja już tu nie miała nic do roboty. W Zakopanem będzie jak obcy cierń. Odgrodzi tylko Jędrka od tych, wśród

których wyrósł i do których powrócił po studiach w Krakowie. Wśród nich jest jego miejsce. A ona? Przypuśćmy, że zostanie z nim. Zamknięta w czterech ścianach jego chałupy, wygnana ze swojego środowiska, niezaakceptowana przez Jędrusiowe będzie markotniała, gorzkniała, zatruje życie kochanemu. Taka perspektywa ją przytłaczała. Zniknąć. Tylko takie wyjście jej zostało.

Tak dręczyły ją te myśli, że nie mogła wyleżeć w łóżku. Wstała. Księżyc zaglądał do izby i srebrzył się w świętych szklanych obrazach. Naciągnęła na siebie ubranie, omotała wielką kraciastą chustą jak wiejska kobiecina i wyszła z chaty. Do świtu było jeszcze daleko, ale już spotkała na drodze podobnie jak ona okutane w kraciaste chusty kobiety z koszami pełnymi jajek czy oscypków, z tobołkami przytwierdzonymi do pleców. Szły sprzedawać swój towar po karczmach położonych wzdłuż drogi do Nowego Targu. Bezwiednie powlekła się za nimi. Raz po raz oglądały się za nią, potem poszeptały coś między sobą i przyspieszyły kroku.

Tak już będzie zawsze, ilekroć spróbuję się do kogoś zbliżyć – pomyślała Anastazja. Jeden jedyny Jędrak przed nią nie ucieknie, ale uczeplić się go nie może, bo przecież on lekarz, on musi dobrze żyć z ludźmi, zdobyć ich zaufanie. Jeśli nie, to na marne pójdą jego opłacone ciężkimi upokorzeniami i wysiłkiem studia. Jeżeli ona go kocha, nie może na to pozwolić. Co ze sobą zrobić? Nie wiedziała. Szła Kasprusiami przed siebie i tyle.

*

Dniało, kiedy Jędrak zwlókł się ze szlabanka³¹ stojącego w kuchni, wyszedł przed chałupę i usiadł na przyzbie. Musiał się zastanowić, co powinien teraz zrobić. Nad Nosalem już niebo dobrze różowiało, kiedy zastała go tu Kaśka.

³¹ Popularna w chłopskich chatach rozsuwana na noc ławka do spania.

– Anastazja zadziała się kajś! – krzyczała już z daleka.

– Jak zadziała? – Nie rozumiał.

– Ni ma ji! Posła kajś!

Resztki snu czmychnęły z Jędrusiowej głowy. Nietrudno mu było zrozumieć, co działo się z Anastazją. Lęk przed wykluczeniem musiał ją przytłoczyć. Nie zdziwiłby się, gdyby wyjechała. Ale tak bez słowa?

To niemożliwe! Trzeba ją znaleźć. Gdzie poszła? W stronę Nowego Targu? Może liczyła na to, że przysiądzie się na jakiś wasiąg jadący do Krakowa? Wyszedł na ten trakt. Pusto. Był już w połowie drogi do Zaborni, gdzie dziewczyna mogła się zatrzymać w karczmie, kiedy spotkał kilka kobiet, które wracały z pustymi kobiałkami. Pewnie sprzedawały już swój towar. Znał je wszystkie.

– Pofalony – pozdrowił. – Od Toporów oscypek nalepsy.

Władka Toporowa pokraśniała na ten komplement.

– A co kces? Latas tak gościńcem po próznicy? Najpirw ta twoja pomocnica, teraz ty? – Kobiety pochichotały między sobą na wspomnienie Anastazji błakającej się po świecie jeszcze przed świtem.

– Widzieliśta ją?

– Sła ku nam nie wieda po co, ale potem posła ku Strężynom. Pomyłona jakaś!

– Ręce jej całować powinniście! – oburzył się Jędrek. – Bo to ona wam jedzenie pod gębę podtykoła, kiedy rodzeni bojali sie was dotknąć!

Nie miał zamiaru dłużej z nimi gadać. Pognał do Doliny Strężyn. Tu zwolnił kroku i rozglądał się uważnie. Tyle razy tędy spacerowali zbyt zmęczeni, by wybierać się na dalsze wędrówki. A tutaj wystarczyło skrócić z Kościeliskiej, przejść parę kroków dnem doliny wśród buków, świerków i czasem aż tu schodzącej kosodrzewiny, by posłuchać grzmotu spadającej ze skalnych stopni wody, popatrzeć na majestatyczny masyw Giewontu wyłaniający się zza drzew. Jędrek czuł, że Anastazja mogła właśnie tu szukać ukojenia.

Nie mylił się. Stała oparta o wysoką skałę piętrzącą się tuż nad siklawą i wpatrywała w wodę. Ręce skrzyżowane na piersi kurczowo podtrzymywały wielką kraciatą chustę, na twarzy smutek i bezradność. Spierzchnięte usta rozsunięte jakby do szłochu, ale oczy suche, nieruchome. Jakby nie słyszała kamieni trzeszczących pod jego kierpcami.

– Nastuś!

Popatrzyła na niego przez chwilę, potem zacisnęła powieki, trwała tak bez ruchu, tylko po policzkach z tych zamkniętych oczu zaczęły spływać łzy. Co miał jej powiedzieć?

– Musimy wracać.

Popatrzyła na niego z rozpaczą. Wszystko w niej krzyczało: nie! Nigdy!

– Wiem – odpowiedziała głosem cichym i opanowanym, ale kłam temu głosowi zadawały boleśnie ściągnięte brwi i łzy płynące z oczu. – Co mamy ze sobą zrobić, Jędrus?

Też nad tym myślał podczas bezsennych nocy. Teraz objął ją mocno, krajem chusty otarł jej oczy. Patrzyła na niego ufnie i on wiedział: musi coś zaradzić!

– Nie zagwarantuję ci takiego życia, do jakiego jesteś przyzwyczajona – zaczął.

– Wiem, Jędrus! Nie obchodzi mnie to!

– Ale zarobię tyle, żeby na skromne życie wystarczyło.

– Życ nam nie dadzą! Ode mnie jak od trędowatej się odwrócą, napiętnują. Ciebie potraktują przeze mnie jak odmieńca. Sam wiesz, że zdobyć zaufanie twoich jest trudno. Ja ci będę tylko przeszkodą. Zniszczą nas.

– Wyjedziemy!

– Gdzie? – Drobną nutką nadziei zabrzmiała w jej głosie.

– Jeszcze nie wiem. Gdzieś na drugą stronę Tatr. Do Brna, Pragi, a może samego Wiednia? Zaczniemy zupełnie nowe życie. Nikt tam nas nie będzie znał. Wszystko zaczniemy od początku!

– Z tobą mogę! Z tobą na pewno się uda! Przecież jesteś twardy góral.

– A ty dzielna dziewczyna! Chodź, wracamy! Trzeba się przygotować. Jeszcze tylko parę dni. Przez te parę dni wszystko można przetrzymać! – Próbował ją przekonać do powrotu, bo czuł, że stężała na samą myśl.

– Jeszcze chwila, Jędrus! Chodź pod Giewont, porozmawiajmy, co po kolei mamy zrobić. Jakoś raźniej będzie, gdy wszystko będzie jasne.

Poszli. Wiatr szumiał coraz mocniej w świerkowych szczytach, szarpał jej chustą i jego podniszczoną gunią³², którą narzucił na siebie w pośpiechu, ale jakoś tego nie zauważyli, planując, jak to się spakują i następnego dnia rano pójdą do Szaflar do dworu. Tam podwozy do Krakowa idą niemal codziennie, bo wielu ma pan Uznański gości, a i sam hrabia często podróżuje, więc zabrać się z nimi za niewielki grosz nie będzie trudno.

³² Góralska kurtka.

– A z Krakowa? – Anastazja już w wyobraźni widziała się na krakowskim dworcu z niewielkim kuferkiem i z biletem trzeciej klasy w dłoni. Nie

przerażały jej niewygodny podróż, kiedy obok był Jędrak. Nie bała się niewiadomej.

– A z Krakowa? Tak w zasadzie najłatwiej byłoby pojechać do Lwowa. Może być Lwów?

– Pewnie, że może!

Tak gadając i planując, ani się zorientowali, jak zawędrowali do Doliny Małej Łąki. Tu dopiero oprzytomnieli nieco. Spostrzegli, że po niebie wiał pcha chmurzyska wielkie, granatowe, z brzuchami napęczniałymi ulewą. Pachniało już dżdzem, mokrą łąką. Za chwilę lunie. Jędrak pociągnął Anastazję za rękę.

– Biegniemy! Tu zaraz jest dziura!

Musieli się wspiąć po skałach, ale zanim rozszalała się ulewa, zdążyli się schować w jaskini. Wąski korytarz o mokrych ścianach prowadził w głąb góry.

– Powiadają, że tam dalej jest wielka górska komnata, w której śpią rycerze.

– Znam – odpowiedziała szeptem Anastazja, jakby się bała tych śpiących obudzić. – To piękna legenda.

– Jak już tu jesteśmy, to może pójdziemy sprawdzić? – Uśmiechnął się Jędrak.

Skinęła głową. Wzięli się za ręce i poszli w głąb korytarza.

Rozdział 31

Jaś Zarębski przytulał swoją małżonkę, głaszcząc ją mało bogobojnie po sterczącym cycuszk. Niewiele go teraz obchodziło to, czy czyn, którego właśnie wspólnie dokonali, doprowadzi do poczęcia potomka, czy nie, choć zdaniem księdza proboszcza tylko o tym powinien myśleć, kiedy zabierał się do dzieła. Ksiądz Ignacy Szawełko był ich dosyć bliskim sąsiadem i tak na co dzień Jasiek chwalił sobie to sąsiedztwo z tej racji, że proboszcz nie miał sobie równych w wista. Na dodatek z pobytu na Syberii przywiózł bardzo interesującą odmianę tej gry. Otóż nie wystarczyło już tylko usiąść do kart we czworo i z partnerem siedzącym naprzeciwko zdobyć więcej punktów niż druga para graczy, lecz trzeba było jeszcze przed partią wylicytować tę wygraną. To komplikowało sprawę, ale też powodowało, że rozgrywka była bardziej emocjonująca³³.

³³ Wist to gra w karty bardzo popularna w dziewiętnastym wieku. Z niej wywodzi się brydż, odmiana wista, która powstała w Rosji albo przez Rosję przybyła z Turcji czy Egiptu – różne są na ten temat teorie.

Wczoraj w południe, kiedy wracali z Lutomerzyc, spotkali księdza Ignacego niemal we wjeździe do swojego domu. Wprosił się na partyjkę i to było miłe, ale na sprawach małżeńskich, zdaniem doktora Zarębskiego, ksiądz się nie znał, bo i znać się nie miał prawa. Dlatego trochę irytowały go pouczenia, których proboszcz nie szczędził mu zwykle podczas spowiedzi. Doktor nie uważał, by wrażenia, jakich dostarcza mu pożycie małżeńskie, można uważać za grzech, i tego tematu nie poruszałyby przy konfesjonale, ale na pytania księdza odpowiadać musiał szczerze. Jednak sprawa ta przez moment zajęła jego uwagę zaraz po przebudzeniu.

Tymczasem za oknem z wielkim ociąganiem wstawał listopadowy dzień. Chmurzyska wlekły się po niebie tak nisko, że co wyższe drzewa rozrywały im pełne mżawki brzuchy. Wiatr szarpał gołymi gałęziami lip za oknem, a jakiś ostatni złoty listek przykleił się do szyby. W domu cisza. Augusta, korzystając z wolnego, pojechała do Tarchomina odwiedzić rodzinę. Nikt im w niczym nie będzie przeszkadzał. Jaś był zdecydowany przeprowadzić z Bogusią zasadniczą rozmowę. Próbował już wieczorem, ale jego żonę ogarnęła taka ochota do igraszek, że nic z tego nie wyszło. Teraz też czuł, że rozkoszny dziubeczek znajdujący się na szczycie cycuszka zaczął się

przeżyć obiecująco, a śpiąca do tej pory Bogusia przeciągnęła się troszkę lubieżnie i zerknęła na męża łobuzersko.

– Rozbisuremaniła mi się żonka do cna. – Westchnął doktor, nadstawiając policzki, szyję i różne inne części swojego ciała do pocałunków, którymi zapragnęła go obsypać jego lepsza i piękniejsza połowa, po czym sam także wykazał się stosowną aktywnością. W głowie jednak coraz gęściej brodziły mu wśród seksualnych fantazji niepokojące pytania na temat tego, co dzieje się z Bogusią.

Mżawka za oknem zamieniła się w rzęsy deszcz, krople bębniące w szyby zmyły złoty lipowy listek, a im ciągle nie chciało się wstawać z łóżka.

– To może być prawda? Wiesz, to o czym mówiła w Lutomerzycach Marcelinka? – zaczął wreszcie rozmowę na istotne tematy.

– O czym mówiła? – mruknęła Bogusia, ale Jaśkowi jakoś trudno było uwierzyć, że ona, tak bardzo tęskniąca za macierzyństwem, zapomniała słów kucharki.

Czy zachowanie jego żony można było tłumaczyć stanem błogosławionym?

– Kobiety przy nadziei często stają się bardziej wrażliwe, delikatne, trudniej panują nad emocjami, a ty ostatnimi czasy zachowywałaś się w sposób dla mnie niezrozumiały – mówił spokojnie, z miłością. Bał się, że ona znowu się zamknie w jakimś swoim dziwactwie.

– Mam nadzieję, że to się stało dziś. Zobaczysz! Coś mi mówi, że tak jest! – Rzeczywiście całą sobą czuła, że nowe życie właśnie w niej zostało zasiane. Niemal palcem mogłaby pokazać, jak początek jej dziecka wędrował spod miednicy z lewej strony na środek brzucha, jak się sadowi gdzieś w jej różowym zakamarku. Tam będzie sobie rósł. – On albo ona już tu jest – szepnęła, wzięła jego rękę i położyła tuż nad łonem. – Czujesz, szkrabie, ojcową rękę?

Jasiek nie śmiał spojrzeć jej w oczy. Dobrze, że wpatrzona w swój brzuch nie mogła wyczytać z jego twarzy tego, co się z nim działo. On jako lekarz wiedział przecież, że nic takiego nie może się zdarzyć. Że kobiety nie są w stanie odczuć momentu zapłodnienia. Teraz już poważnie obawiał się, że przedłużający się czas oczekiwania na dziecko spowodował jakieś zmiany w psychice jego żony. To go przeraziło.

– Nie teraz, to za jakiś czas się doczekamy – odszepnął jej.

Chciał ją przygotować na tak bardzo przecież możliwe rozczarowanie. Już nie zamierzał dopytywać, co powodowało jej kaprysy, dziwaczne zachowanie. Myślał tylko, co ma zrobić, jak zaradzić nieszczęściu. Wiedział przecież, że w większości takich przypadków medycyna jest bezsilna. Ludzki umysł i serce znane są jedynie Bogu, a człowiek nie ma możliwości, by tam dotrzeć. Kiedy szwankuje jakakolwiek inna część ciała, zawsze w najgorszym wypadku jest możliwa interwencja chirurgiczna. Na dolegliwości żołądka, wątroby, płuc ludzkość wymyśliła szereg medykamentów. Kiedy zaczyna chorować mózg, lekarze najczęściej rozkładają ręce. Niewiele da się zrobić.

Przypomniało mu się, jak jeszcze w czasach kawalerskich był w Wiedniu i tam przyjaciel lekarz pokazał mu Narrenturm, Wieżę Głupców, jeden z pierwszych szpitali psychiatrycznych. Niewiele można było dla tych nieszczęśników zrobić: tylko odseparować od społeczeństwa i zapewnić jako taką opiekę. To było przygnębiające gmaszysko w kształcie wielkiego cylindra. Wewnątrz, wzdłuż wiodącego w koło korytarza, na kilku piętrach widać było drzwi prowadzące do maciupkich klitek, w których siedzieli zamknięci nieszczęśnicy. Aż wzdrygnął się na to wspomnienie.

– Może coś zjemy? – zaproponował, żeby odwrócić jej myśli od tego niebezpiecznego tematu.

– Wspaniale. – Ucieszyła się i naciągnęła na siebie koszulę i peniuar.

Pierwsza podreptała do kuchni, przesadnie kołysząc kuperkiem. Jeszcze kilka chwil temu doktor Jaś zaśmiałby się i poklepał ją po pośladkach. Teraz nie było mu do śmiechu. Poszedł za nią.

W spiżarni dzięki Auguście zawsze było coś pysznego do zjedzenia. Bogusia wystawiła na stół świeżo odcisnięty twaróg, konfiturę wiśniową, suszone śliwki nadziewane masą migdałową³⁴, kruche ciasteczka na skwarkach, gruszki kandyzowane w miodzie.

³⁴ W książce Wincenty Zawadzkiej *Kucharka litewska* znalazłam tak smakowity przepis, że koniecznie chcę się z Wami, Drodzy Czytelnicy, nim podzielić: „Śliwki węgierki rozerznąć wzdłuż z jednej strony i wyjąć pestki, na ich miejsce włożyć następujące nadzienie: usiekać drobno słodkie migdały, dużo skórki pomarańczowej, trochę tychże surowych śliwek, przesmażyć to wszystko na gęsto w ulepie z cukrem z dodaniem na końcu cynamonu tłuczonego i trochę goździków. Po wystudzeniu tej masy nałożyć nią śliwki i suszyć w piecu lekko rozpalonym na blasze wysłanej słomą, co się powtarza tyle razy, aż będą zupełnie suche, lecz nie przesuszone”. Wincenta Zawadzka, *Kucharka litewska*, Olsztyn 1987.

– To dla mnie. – Zaśmiała się. – Taki mam apetyt na słodkie. Powiadają, że to na dziewczynkę! A ty, co zjesz, kochanie?

– Ja to samo – odpowiedział, ale sam też poszedł do spiżarni. Tam na najwyższej półce stały butelki ze zlanym już winem. Czuł, że bez alkoholowego wspomnienia nie da rady dłużej znieść tej sytuacji. Postawił na stole dwa kieliszki.

– Ależ kochanie! Nie będę piła! To może zaszkodzić dziecku!

Tego już doktor Jan Zarębski nie wytrzymał. Podeszedł do Bogusi, mocno ją do siebie przytulił i zaniósł się zupełnie niemęskim płaczem. Ona tak była rozradowana nadzieją na macierzyństwo, że nie widziała, co do tej pory działo się z jej mężem.

– Myślisz, że zwariowałam?

– Nie, skąd! – zaprzeczył, a ona doskonale wiedziała, że nieszczerze. – Tylko boję się twojego rozczarowania, bo wiesz...

Wzięła jego twarz w swoje ręce i uważnie popatrzyła mu w oczy. Miała mu opowiedzieć o podróży w przyszłość? O wizytach u doktor Stawrowej? O tajemniczych pigułkach mających obniżyć poziom tego, co już zapomniała, jak się nazywało, a co produkowała jej szyszynka? O tym, że nadmiar tego czegoś najprawdopodobniej utrudniał jej poczęcie dziecka, ale już było po problemie? Mój Boże! Toż dopiero wtedy by go zmartwiła!

– Kochany mój, nie bój się, nie martw. Poczekamy kilka tygodni, a sprawa się wyjaśni. Przepraszam, wiem, że zachowywałam się nieznośnie. Wybacz. Miałam taki czas przejmującego napięcia, jakiejś bolesnej przebudowy. Mam wrażenie, że coś się musiało we mnie zmienić, dojrzeć. Lecz teraz czuję się gotowa. Spokojna. Pewna.

Janek powoli się wyciszał. Przyglądał się jej uważnie. Wierzyć jej? Cóż on mógł powiedzieć o tym, co dzieje się w psychice drugiego człowieka? Był prostym wiejskim lekarzem. Dla niego tak to tak, nie to nie, żadnych niejasności, mglistych przeczuć czy instynktów. Co innego kobiety mające jakiś dziwny szósty zmysł, będące pełne intuicji. Może jej wierzyć jednak? Przecież jego Bogusia to stworzenie tak wrażliwe, tak delikatne, a on przed cierpieniem związanym z niezaspokojonym instynktem macierzyńskim nie potrafił jej uchronić.

– Tak, kochanie ty moje! Bardzo chciałbym, żebyśmy zostali rodzicami!

– Nagle pewna myśl zaświtała mu w głowie! – Ale gdyby jednak nie, to tak

wiele jest biednych, niechcianych dzieci. Któremuś moglibyśmy dać miłość.

– To jest wspaniały pomysł!

Czuła, że ma w sobie tyle matczynej troski, że mogłaby nią obdarować całą gromadkę. Czy wszystkie musi koniecznie sama urodzić? Nie! Na pewno nie! Ale o tym pomyśli za kilka tygodni.

*

Bogusia, kiedy jeszcze żyła w Warszawie w domu Zośki Przywarowej, umówiła się z Tomkiem Wróblewskim w miłym lokalu o wdzięcznej nazwie Ciasteczko, więc doktor siedział tam, pałaszując wrapa z grillowanym kurczakiem i warzywami. Wyrzucał sobie, że marnuje czas. Spotkania z Agatą nie miały sensu. Stracił już nadzieję, że z tą dziewczyną można się dogadać. Nie rozumiał jej. Dziwiła go jej ogólna ignorancja i tylko jakby punktowe zainteresowania. Jeśli przypadkiem trafił z tematem rozmowy, bywało całkiem sympatycznie, ale to nie zdarzało się często. Robiła wrażenie istoty nie z tego świata. Na pierwszy rzut oka podobała mu się bardzo, kiedy prezentowała dystans, wypowiadała się spokojnie, w troszkę staroświecki sposób, ale irytowało go to, że świat dla niej kończył się na dziewiętnastym wieku. Reszta nie była warta jej zainteresowania. Gdyby nie była taka śliczna, Tomasz natychmiast przestałby się z nią spotykać. Wcześniej czy później będzie to musiał zrobić i kończąc wrapa, doszedł do wniosku, że nie ma co odwlekać sprawy. Ledwie o tym pomyślał, drzwi się otworzyły i stanęła w nich Agata.

Jakaś zmiana zaszła w tej dziewczynie i doktor Wróblewski baczniej jej się przyjrzał. Ubrała się zupełnie inaczej niż zazwyczaj. Zamiast sięgającej niemal ziemi falbaniastej spódnicy miała na sobie sukienkę podkreślającą zgrabną figurę i odsłaniającą fantastyczne nogi. Rozejrzała się po lokalu, zauważyła go i uśmiechnęła po swojemu, nieśmiało. Na ten widok postanowienie zakończenia ich znajomości już miało opuścić Tomasza chwiejnym krokiem, lecz doktor dzielnie się w duchu obsztorcował: ciągnie cię jej zgrabny tyłeczek, jednak tylko na tym nie da się zbudować sensownego związku!

– Tyle razy Wielka Brytania prosiła o odroczenie brexitu, że wydaje mi się niemożliwe, żeby to jednak się stało – zagadnął ją zaraz po powitaniu,

stukając palcem w telefon, jakby tam przed chwilą wyczytał na ten temat jakieś nowości.

Nie było to prawdą. Po prostu był przekonany, że Agata znowu wykaże się swoją żenującą niewiedzą na temat współczesnego świata i to pomoże mu stanowczo zakończyć tę znajomość.

– Przygnębia mnie to, co się tam dzieje – odpowiedziała bez zakłopotania, choć zwykle takie tematy ją niesamowicie peszyły. – Najgorsze wcale nie wydaje mi się to, że Brytania pewnie jednak opuści Unię, ale fakt, że w tym kraju znalazło się tak wielu idiotów, którzy ten pomysł popierają.

Tomaszowi opadła szczęka. Tego się nie spodziewał. Kilka dosyć oczywistych słów wypowiedzianych zostało z mocą. Widać było, że Agata orientuje się w temacie i ma swoje zdanie.

– Patrzysz na mnie takim zaskoczonym wzrokiem. Ja cię przepraszam, rozumiem, że ktoś może być konserwatystą – Agata najwyraźniej o takie poglądy zaczęła podejrzewać Tomasza – ale nie rozumiem, jak można wykazywać się tak małą dawką krytycyzmu, by wierzyć we wszystkie kłamstwa, które wygłasza ich premier Boris Johnson!

– Jakie kłamstwa? – To pytanie wymknęło mu się niechcący. Sam przecież oburzał się na to samo, ale teraz tak był zaskoczony zmianą, jaka zaszła w Agacie, że nie wiedział, co mówi.

– No, sam wiesz! Te wszystkie rzeczy, że brexit spowoduje rozkwit brytyjskiej gospodarki, że członkostwo w Unii Europejskiej jest dla niej obciążeniem. To przecież kłamstwo, a Johnson doskonale o tym wie! Brexit będzie ekonomiczną katastrofą! Nic nie mówiąc już o sprawie Irlandii Północnej!

Sprawy Irlandii Północnej niezmiernie interesowały Agatę. Klimat i krajobrazy całej wyspy urzekały ją. Celtyckie korzenie i dramatyczna przeszłość Irlandczyków wzbudzały ciekawość. Temat tej rozmowy tak ją rozpalił, że nie zastanawiała się nad tym, jak bardzo różnić się musi teraz od Bogusi, z którą doktor Tomasz ostatnio się widywał.

– Pomyśl sobie, jak wielkim problemem będzie ustawienie granicy między Irlandią Północną a właściwą Irlandią. Przecież tam natychmiast odżyją stare konflikty, które doprowadziły do aktów terrorystycznych. Musiałeś słyszeć o sławnych The Troubles, „Kłopotach”, przez które na

ulicach Belfastu wiecznie wybuchały podłożone bomby. IRA³⁵ istnieje do dziś. Ci, którzy zostaną wysłani na granicę z Irlandią, by stawiać tam szlabany i komory celne, będą w wielkim niebezpieczeństwie. Szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie tej granicy.

³⁵ Irlandzka Armia Republikańska – organizacja, która chciała przyłączenia Irlandii Północnej do reszty kraju. To ona organizowała zamachy bombowe w Belfaście.

– Nie wiedziałem, że cię to tak bardzo interesuje. – Tomasz wypowiedział te słowa z takim zdumieniem na twarzy, że Agata oprzytomniała.

Rozmowy z Bogusią musiały przecież wyglądać zupełnie inaczej!

– Och! – jęknęła tylko, kiedy zdała sobie z tego sprawę, i zaczerwieniła się gwałtownie. Jeszcze niedawno peszyło ją to okropnie, ale doszła do wniosku, że należy brać byka za rogi i nie poddawać się tej głupiej przypadłości, więc dodała: – Chyba mnie onieśmielasz.

Wszystko jedno, czy było to prawdą, czy nie, dla Tomasza te nagłe rumieńce były jednym z jej uroków, a to wyznanie zawojowało go do reszty.

– Całkowicie się z tobą zgadzam! – Już nie myślał o tym, by się z nią rozstawać. – Jak kraj, którego służba zdrowia nie będzie mogła funkcjonować bez lekarzy i pielęgniarek z Polski, Indii i innych państw, chce się zamknąć przed emigrantami?! Przecież to nielogiczne!

– Ależ oczywiście! – przytaknęła Agata, a potem, ku wielkiemu zdziwieniu Tomasza, ich dyskusja pomknęła w stronę amerykańskiego prezydenta Donalda Trumpa, który kibicował brexitowi, wyborowi marszałka polskiego senatu i problemowi, czy zostanie nim lekarz Tomasz Grodzki, czy nie, by wreszcie utknąć na trzęsieniu ziemi w Albanii.

Późno się zrobiło i kawiarniana obsługa spoglądała na nich znacząco. Bezskutecznie.

– Czy można państwu podać już rachunek? – Kelnerka uśmiechnęła się do nich, mimo że pewnie w nogach miała wiele przedreptanych kilometrów.

– Oczywiście! – Dopiero teraz zdali sobie sprawę z tego, że wypadałoby opuścić lokal.

– Odprowadzę cię – zaproponował Tomasz, a w jego głowie coraz bardziej rozkwitała myśl, że chyba spotkał kobietę swojego życia.

Rozdział 32

Zakopane wrzało od plotek.

- Kciało sie Krupom mieć dochtora w rodzie, to teraz majom!
- Zeby tak ceperka za naszym chłopem latała, to tego nie bywało!
- Nie nojdzies ik jus nika!

Pani Zofia siedziała w kościelnej ławce przed nabożeństwem i wsłuchiwała się w ten gwar. Plotkowali górale. Ci z towarzystwa, którzy mimo późnej jesieni zostali jeszcze w Zakopanem, milcząc, spoglądali w jej stronę, a te spojrzenia paliły ją gorzej od słów. Szarpały nią wstyd i rozpacz. Anastazji nie było już drugi dzień, a wraz z nią zniknął także Jędrek. Sprawa była jasna, razem gdzieś uciekli, a skandal rozżarzał ciekawość wszystkich dokoła tak, że nikomu nie przyszło do głowy, by jej współczuć. A ona tak wiele by dała, by jej córka się znalazła albo przynajmniej dała znak, że jest bezpieczna. Już prawie pogodziła się z myślą, że Anastazja mogła chcieć żyć w sposób, który jej wydawał się nie do przyjęcia, ale niech gdzieś tam będzie, niech istnieje! Myśl o jej śmierci, o cierpieniach, jakich mogła doznać, przerażała ją. Zsunęła się na kolana i szeptała słowa modlitwy. Tak zatopiła się w rozmowie z Bogiem, w swoim błaganiu, że nie zauważyła, jak ksiądz Stolarczyk odprawił nabożeństwo.

– Zaginęli, a choć rzecz wygląda nie po Bożemu, to jednak przyznać trzeba, że wtedy, kiedy na wieś spadła cholera, wiele nam oboje pomogli.

Dopiero te słowa wypowiedziane przez proboszcza dotarły do pani Zofii. Podniosła głowę i słuchała.

– Przez wdzięczność i miłosierdzie teraz my powinniśmy im pomóc. Szukać ich należy. Czekam na was, chłopcy, na plebanii. Musimy się naradzić.

Chłopi jednak na plebanię nie przyszli. Jeden Klimek Bachleda tylko. Przyszła za to Kaśka Chramiaczka. Kiedy weszła na plebanię, już od progu usłyszała dudniący głos księdza:

- Nie kciało się dupy ruszyć tym skurczysynom, patafianom!
- Moze oni wcale nie kcom, coby ik kto noloz – odpowiedział na to Klimek.
- Tak? To ty na coś tu przilazł?
- Ksiądz probosc kazali.

– A Ciebie tu co przyniosło? – Ksiądz Stolarczyk na odgłos otwieranych drzwi odwrócił się do wejścia i zobaczył Kaśkę.

– Ja też bym się nadała, Jędrusiowe ścieski znom.

– A może on wcale nie chce, żebyś go znalazła? – Stolarczyk powtórzył Klimkowe wątpliwości.

– To by mi pedział, cobym go nie sukąła! A nie pedział!

Ksiądz utkwiał oczy w gaździnie, pomilczał chwilę i pokiwał głową, a potem odrzekł tak cicho, jakby mówił do siebie:

– Co racja, to racja.

Było ich do poszukiwań tylko dwoje. Klimek znał Tatry jak nikt. Tyle po nich łąził, ceprów letników prowadzał, wiedział o górach wszystko. Kaśka też.

– To kaj oni poleźli? – spytał już głośno ksiądz.

Obaj z Klimkiem utkwili wzrok w Kaśce.

– A bo ja wim? Myślałak, co wysoko w góry nie posli. Kajsik tutaj som...

*

Gustaw nie miał pojęcia, jakimi słowami mógłby pocieszyć matkę. Pewnie, że zniknięcie Anastazji i jego wpędzało w czarną rozpacz, ale widok załamanej pani Zofii kompletnie go rozbił. Takiej rodzicielki nie widział nawet wtedy, kiedy Antka wywożono na Syberię, a on sam dowiedział się od doktora Chałubińskiego, że ma gruźlicę i jego los jest przesądzony. Nawet wtedy potrafiła zachować klasę, elegancję, udawało jej się panować nad emocjami. Teraz siedziała na niezaścielonym łóżku w Kaścynej izbie. Lekko drżące ręce złożyła na podołku i tylko raz po raz podnosiła to jedną, to drugą, by wierzchem dłoni, jak chłopka, otrzeć płynące z zaczerwienionych oczu łzy. Pasma włosów wymykały się ze spiętego i dawno niepoprawianego koka.

– Zjedz coś – próbował ją nakarmić, podsuwając przygotowany przez Kaśkę talerz kwaśnicy.

Pokręciła spuszczoną głową, a potem podniosła na niego oczy z niemym błaganiem, by dał jej spokój, bo ona już na nic nie ma siły. Usiadł obok niej, objął i przytulił. Nie odwzajemniła uścisku, tylko bezwładnie opadła w jego stronę.

Zgrzytnęły wejściowe drzwi. Jakiś czas temu Kaśka wyszła gdzieś z dziećmi, a teraz wróciła już bez nich. Zajrzała do izby pani Zofii.

– Ide. – Popatrzyła ze współczuciem na panią Zofię. – Najde ik.

Przebrana była jak do dalekiej wędrowki. Na koszulę założyła wełniany serdak, owinęła się ciepłą, zarzuconą na głowę i ramiona wielką, kraciastą chustą. Tak ubrane wędrowały do Nowego Targu gaździny z towarem na handel. Pani Zofia przywołała ją gestem ręki, a kiedy Kaśka stanęła koło niej, podniosła się z wielkim wysiłkiem, by nakreślić na jej czole krzyż. I tyle. Powiedzieć słowa nie miała sił.

Gustaw wstał już na wejście Kaśki i teraz nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Siedzieć przy matce i czekać na boskie miłosierdzie, czy ruszyć na poszukiwania z Kaśką. Pani Zofia zobaczyła to zawahanie i leciutko pchnęła go w stronę Kaśki.

– Mam iść? – upewnił się.

Przymknęła oczy na znak zgody.

Wyszli oboje. Wstąpili jeszcze do organistówki, by Gustaw przebrał się na wędrowkę, a potem ruszyli Doliną Bystrej w stronę Kuźnic.

– Czemu tu? – Gustawowi wydawało się to dziwne, bo myślał, że Anastazja i Jędrzek raczej powinni unikać ludzkich skupisk, a to przecież w Kuźnicach najbardziej tętniło życie.

Tu stał wielki potwór – piec hutniczy, który pożerał okoliczne lasy. Dymiło się w nich od stosów, w których najczęściej z buka wypalano węgiel drzewny. Ten węgiel potem był pakowany do wielkiej gęby hamerskiego pieca. Obok stały budynki walcowni. Hałas tam panował nieludzki, bo w sztaby rozpalonego do białości żelaza waliły młoty napędzane wielkim kołem zanurzonym w wodach Bystrej. Potok huczał, koło się kręciło, młoty waliły, krzesząc snopy iskier, ludzie w wielkich fartuchach kręcili się w tym piekle, podstawiając pod nos młotom czerwone sztaby.

Kaśka odpowiedziała mu dopiero, kiedy minęli wielki piec i walcownię. Musiał jej przyznać rację. Jędrzek nie mógł poprowadzić Nastki jakąś trudną drogą, a jeśli wybierali się w dalszą wędrowkę, to musieli zaopatrzyć się w prowiant. Tu też łatwiej się będzie dopytać, czy kto obcy się nie kręcił. Więc dopytywali.

Niedaleko stał dwór. Do niedawna mieszkała tu rodzina Homolacsów, ale jak zakopiańskie złoża żelaza zaczęły się wyczerpywać, wrócili oni do siebie, na Węgry, a majątek sprzedali baronowi Ludwigowi Eichbornowi. Jeszcze niedawno Gustaw z zaciekawieniem wypatrywałby tego, co dzieje

się na dworze. Baron był człowiekiem zauroczonym Tatrami i choć właścicielem Zakopanego i Białki był od niedawna, to już dał się poznać jako człowiek, któremu dobro Tatr leży na sercu. Był jednym z założycieli dopiero co powstałego Galicyjskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i muzeum, które miało gromadzić okazy tatrzańskiej przyrody. Doktor Chałubiński przekazał mu swoje eksponaty – zielnik mchów i zbiory skał. Stały się one zaczątkiem muzealnej kolekcji. Wiadomo też było, że baron chce przekazać Zakopanemu grunt pod budowę schroniska nad Morskim Okiem. To wszystko powodowało, że Gustaw był bardzo ciekaw barona Eichborna, ale pod koniec listopada dwór w Kuźnicach stał cichy i opustoszały. Jego gospodarz pewnie załatwiał swoje bankierskie interesy w Berlinie. A i Gustaw miał dziś głowę zajętą czymś zupełnie innym.

Kręcili się oboje z Kaśką po Kuźnicach, dopytując o Jędrka i Anastazję hamerników wracających z pracy, karczmarza, służbę, ale nikt nie potrafił im niczego konkretnego powiedzieć. Zanocowali we dworze, a następnego ranka ruszyli w stronę Hali Kondratowej, by potem dojść do Giewontu. Oboje wiedzieli, że ta góra fascynowała Anastazję.

Szli kamienną ścieżką, która zaraz za Kuźnicami zagłębiła się w las. Prowadziła łagodnie pod górę. Gdzieś tam wysoko ponad szczytami drzew przewalały się gnane wiatrem chmurzyska. Ale pod koronami drzew panował spokój. Dymy z hamerni zostawili już za sobą. Gustaw głęboko oddychał żywicznym powietrzem. Szedł i troska o siostrę niosła go, poganiała. Zasłoniła mu oczy tak, że nie widział czarów dokoła, purpury buków, ciemnej zieleni świerków, nie słyszał szmeru potoków spływających z tajemniczej głębi lasu i pluszczących o kamienie porozrzucanych wszędzie skał. Szedł tak jak Kaśka krokiem lekkim, sprężystym, pewnym.

Potem las się skończył i wyszli na hale, a tu już wiatr zaczął szarpać Kaścyną spódnicą, wciskać się pod jego góralską gunię. Gdyby szli tamtędy latem, wokół rozpościerałyby się widoki na Kasprowy Wierch, na Suchy Żleb, a gdyby spojrzeli za siebie, to zobaczyliby maleńkie zabudowania Zakopanego rozrzucone wokół potoków i kłęby dymu nad Hamrami. Ale teraz wszystko przykryła siwa mgła. Osiadała na niedojedzonych przez owce trawach, na chuście Kaśki, na wysuwających się spod niej kosmykach włosów, na jego wargach. Oblizął je i ta odrobina wody sprawiła, że zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo jest spragniony. Kaśka chyba też, bo

wypatrzyła malutki strumień, zanurzyła w nim ręce i zaczęła pić. Poszedł w jej ślady. Potem rozejrzał się wokół. Stali sami, samiutcy. Wokół żywego ducha, tylko we mgle majaczyły cienie gór.

– Jak my ich znajdziemy? – Poczul się bezradny wobec tej zasłanej mgielną watą przestrzeni.

Kaśka nie odpowiedziała, tylko złożyła ręce wokół ust i krzyknęła:

– Hololololo!

Dźwięk był tak przeraźliwy i głośny, że aż przstraszył Gustawa, ale i tak wsiąkł w mgłę.

– Trza nam wyjść wyżej, ponad mgłę i tam zawyskać³⁶.

³⁶ Wyskać – przeciągle nawoływać za pomocą gardłowego, trochę dzikiego dźwięku. Wyskali czy inaczej holokowali górale, by skontaktować się z innymi na odległych halach.

Poszli. Stąpali ostrożnie, bo ścieżka coraz bardziej przypominała kamienne, nierówne schody, a potem jakieś gruzowisko, przez które trzeba było się piąć. Wilgoć osiadała na głazach, nogi coraz bardziej ślizgały się po nich. Skupili się znowu tylko na tym, żeby iść. Mgła rzedła. Wyłaniała się z niej stroma ściana Giewontu. Kaśka wspięła się wyżej na piarg, rumowisko skał, które oderwać się musiały od zbocza i stoczyły aż tutaj. Znowu przyłożyła dłonie do ust.

– Hololololo! – zawołała.

Tym razem głos poniósł się daleko ponad dolinami i mgłą, odbił się od szczytów i wrócił powtórzony: lololo...

Nadsłuchiwali oboje. Cisza. Tylko wiatr.

– Hololololo! – zaśpiewała jeszcze raz.

Natężyli słuch. Odpowiedziało jedynie echo.

Kaśka już miała zejść, zeskoczyć zgrabnie, jak to robiła po wielekroć, ale tym razem noga ześlizgnęła jej się na mokrym kamieniu, a ona sama runęła w dół.

– Jezu! – Gustaw nie zdołał jej w niczym pomóc.

Spadła na ścieżkę, po drodze objijając się o ostre krawędzie głazów. Podbiegł do niej. Leżała bez ruchu.

– Kasiu, Jezus Maria, odezwij się!

Otworzyła oczy.

– Jakoś się ogarne – jęknęła. Spróbowała dźwignąć się trochę na łokciu, ale nie dała rady. – Ino odzipne troche.

Zimny strach go obleciał. Co on w zasadzie ma teraz zrobić? Poczuł się bezradny i chory. Toż on ze swoimi płucami, z gruźlicą, która nie wiadomo dlaczego jeszcze go nie zabiła, ale do tego już przecież niedaleko, nie zdoła jej znieść na dół, a zostawić tutaj niepodobna! Lecz powiedzieć tego nie mógł!

– Żebyś tylko znalazła siłę, by chwycić mnie za szyję.

Długo zbierała tę moc po wszystkich zakamarkach ciała, aż wreszcie się jej udało. Gustaw miał jeszcze nadzieję, że wesprze ją, podtrzyma, a Kaśka na własnych nogach zejdzie na dół, ale nic z tego. Nie dosyć, że była potłuczona, to jeszcze noga w lewej kostce spuchła jej jak bania, a druga była zbyt słaba, by się na niej utrzymać. Długo trwało, zanim zdołał ją sobie zarzucić na plecy i z tak uwieszoną na nim ruszył. Nogi drżały mu z wysiłku i strachu, kiedy ostrożnie szukał drogi wśród oślizgłych skał. Ale szedł.

Ciemne myśli opanowały mu głowę. Przecież niemożliwe, żeby dał ją radę znieść gdzieś do ludzi. Wcześniej czy później porwie go atak kaszlu, osłabi tak, że nie zrobi następnego kroku. Ale tymczasem szedł.

Oczyrna wyobraźni widział ich oboje leżących gdzieś na tej skalistej ścieżce bez nadziei na jakąkolwiek pomoc. Ona ze złamaną albo przynajmniej mocno skręconą nogą, on w kałuży krwi spowodowanej krwotokiem. Zastanawiał się, jak długo będzie trwała ich agonía. I tak szedł, nie mówiąc nic, by nie tracić siły na zbędne słowa.

Nagle przypomniał sobie opowieści Sabały o tym, jak na jego oczach wataha wilków rozszarpała niedźwiedzia. Oni oboje nie daliby rady obronić się ani przed nimi, ani przed miśkiem. Strach dodał mu sił. Szedł.

Dziwił się tylko, skąd u niego ta moc. Dlaczego jeszcze idzie? Dlaczego nie leżą oboje gdzieś na tej kamienistej ścieżce i nie czekają na śmierć z zimna czy od dzikich zwierząt? To strach, a może woła życia, która nakazuje mu tak walczyć o każdy krok? Mgła ustąpiła. Mroczyło. Wiatr rozgonił chmury, a księżyc zaczął swoją wędrówkę po niebie. Gustaw doszedł do miejsca, gdzie ścieżka zagłębiała się w las. Dalej już iść nie mógł. Było zbyt ciemno. Tu musieli się zatrzymać.

– Watra – jęknęła Kaśka, kiedy tylko posadził ją przy najbliższym drzewie, i natychmiast zapadła w sen. Ona także była zmęczona do kresu wytrzymałości.

Gustaw znalazł jeszcze tyle sił, by ściągnąć gałęzi i rozpalić ogień. Trzasnął raz i drugi krzemieniem o krzemień i zrodzona z tego iskierka padła na poduszczyk suchego mchu, którą wcisnął pod najcieńsze gałązki. Żar rzucił się na nie, a po chwili buchnął płomień. Jego blask i ciepło dodały mu otuchy. Skądś przyszła do niego pewność, że da radę. Że z jego płucami musi być dobrze, skoro poradził sobie z takim wysiłkiem. Co mu pomogło? Dziwne pigułki, które przywiozła matka? Syberyjskie lekarstwo na wszelkie dolegliwości, proszek z jelenich rogów, a może ten wyciąg z tajemniczych owadów, które Luba dostała od jakiegoś szamana, co przyszedł ostatnio pocztą na jego zakopiański adres? Wszystko jedno, jaką drogą dotarł do niego ten cud, to wdzięczność ogarnęła go taką mocą, że płacząc, modlił się do Boga w podzięce tak długo, aż zasnął.

To był pokrzepiający sen. Rano obudził się obolały, ale rześki. Doniósł Kaśkę do Hamrów, a tam najął podwodę. W domu jednak nie czekały na niego dobre wiadomości. Z nogą Kaśki szybko się uporano. Lecz wieści o Jędrku i Anastazji nie było żadnych. Wydawało się, że rozplynęli się w powietrzu. Pani Zofia jednak ocknęła się z letargu. Nakazała Gustawowi namawiać wszystkich do kontynuacji poszukiwań i w razie jakichś rezultatów natychmiast do niej telegrafować, a sama, wiedzioną jakąś myślą, której nikomu nie chciała zdradzić, gorączkowo szykowała się do powrotu do Lutomierzyc.

Rozdział 33

– Szybciej, szybciej! – Przez całą drogę pani Zofia poganiała w myślach najpierw leniwą szkapę zaprzężoną do wosiąga, która wiozła ją z Zakopanego na dworzec kolejowy w Krakowie, potem kolejne pociągi i wreszcie konie karetki pocztowej, która miała zawieźć ją do Serocka. – Szybciej!!

Jechała owładnięta pewną myślą. Jest tylko jeden jedyny, ale za to niezawodny sposób dowiedzenia się, co stało się z Anastazją i Jędrkiem.

– Trzeba o Nastusię zapytać Zośkę i Agatę! – Nie przywitała się nawet z Bogusią, kiedy przekroczyła próg domu doktorostwa.

– Ta ich cioteczna babka przekopała przecież chyba wszystkie archiwa w poszukiwaniu śladów naszej rodziny! – Jej córka domyśliła się, o co chodziło matce, i od razu i ją ogarnęła ekscytacja. Trzeba natychmiast zasiąść przed lustrem toaletki!

Szmula razem z jego furką zamówiła Bogusia na telegraficzną prośbę matki jakiś czas temu. Pani Zofia wysłała ją tuż przed wyjazdem z Zakopanego, dlatego teraz nie trzeba było na niego długo czekać. Dzięki niemu jeszcze przed wieczorem obie strasznie zdenerwowane zasiadły przed lustrem. Dobrze wiedziały, że zwykle o tej porze Zośka siada tam, by zmyć całodzienny makijaż. Tego wieczoru też była.

– Tylko ty możesz nam pomóc! – naciskała pani Zofia, opowiedziawszy wszystko o zniknięciu Anastazji i Jędrusia.

Zośka wysłuchiwała tego z rosnącym niepokojem. Przypomniła sobie, że ciotka Eugenia wszystkie pytania o Anastazję zbywała niechętnym milczeniem. Czy uda się tak ją przycisnąć do ściany, by jednak wyjawiała, co wie? Bo że coś wiedziała, Zośka czuła przez skórę.

Następnego dnia przyjechały obie z Agatą zupełnie niezapowiedziane do Pułtusza. Ciotka wydawała się wcale niezdziwiona ich nagłą wizytą ani widocznym zdenerwowaniem. Jakby się tego spodziewała i nawet na to czekała.

– Zrobię herbatę – powiedziała i poprowadziła je do salonu.

– Powiedz tylko: czy wiesz coś o losach Anastazji? – Zośka chciała poznać prawdę już, natychmiast. Tak dobrze rozumiała dramat pani Zofii. Od dawna czuła, że łączy je nie tylko fizyczne podobieństwo. Tak zżyła się

ze swoją dziewiętnastowieczną imienniczką, że jej sprawy stawały się także sprawami Zoścynymi.

– Zrobię herbatę – z naciskiem powtórzyła ciotka Eugenia, wskazując im miejsca na fotelach ustawionych wokół stolika takim gestem, że nie śmiały jej nie posłuchać i za nią pójść.

Ona sama znikła w kuchni. Rozejrzały się wokół i od razu zauważyły, że coś się tu zmieniło. Na ścianie wisiał duży portret dziewczyny z jasnym warkoczem przerzuconym przez lewe ramię, z bladawymi, pięknie wykrojonymi ustami i wielkimi chabrowymi oczyma. Nie miały wątpliwości. To była Anastazja. Jej podobieństwo do ciotki zauważyły już poprzednio, ale dopiero teraz zdały sobie sprawę z tego, że było ono tak wielkie jak w przypadku Zośki i pani Zofii czy Agaty i Bogusi. Pod portretem na komodzie leżały albumy pełne zdjęć przygotowane, by je komuś pokazać. Im?

Ciotka Eugenia wróciła do nich dopiero po dłuższej chwili z tacą zastawioną talerzem z plastrami pieczeni, salaterką z jakąś sałatką, chlebem, pachnącym cynamonem jabłecznikiem i butelką nalewki.

– Nalewka na pewno jest świetna, ale my nie możemy. Jeszcze dziś przecież wracamy do Warszawy – zaprotestowała na ten widok Zośka.

Ciotka nic nie odpowiedziała, tylko krzątała się wokół nich niespiesznie, z czeluści kredensu wyciągając staroświeckie serwetki ozdobione pięknym haftem richelieu, talerzyki z kobaltowym wzorem, widelce, noże. Ustawiała to wszystko przed nimi starannie, ale nie zachęciła ich do skosztowania tych pyszności, a sięgnęła po albumy, położyła je obok swojego talerza na stoliku, usiadła na fotelu i trzymając rękę na jednym z tomów ze zdjęciami, powiedziała:

– Nie sędzę, żebyście dziś wrócili do domu. – Uśmiechnęła się do nich niemal czule, jakby przepraszająco, ale one i tak zdały sobie sprawę z tego, że dziś to Eugenia rozdaje karty, a im pozostaje się z tym pogodzić. – Tu jest moje życie.

Rozłożyła na stoliku album. Na zdjęciach była Anastazja ubrana nieodmiennie w długie, fałdziste spódnice i bluzki z koronkowymi kołnierzykami albo ze stójkami obszytymi riuszkami, z bufiastymi rękawami. Różne były te bluzki, ale ciągle miały staroświecki styl. Anastazja na sali wykładowej. Anastazja wśród półek zastawionych teczkami z dokumentami. Anastazja ze zmarszczonym czołem maszerująca

w jakiejś manifestacji. Obok niej wysoki mężczyzna z ostrymi, niemal orlimi rysami twarzy.

– Jędrak! – Rozpoznała go Agata.

– Tak, Jędrak – przytaknęła ciotka Eugenia, ale więcej słowa na ten temat nie powiedziała, tylko przewróciła kartę albumu.

Potem ten sam Jędrak siedział w jakimś mieszkaniu wśród innych młodych ludzi. Sam Jędrak z malutkim opornikiem³⁷ wpiętym w klapę marynarki. Było też mnóstwo zdjęć z hasłami wymalowanymi na murach: „WRON³⁸ won za Don”, „Wrona Orła nie pokona”. Na następnym zdjęciu Anastazja stała nad wielkim kotłem zupy i chochlą nalewała ją do czyjejś miski, a obok niej widniał roześmiany Jacek Kuroń³⁹. A potem jeszcze wiele zdjęć Anastazji, która z upływem czasu przemieniała się w ciotkę Eugenię, z pracy, z jakichś wycieczek do lasu, nad morze, ale najczęściej fotografii pochodziło z gór. Tatry i Zakopane królowały.

³⁷ Takie oporniki nosili ludzie po grudniu 1981 roku, by zmanifestować swój sprzeciw wobec generała Wojciecha Jaruzelskiego po wprowadzeniu przez niego stanu wojennego.

³⁸ Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego – wprowadziła w Polsce stan wojenny.

³⁹ Jacek Kuroń – jeden z przywódców opozycji w okresie PRL, współzałożyciel Komitetu Obrony Robotników, członek pierwszego niekomunistycznego rządu Tadeusza Morawieckiego. W latach dziewięćdziesiątych już jako minister pracy i polityki socjalnej na ulicach Warszawy rozdawał potrzebującym darmowe posiłki. Zwykle była to grochówka.

– Czy wiesz, ciociu, jak bardzo jesteś podobna do Anastazji? – To wszystko było bardzo ciekawe, ale Agata wreszcie odważyła się skierować rozmowę na najbardziej interesujący je temat.

– Wiem.

– Gdzieś zachowały się jakieś jej zdjęcia, dokumenty? – dopytywała Zośka.

– Nie, nie ma w archiwach o niej nic.

– Więc co? Kontaktowałaś się z nią jakoś? Seans spirytystyczny? Wehikuł czasu? – Niby Zośka żartowała, ale zdumienie wręcz ją rozsadzało. Czyżby jej toaletka nie była jedynym portalem, przez który można się przedostać do innej epoki?

– Poczęstujcie się, proszę. To długa historia.

Posłusznie sięgnęły po pieczeń i sałatkę, a potem utkwily oczy w twarzy ciotki Eugenii.

– To jest miłość, jaka się nie zdarza zbyt często – zaczęła swoją opowieść – a jeśli się zdarzy, to nie ma zmiłuj, wszystko trzeba rzucić i pójść za nią, choćby wiodła na skraj świata albo i jeszcze dalej. Taka się przydarzyła Anastazji i Jędrkowi. Chłop i panienka z dworu. To było za wcześnie na takie związki. I na dodatek nie w tę stronę, choć kiedy kilkadziesiąt lat później żenili się z chłopkami Tetmajer czy Rydel, to też wybuchały wielkie skandale. Ale mężczyznom zawsze więcej wybaczano. Kobietę za taki mezalians tak zwana opinia publiczna starłaby na proch.

– Tak, wiemy. Wiemy, że oboje wyszli w góry i nie wrócili. Pani Zofia szaleje z niepokoju. Ona musi wiedzieć, co stało się z jej córką. Prosiła nas... – Zośka za późno ugryzła się w język. Jak teraz wyjaśnić ciotce Eugenii te dziwne ponadczasowe kontakty?

Ale ciotki to wcale nie zdziwiło. Wręcz przeciwnie, pokiwała ze zrozumieniem głową i dalej ciągnęła swoją opowieść:

– Zawędrowali do Doliny Małej Łąki. Tu dopiero oprzytomnieli nieco. Spostrzegli, że po niebie wiatr pcha chmury wielkie, granatowe, z brzuchami napęczniałymi ulewą. Pachniało już dżdzem, mokrą łąką...

*

Pachniało już dżdzem, mokrą łąką. Za chwilę lunie. Jędrus pociągnął Anastazję za rękę.

– Biegniemy! Tu zaraz jest dziura!

Musieli się wspiąć po skałach, ale zanim rozszalała się ulewa, zdążyli się schować w jaskini. Wąski korytarz o mokrych ścianach prowadził w głąb góry.

– Powiadają, że tam dalej jest wielka góraska komnata, w której śpią rycerze.

– Znam – odpowiedziała szeptem Anastazja, jakby się bała tych śpiących obudzić. – To piękna legenda.

– Jak już tu jesteśmy, to może pójdziemy sprawdzić? – Uśmiechnął się Jędrus.

Skinęła głową. Wzięli się za ręce i poszli w głąb korytarza.

Zrobiło się zacisznie. Odgłosy ulewy, która rozszalała się nad górami, tu nie docierały. Cisza dzwoniła w uszach, a w niej słyszeli tylko bicie swoich serc i odgłos kroków. W pewnej chwili pojawił się dźwięk niezbyt donośny, ale zupełnie nieoczekiwany, jakby gdzieś w głębi jaskini zarżał koń.

Przystanęli zdziwieni, a potem, cichutko się skradając, ruszyli dalej. Korytarz rozszerzał się nieznacznie i nabierał życia. Krople wody zbierały się na stropie i spadały z szelestem, nietoperz przeleciał tak blisko głowy Anastazji, że poczuła na policzku muśnięcie poruszonego jego skrzydłami powietrza.

– Ach! – westchnęła raczej z przestachu, niż krzyknęła, a Jędrak objął ją i przyciągnął do siebie.

Wtedy właśnie znowu usłyszeli cichutkie rzenie koni. Dobiegało gdzieś z głębi jaskini. Po ścianach pełgał odblask dalekiego ognia.

– Jak w legendzie. Chodź, tylko zerknijmy, przecież oni śpią – szepnął poruszony Jędrak i pociągnął Anastazję za sobą.

Doszli wreszcie do miejsca, gdzie korytarz rozszerzył się tak, że stanowił obszerny przedsionek wielkiej komnaty. To tu stały konie, które usłyszeli. Przeszli koło nich i zatrzymali się na progu sali. Na środku płonęło ognisko rozpalone przez nie wiadomo kogo, a pod ścianami w najdziwaczniejszych pozycjach spali rycerze. Zbroje ich przysypał pył, tu i tam między ramieniem zbrojnym w blachy a napierśnikiem czy między żelazną nogawicą a mieczem jakiś pająk utkał swoją pajęczynę. Ten i ów chrapnął czasem, ktoś ruszył ręką, wzbijając tumany kurzu. Ten, który spał najbliżej Anastazji i Jędraka, nagle się obudził, bo łypnął na nich okiem. Tak zdumiał się ich widokiem, że chciał przetrzeć ślepią. Było to ogromne chłopisko. Chmura kurzu uniesiona jego ruchem dotarła do wielkiego nosa rycerza, a ten kichnął potężnie. Reszta jego kompanii pobudziła się także.

– Czy już? Czy już? – dopytywali jeden przez drugiego zdziwieni bardzo, że nie tylko jeden z nich się obudził, jak bywało co roku, i rozglądali się za przyczyną tego zamieszania. Aż wszyscy zgodnie utkwili wzrok w Jędraku i Anastazji.

– To my już pójdziemy. – Anastazja grzecznie dygnęła z nadzieją, że to udobrucha groźnych rycerzy i pozwolą im wyjść.

– Po coś was tutaj los i Pan Bóg sprowadził. – Największy i najgroźniejszy z nich nie zamierzał im na to pozwolić. – Kim jesteście?

W obliczu tak szanownych wojów niestosownie byłoby uciekać się do wykrętów, przemilczeń czy kłamstw. Oboje wyznali wszystko zacnemu gronu jak na spowiedzi. Śpiący rycerze z całą pewnością znali się wybornie na wojaczce, ratowaniu ojczyzny i tego typu rzeczach wzniosłych i szlachetnych, ale zupełnie nie mieli pojęcia o miłości. W żadnej z wersji

legendy o nich nie pada nawet słóweczko o tym, by któryś się zakochał. Wysłuchali więc wszystkiego z coraz większym zakłopotaniem. Cóż oni mogli z tym fantem teraz zrobić?

Spojrzeli wyczekująco na posiadacza najbardziej zdobnej zbroi i największego miecza. Najwyraźniej on tu przewodził. Ten chrząknął raz i drugi, bo tak samo jak inni nie wiedział, jak się w takiej sytuacji zachować, a potem go olśniło i krzyknął to, co rok rocznie nakazywała legenda:

– Na Wawel!

Rozdział 34

Zaszumiało, zahuczało, jakby najgroźniejszy ze wszystkich halnych wiatrów zawył, jakby wszystkie smoki poukrywane w górskich jaskiniach ryknęły! Żelazne ramiona oplotły Anastazję i Jędrka. Konie z rozwianymi grzywami grzmotnęły podkutymi kopytami o skały, aż iskry poszły w niebo i tam przyłgnęły na firmamencie w miejsce tych, co spadły w sierpniu. Ruszyli wichrem, który dech im w piersiach zatrzymał i włosy rozwiał. Pędziły konie skokami siedmiomilowymi nad lasami, nad polami, nad wsiami i miasteczkami, aż stanęły na progu wawelskiej katedry. Tam co roku odbywały się królewskie narady nad tym, co dzieje się w Polsce i czy już nasi królowie mają spuszczać ze smyczy swą broń najostateczniejszą, tych rycerzy poukrywanych w górskich jaskiniach, czy jeszcze wstrzymać się troszeczkę. Początek obrad obwieszczał zwykle dzwon Zygmunta. Jeszcze nie dzwonił, ale królowie już się gromadzili. Nie wszyscy mieli to szczęście być pochowanym na Wawelu. Nie wszyscy też na to zasługiwali. Najważniejsi goście jednak byli. Bolesław Chrobry wraz ze swoim nieszczęsnym synem Mieszkiem II zjechali z Poznania. Ich zabraknąć nie mogło. Chrobry zawsze przewodniczył królewskim naradom. Przyjechał też z Warszawy Stanisław August Poniatowski, ale nie było go w tej chwili w głównej nawie, bo zaszył się w jakimś zakamarku, żeby się odświeżyć po podróży.

Atmosfera panowała bardzo rozluźniona. Opowiadano sobie najnowsze ploteczki i co tam kto ze swojego grobowca zobaczył czy usłyszał, kiedy przed wrotami katedry dał się słyszeć tumult, rżenie koni, rycerskie pokrzykiwania.

– Ta hałastrą w tym roku spać nie może? – zdziwił się Chrobry. – Stało się co? Dawać tu tron, jakoś trzeba ich przyjąć!

Co roku ustawieniem tuż przed ołtarzem tronu dla Chrobrego trudnili się Mieszko Płatonogi i Leszek Biały, których los nie obdarzył królewską koroną, a jednak nagroził, w zasadzie nie wiadomo za co, wawelskim pochówkiem. Nie otrzymali oni prawa głosu na corocznej królewskiej naradzie, ale tak jakoś wypędzać ich z grobów nikt nie miał serca, więc sobie chłopięta korzystali z tej niepośledniej atrakcji. Ostatecznie nie wszystkim jest dane tak ciekawe życie po śmierci. Wywdzięczali się za to różnymi usługami.

Chrobry, kiedy już usadowił się wygodnie na tronie, rozkazał:

– Otwierać wrota! Wpuścić ich!

Rycerze wpadli jeszcze rozchukani podróżą, rozradowani tym, że po całorocznym śnie wreszcie mogli rozruszać trochę kości, ale groźny wzrok Chrobrego usadził ich na miejscu. Kornie zgięli kolana w pokłonie.

– Z uma żeście zesli?! Pogięło was?! – Król Bolesław tak był zalterowany zaburzeniem legendarnego porządku, że języki epok mu się całkowicie pomieszały. – Zygmunt jeszcze nie dzwonił!

– Nie dzwoniłem! – przyświadczył Zygmunt I Stary, który ufundował dzwon wzywający ich na narady i teraz jemu przypadał coroczny zaszczyt, by obwieszczać ich początek. Był oburzony, bo jako człowiek ceniący spokój i nieco powolny nie znosił, kiedy go do czegokolwiek przynaglano.

– Daruj, panie, ale ci oto nas tak trochę nie w czas obudzili, to co nam było robić?

To mówiąc, najważniejszy z rycerzy wypchnął Anastazję i Jędrka na środek katedry. Pod obojgiem nogi się ugięły. Padli przerażeni na kolana przed srogim obliczem Chrobrego i słowem się nie ważyli odezwać. Władca cisnął oczyma jedną po drugiej błyskawicami gniewu, ale jakoś coraz słabsze one były i wyblakłe, a potem spod wielkiej brody wy dostał się radosny rechot.

– No wreszcie jakieś urozmaicenie w tej nudzie! – Płasnął się łapami wielkimi jak bochny chleba po potężnych udach z uciechy. – Gadać mi, co żeście narozrabiali?!

W chwilach grozy najlepsze, co można zrobić, uwierzcie mi, to mówić prawdę i tylko prawdę. Zaczął Jędrak, ale głos mu się łamał i tchu mu brakowało ze zdenerwowania, dlatego wsparła go Anastazja. Wstała nawet, żeby być lepiej słyszana, i mówiła coraz pewniej, bo widziała, że Chobremu oko jaśniej na jej widok. W istocie tak było, bo Bolesław, nasz pierwszy król tego imienia, łasy był na niewieścią urodę bardzo, przez co i pewne perturbacje nastąpiły i zatargi międzynarodowe, ale nie czas o tym teraz opowiadać. Patrzył więc na Anastazję z coraz większym upodobaniem, bo mu przypominała jego Emnildę ukochaną ze zręcznej postaci tu i ówdzie wdzięcznie zaokrąglonej, z tego jasnego warkocza na lewe ramię przerzuconego. Więc Nastusia snuła opowieść ich miłości coraz śmielej, zakrapiając ją gęsto łzami. Kiedy tak opowiadała, usłyszała najpierw głębokie westchnienie, a potem szloch gwałtowny. To Jaś

Sobieski, chyba najbardziej rozamorowany z naszych królów, płakał na całego, wspominając sobie najwdzięczniejsze ciało Marysienki.

– Dobrze, już dobrze – próbował go pocieszyć Zygmunt August, bo on przecież dobrze wiedział, jakim szczęściem może obdarzyć mężczyznę białogłowa i jak może boleć jej strata. Zaprzyjaźnieni byli przez to bardzo i razem się czasem wymykali ze swoich grobowców. Zygmunt pędził wtedy do Wilna do swojej Basienki, a Jan ruszał budzić swoją ukochaną i szli gdzieś na romantyczne spacery czy w innych celach. Teraz był już szczęśliwy, bo udało mu się sprowadzić Marysię aż z Francji, z Blois, na Wawel.

– No dobrze, duszo ty moja – odezwał się Chrobry, kiedy Anastazja skończyła mówić – ale co ja wam mogę poradzić?

– Nie wiem – odpowiedziała i znowu zalała się łzami.

Zapadła wymowna cisza. Nic do zrobienia w tej sytuacji potężni królowie nie mieli. Byli bezradni.

– No to jak? Już czas? – Wojewoda rycerzy z gór musiał zadać to pytanie. Tak nakazywała coroczna tradycja.

Odpowiedziała mu cisza.

– To my pójdziemy, do widzenia. – Rycerze zaczęli się wycofywać, choć sytuacja była niezręczna. Bo co teraz będzie z tym dwojgiem ludzi?

– A oni? Tak ich zostawimy bez pomocy? – wstawił się za parą zakochanych Stanisław August Poniatowski. Serce zawsze miał miękkie.

– O bez pomocy! Bez pomocy! – obruszył się na to Stefan Batory. Jego najmniej obchodziły takie miłosne dyrdymały. – Polsce trzeba było pomagać, kiedy ci ją po kawałku rozbierano, to żeś do Targowicy przystąpił!

– A co miałem zrobić? Na straconej pozycji byłem! – Król Staś, czerwony ze wstydu, próbował się bronić.

– Bić! – Batory odrzucił z ramienia złoty płaszcz królewski. Od czasu, kiedy go Matejko w takim namalował, jak siedzi pod Pskowem i odbiera rosyjski hołd, już się z nim nie rozstawał.

– I co? Jak co roku powiemy rycerzom „nie, jeszcze nie czas”, a potem rozejdziemy się grzecznie do swoich grobów? – Zygmunt August był wzburzony. – Raz byśmy wreszcie coś zrobili! To grzech nie pomóc miłości!

– Uspokój się, synku! – W Zygmuncie Starym obudziły się wyrzuty sumienia. Oboje z Boną nie zaakceptowali jego małżeństwa z Radziwiłówną i przez to unieszczęśliwili syna. Choć ta jego Baśka była do niczego! Chora! Po chwili dodał: – Coś się wymyśli.

– Ale co? – Chrobry na tronie podparł się łokciem o oparcie i gmerał w zamyśleniu palcem w gęstej brodzie.

– A może by tak coś zachachmęcić z czasem? – odezwał się Michał Korybut Wiśniowiecki chyba po raz pierwszy w historii ich obrad. Nie miał po co zabierać głosu i tak wiadomo było, że nikt się z jego zdaniem nie będzie liczył. Ale teraz to była jedyna propozycja.

– Co masz na myśli? – domagał się konkretów Chrobry.

– Wiadomo, że od końca ostatniej wojny w dwudziestym wieku proletariacko-pańskie mariaże nie wzbudzały już takich kontrowersji. – Michał zachwycony, że sam Chrobry pyta go o radę, starał się mówić w sposób jak najbardziej elegancki.

– Jest myśl! – poparł go Jan Kazimierz. Czuł pewną wspólnotę ducha z Wiśniowieckim. Jego tutaj też traktowano jak pariasa tylko z tego powodu, że sam się zrzekł polskiego tronu. No, nie było przecież innego wyjścia!

Ta myśl tak spodobała się wszystkim, że już tylko rozmawiano o tym, w jakie czasy wysłać Anastazję i Jędrusia, a potem wezwano jeszcze duchy najmędrszych astrologów, żeby tak to tam wszystko porozmieszczali na zwojach czasowo-przestrzennych, aby jakiś to jednak miało sens. Astrologowie za życia może nie grzeszyli zbyt wielką mądrością i wiedzy mieli z punktu widzenia dwudziestego pierwszego wieku niewiele, ale po śmierci mogli się wreszcie dobrać do boskich tajemnic i teraz kosmos i czasoprzestrzeń były dla nich jasne jak słońce.

Najpierw więc królowie uradzili, że najlepiej będzie przenieść Anastazję i Jędrka w lata osiemdziesiąte dwudziestego wieku, bo wszystko się wtedy kotłowało i stosunkowo łatwo było zacząć zupełnie nowe życie.

– Pamiętaj, dziecko – udzielał rad Nastusi Chrobry – w sytuacji, w której nie wiesz, o co chodzi, patrz, słuchaj i pytaj. A pierwsze słowo, jakie wypowiesz, ma brzmieć „dysydenci”!

Astrologowie tymczasem siedli do swojej pracy. Doprawdy, tak ułożyć losy tych dwojga i ich rodzin, by nikomu za wielkiej nie wyrządzić

krzywdy, było zadaniem tak trudnym jak najtrudniejsze sudoku. Uwierzcie!
A jednak się udało!

*

– I co? – dopytywała Zośka tonem, w którym mieszał się podziw dla sprawności, z jaką ciotka Eugenia opowiadała tę historię, z dużą dozą ironicznego dystansu. – Mamy ci w to wszystko uwierzyć?

– Czemu nie? Lustro toaletki jako portal, przez który można podróżować w przeszłość, jest dużo bardziej prawdopodobne? – odparowała ciotka, krzywo się uśmiechając.

Patrzyły na siebie przez chwilę z nieufnością, podejrzeniami o drwinę.

– Czy pamiętasz, ciociu, jak urządzony był w Lutomerzycach pokój Anastazji? – Agata przerwała to niezręczne milczenie.

– Jakżebyśmy mogła zapomnieć! – Ciotka doskonale wiedziała, że Agata w ten sposób chce zweryfikować jej prawdomówność, ale rozumiała to i nie miała pretensji. – Stał tam piękny teleskop Newtona.

– Nie koczyło cię, żeby tutaj rozwinąć jakoś swoje zainteresowania? – dopytała Zośka już z mniejszą dozą nieufności.

– Ależ oczywiście! – Ciotka podprowadziła je do tego fragmentu salonu, w którym stało kilka półek szczelnie wypełnionych książkami dotyczącymi astronomii i fizyki. – Ale któreś z nas musiało od razu zacząć zarabiać na życie, więc ja rozpoczęłam pracę w archiwum, zresztą przy ścisłej współpracy z Solidarnością, a Jędrzek poszedł na studia. Wiedza medyczna mocno się rozwinęła przez te sto lat.

– A właśnie! Co się z nim stało? – I matka, i córka nagle się tym zainteresowały.

– Nic. Zaraz powinien wrócić z dyżuru. Pracuje w naszym pułtuskim szpitalu i w dwóch przychodniach.

Robiło się już bardzo późno, ale w zasadzie mogły jeszcze wrócić do domu. Na wzmiankę o Jędrku jednak zupełnie przestały się spieszyć. Wrócił późno i zmęczony. Postanowiły odłożyć nawiązanie bliższych stosunków na następną wizytę.

– Miałabym też do was prośbę. – Ciotka Eugenia, a raczej Anastazja, nagle zrobiła się nieśmiała. Widać było, że jej na czymś bardzo zależy. – Bardzo chciałabym i ja usiąść przed lustrem toaletki. Może udałoby mi się porozmawiać z matką?

Ta prośba była oczywista, dlatego następnego dnia pojechała z Zośką i Agatą do Warszawy. Od razu wparowały do sypialni. W Lutomierzycach zmęczona pani Zofia dyżurowała przy lustrze chyba przez cały czas. Teraz też na nie czekała.

– Dowiedziałyście się czegoś? – zapytała, zerkając z niepokojem na Eugenię. Nie poznała jej.

– Chyba tak – z wolna odpowiedziała Zośka, widząc, że spojrzenie pani Zofii coraz częściej i coraz dłużej zatrzymywało się na twarzy ciotki.

– To ja, mateczko.

Zofia długo nic nie mówiła, badając wzrokiem każdy szczegół jej oblicza.

– Tak, to ty! – Poznała ją wreszcie. – Tylko dlaczego jesteś starsza ode mnie?

– To się właśnie astrologom nie udało. – Westchnęła Nastusia.

– One we dwie mają sobie dużo do powiedzenia – szepnęła Zośka do Agaty i dyskretnie wyszły z sypialni.

Co było dalej?

To, czego się domyślacie, Moi Mili! Bogusia powiła parę bliźniaków, które tak jej dały do wiwatu, że już nie myślała o adopcji innych dzieci, ale za to założyła dla nich szkołę połączoną z darmową jadłodajnią. Gustaw ożenił się z Kaśką i mieli siedmioro potomstwa. W Zakopanem wspólnie z Antonim, który z żoną wrócił do Polski, otworzyli jedno z pierwszych gruźliczych sanatoriów. Luba próbowała w nim wykorzystywać tajemniczą miksturę z woskowych motyli, ale takich cudownych rezultatów jak u Niny Zaryczkiny u nikogo się nie doczekała. Widocznie mikstura musiała być wzmacniana szamańskimi obrządkami. Pani Zofia i jej mąż Konstanty gospodarzyli sobie szczęśliwie w Lutomierzycach, a później majątek przejęli dwaj synowie Gustawa. Jeden z nich zginął jako żołnierz Legionów Piłsudskiego podczas pierwszej wojny światowej, a drugi dał początek tej linii Lutomierskich, z której wywodziły się Zośka i Agata. Tak musiało być, bo przecież nie po to się w tę historię wplątały różne fantastyczne siły, by miała się ona skończyć źle.

Moja baśń o wędrowaniu w czasie naszpikowana jest elementami prawdy. Zawdzięczam je wielu książkom. Ale do dwóch tak często zaglądałam, pisząc tę powieść, że czuję się zobowiązana je wymienić. Pierwsza to *Księga Tatr* Jalu Kurka, która towarzyszyła mi już od dawna, i to ona jest odpowiedzialna za wybór tematyki tej powieści. Opowiada o dziewiętnastowiecznym Zakopanem, o księdzu Stolarczyku, który był tu pierwszym proboszczem, o Tytusie Chałubińskim, co ściągnął do wsi ceprów z ich dudkami, o Sabale kochającym Chałubińskiego wielką miłością i o wielu innych, którzy z kolei taką miłością kochali Tatry. Drugim moim źródłem informacji była seria publikacji o Zakopanem wydanych wspólnymi siłami przez Wydawnictwo Czarne i Muzeum Tatrzańskie, a szczególnie jedna z nich: *Sielankowanie pod Tatrami* Agnieszki Lisak o codziennym życiu tego rodzącego się dopiero kurortu.

Obie te książki to niemal historyczny reportaż. Wydawałoby się zatem, że tam prawda i tylko prawda, ale o Tatrach tak się pisać nie da. Tam rzeczywistość miesza się z baśnią. Bo kiedy w Tatrach duje, to czuć oddech smoków, kiedy grzmi, to słyszy się głos śpiących rycerzy, a kiedy leje, to wiadomo, że w tym musieli maczać (!) palce płanetnicy. W tych książkach znalazłam więc nie tylko historyczne dane o życiu Zakopanego w latach

siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku, kiedy zaczęli się pojawiać tam pierwsi turyści, ale też wiele podhalańskich legend.

Lata siedemdziesiąte dziewiętnastego wieku były istotne także dla damskiej mody. To właśnie wtedy wychodzi z użycia piekielnie niewygodna krynolina. Za to głównym urokiem kobiecej sylwetki ma być niesamowicie wiotka talia. By podkreślić jej szczupłość, zaczyna zyskiwać popularność tiurniura, rzecz o wiele wygodniejsza w użyciu. Choć o prawdziwie wygodnym kobiecym ubiorze pomyśli dopiero wiek dwudziesty.

Kochani! Miałam zamiar postawić tu kropkę. Wydawało mi się, że powiedziałam już to, co chciałam, o swoich bohaterach i ich czasach. Ale jest jeszcze jedna rzecz. Dziękuję, że przeczytaliście tę książkę. Grałam w niej na trzech strunach: na uśmiechu, dobru i miłości. Preczytaliście moją powieść do końca, a to znaczy, że i w Was te struny dźwięczą. Niech dźwięczą! Niech od ich melodii słabsze będą niedole, strach i zło. Taka jest wielka siła baśni i nie bez powodu ciągle i ciągle się je opowiada. Jeśli uśmiechnęliście się choć raz podczas lektury, jeśli znaleźliście w niej coś, co Was zainteresowało, to jestem szczęśliwa.

Kaśka Maludy